MISTRZOWIE S-F

Henry Kuttner

MUTANCI

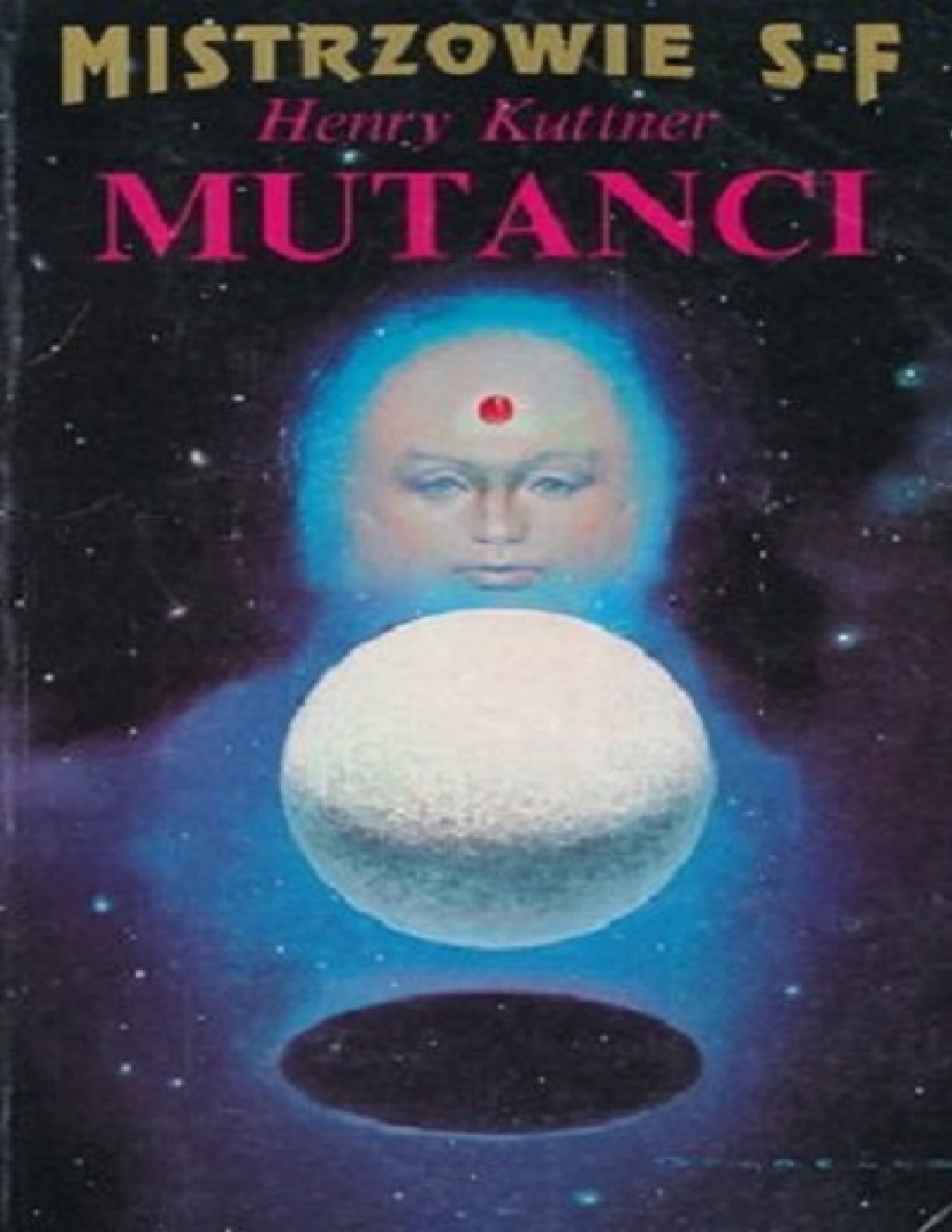

HENRY KUTTNER

MUTANCI

Tłumaczyła: Małgorzata Gołewska

ROZDZIAŁ 1

Musiałem jakoś przeżyć, aż do chwili gdy mnie znajdą. Będą szukali wraku samolotu i w końcu go odnajdą, mnie także. Ale trudno było czekać.

Pusty, niebieski dzień rozciągał się ponad białymi szczytami gór. .Nadeszła rozświetlona noc typowa dla tych wysokości i równie pusta. Nigdzie ani śladu odrzutowca lub helikoptera.

Byłem zupełnie sam.

Kilkaset lat temu, kiedy nie było telepatów, samotność nie była ludziom obca, ale ja jeszcze nigdy nie znalazłem się zamknięty w kościstym więzieniu własnej czaszki, tak szczelnie i dokładnie odcięty od reszty ludzi. Głuchota i ślepota nie dotknęłyby mnie tak bardzo. Dla telepaty nie stanowią one najmniejszej przeszkody.

Od kiedy mój samolot rozbił się za barierą gór, byłem odcięty od reszty mojego gatunku.

Jest coś, co sprawia, że stały kontakt myśli trzyma człowieka przy życiu. Odcięta kończyna obumiera z braku tlenu. Ja zaś umierałem z braku... W naszym języku nie istnieje słowo, dla wyrażenia tego, co powoduje, że telepaci tworzą jedność. Lecz bez tego człowiek jest sam, a istota ludzka nie potrafi długo żyć w osamotnieniu.

Nasłuchiwałem. Wytężałem tę część umysłu, która zbiera niesłyszalne głosy innych.

Słyszałem jedynie wycie wiatru. Widziałem wirujące, pierzaste kaskady śniegu. Widziałem gęstniejący mrok. Podniosłem wzrok na szkarłatny szczyt wschodni. Zachodziło słońce.

Byłem sam.

Zapadała noc, a ja szukałem sygnałów. Pierwsza gwiazda

zamigotała, rozbłysła i znieruchomiała nade mną. Pojawiły się inne, powiało chłodem i w końcu całe niebo płonęło w gwiaździstym marszu na zachód.

Zrobiło się ciemno, pozostały tylko gwiazdy i ja. Położyłem się, przestałem nasłuchiwać.

Nie ma moich ludzi.

Wpatrywałem się w gwiezdną otchłań. Dlaczego właściwie miałbym żyć? Bez trudu, bez najmniejszego trudu mogę pogrążyć się w ciszy, w której nie ma samotności, bo nie ma w niej życia. Penetrowałem okolice, lecz mój umysł nie natrafił na żadną myśl. Skierowałem się ku własnej pamięci i dopiero tam poczułem się nieco lepiej.

Wspomnienia telepaty sięgają bardzo daleko. Znacznie dalej, dużo wcześniej niż jego narodziny.

Widzę jasno dwieście lat wstecz. Dopiero' wtedy wyraźne i ostre telepatycznie przekazane wspomnienia stają się postrzępionymi i wyblakłymi wspomnieniami drugiego Stopnia,

pochodzącymi z książek. Literatura z kolei czerpie z Egiptu i Babilonu. Jednak to nie to samo co wspomnienia pierwszego stopnia, nie pozbawione sensoryczności, przekazywane telepatycznie młodym przez starszych, z pokolenia na pokolenie. Naszych biografii nie spisuje się w księgach: są zapisem w naszych myślach i wspomnieniach, szczególnie Żywoty–Klucze przekazywane w nietkniętej formie, tak jak wiedli je nasi najwięksi przywódcy…

Oni już odeszli, a ja jestem sam.

Nie. Niezupełnie sam. Pozostały mi wspomnienia: Burkhalter i Barton, McNey, Linc Cody i Jeff Cody… Wprawdzie już od dawna należą do krainy umarłych, ale w mojej pamięci są nadal pełni życia. Mogę przywołać każdą myśl, każde uczucie, zapach butwiejącej trawy… gdzie to jest?… odgłos pospiesznych kroków… czyich?…. na żwirowanej ścieżce.

Jak łatwo byłoby odprężyć się i umrzeć.

Nie. Zaraz. Bądź czujny. Oni żyją. Burkhalter, Barton i Żywoty–Klucze są nadal realne, chociaż ludzie już odeszli. To twoi ludzie. Nie jesteś sam.

Burkhalter i Barton, McNey, Linc i Jeff nie umarli. Pamiętaj o nich. Żyłeś telepatycznie

ich życiem w miarę, jak się go uczyłeś, żyłeś tak jak oni i możesz

przeżyć to raz jeszcze. Nie jesteś sam.

Zatem bądź czujny. Niech ta taśma filmowa zacznie się kręcić. Nie będziesz sam, staniesz się Edem Burkhalterem dwieście lat temu. Poczujesz na twarzy zimny wiatr od szczytów Sierry, poczujesz zapach wonnej trawy, poznasz myśli twojego syna…. syna grajka…

Zaczęło się.

Bjdern Edem Burkhalterem.

Dwieście lat temu…

SYN GRAJKA

Zielony wspinał się po szklanych górach, a ze szczelin spozierały na niego kudłate twarze gnomów. Jeszcze tylko jeden krok w nie kończącej się odysei Zielonego. Miał już za sobą mnóstwo przygód: w Krainie Płomieni, wśród Zmieniaczy Wymiarów, z Miejskimi

Małpoludami, które z szyderczym uśmiechem bawiły się promieniami śmierci, grzebiąc w nich szerokimi, niezgrabnymi paluchami. Trole jednak, będąc mistrzami magii, użyły czarów, aby go powstrzymać. Zakipiały niewielkie wiry energii, o które miał się potknąć Zielony: wspaniale umięśniony, przystojny niczym bóg, bezwłosy od stóp do głów i połyskujący bladozielonym blaskiem. Wiry tworzyły wymyślny wzór. Aby przejść, należało starannie wybierać drogę między nimi i strzec się jasnożółtych pułapek.

Kudłate gnomy, ukryte w szklanych załomach, obrzucały go złośliwym, zazdrosnym spojrzeniem.

Al Burkhalter, który niedawno osiągnął dojrzały wiek lat ośmiu, leżał pod drzewem, żując źdźbło trawy. Rozmarzył się do tego stopnia, że ojciec musiał go lekko szturchnąć, aby przywrócić przytomny wyraz półprzymkniętym oczom. Pogoda sprzyjała marzeniom: słońce grzało mocno, a od białych szczytów na wschodzie wiał chłodny wiatr. W powietrzu unosił się ciężki zapach trawy, sprawiając, że Ed Burkhalter poczuł zadowolenie, iż jego syn należy do drugiego pokolenia urodzonego już po Eksplozji. Sam przyszedł na świat dziesięć lat po zrzuceniu ostatniej bomby, ale wspomnienia drugiego stopnia też bywają nieprzyjemne.

— Hej, Al — powiedział do syna, który obdarzył go łaskawym spojrzeniem.

— Cześć, tato.

— Chcesz pojechać ze mną do miasta?

— Nie — odparł Al, natychmiast zapadając w odrętwienie.

Burkhalter uniósł nie istniejące brwi i już zamierzał odejść, gdy pod wpływem impulsu zrobił coś, na co rzadko sobie pozwalał bez milczącej zgody drugiej strony: użył swoich telepatycznych zdolności do przeniknięcia myśli Ala. Sam przed sobą się przyznał, że się waha, że wyczuwa podświadomą niechęć do takiego postępowania, mimo iż Al zdecydowanie już wyrósł z nieprzyjemnej i nieludzkiej bezkształtności umysłowego niemowlęctwa. We wcześniejszym okresie umysł Ala szokował swoim wyobcowaniem.

Burkhalter przypomniał sobie kilka nieudanych doświadczeń, jakie przeprowadził przed narodzinami Ala — niewielu przyszłych ojców potrafi oprzeć się pokusie eksperymentowania z mózgiem płodu. Skończyło się to koszmarami, jakich Burkhalter nie śnił od czasów młodości. Widział w nich ogromne, tłoczące się masy, przerażający bezmiar i inne równie straszne obrazy. Wspomnienia sprzed narodzin to sprawa drażliwa i należy je pozostawić wykwalifikowanym psychologom pamięci.

Teraz Al dojrzewał i marzył, jak każdy, w jasnych barwach. Uspokojony, Burkhalter poczuł, iż spełnił swój obowiązek kontroli i zostawił syna, który dalej żuł trawę i dumał.

Ed poczuł przypływ niespodziewanej tkliwości, a zarazem bolesnego, bezradnego

współczucia, jakie miewał dla istot bezbronnych, niezdolnych jeszcze wchodzić w konflikt z tą dziwnie skomplikowaną sprawą nazywaną życiem. Konflikty i rywalizacja nie wymarły wraz z końcem wojen. Konfliktem jest przystosowywanie się nawet do własnego otoczenia, a każda rozmowa pojedynkiem. Również Al stanowił dwojaki problem. Tak, język wznosi bariery, co w pełni potrafią ocenić Łysi, ponieważ ta bariera między nimi nie funkcjonuje.

Krocząc drogą prowadzącą do centrum miasta, Burkhalter uśmiechnął się gorzko i szczupłymi palcami przeczesał dobrze utrzymaną perukę. Obcy często wyrażali zdziwienie, dowiadując się, że jest jednym z Łysych, telepatą. Rzucali mu zdumione spojrzenia, lecz dobre wychowanie nie pozwalało im pytać, jak to jest być kimś takim, chociaż paliła ich ciekawość. Burkhalter nie unikał takich rozmów.

— Po Eksplozji moi rodzice mieszkali niedaleko Chicago. To dlatego.

— Aha — zdziwione spojrzenie. — Słyszałem, że wtedy powstało wiele… — wahanie.

— Fenomenów albo mutacji. Zdarzało się i to, i to. Nadal nie wiem, do której kategorii się zaliczam — dodawał czasami z rozbrajającym uśmiechem.

— Ty nie możesz być fenomenem! — protestował zbyt gorąco rozmówca.

— Na terenach dotkniętych radioaktywnością, w pobliżu miejsc, gdzie spadły bomby, powstały bardzo osobliwe okazy. Zaszły bardzo dziwne zmiany w protoplazmie zarodków.

Większość z nich wymarła, nie mogły się rozmnażać. Można jeszcze spotkać kilku takich osobników w sanitoriach… na przykład z dwiema głowami. Mimo to pytający zawsze odczuwali zażenowanie.

— To znaczy, że potrafisz czytać moje myśli… w tej chwili?

— Mógłbym, ale tego nie robię. To wymaga dużo wysiłku, chyba że chodzi o drugiego telepatę. My, Łysi… nie… po prostu tego nie robimy. Człowiek obdarzony nadmiernie rozwiniętymi mięśniami nie bije innych, chyba Nie zależy mu na zbiorowej bijatyce. Łysi mają świadomość drzemiącego zagrożenia: linczu. A roztropni Łysi unikają nawet sugestii o tym… dodatkowym zmyśle. Mówimy, że jesteśmy po prostu inni i nie wdajemy się w szczegóły.

Jedno wszak pytanie dawało się nieodmiennie wyczuć, chociaż nie zawsze padało wprost.

— Gdybym to ja był telepatą… a ile ty rocznie zarabiasz?

Odpowiedź przyjmowali z niedowierzaniem. Człowiek, który potrafi czytać myśli, mógłby zarabiać krocie, gdyby zechciał. Dlaczego Ed Burkhalter zadowala się posadą specjalisty od semantyki w wydawnictwie Modoc Publishing Town, skoro jedna podróż do miasta naukowców pozwoliłaby mu zdobyć tajemnice, dzięki którym zdobyłby fortunę?

Istniały po temu zasadnicze powody. Jednym z nich był instynkt samozachowawczy. To on właśnie nakazywał Burkhalterowi i wielu jemu podobnym nosić peruki. Byli jednak i tacy, którzy ich nie nosili.

Modoc było miastem bliźniaczym Pueblo, po drugiej stronie gór, na południe od pustyni, gdzie ongiś rozciągało się Denver. W Pueblo

znajdowały się drukarnie, fotolinotypy i maszyny przetwarzające rękopisy na książki po wcześniejszej obróbce w Modoc. Pueblo dysponowało bazą helikopterów dostawczych, a jej kierownik, Oldfield, od tygodnia domagał się rękopisu „Psycho–historii", jakiegoś autora z New Yale, który do tego stopnia zaangażował się w swoje dawne problemy emocjonalne, że ucierpiała na tym literacka strona dzieła. Kłopot polegał na tym, że ów autor nie miał zaufania do Burkhaltera. Ten zaś, nie będąc ani księdzem, ani psychologiem, musiał przyjąć obie role, nie przyznając się do tego znerwicowanemu autorowi.

Rozległe budynki wydawnictwa przypominały bardziej ośrodek wypoczynkowy niż zabudowania o charakterze utylitarnym. Wynikało to z konieczności, ponieważ autorzy to szczególny rodzaj ludzi. Nierzadko trzeba było ich nakłaniać do poddania się hydroterapii, aby nabrali odpowiedniej kondycji przed podjęciem pracy z semantykami nad swoją książką.

Nikt nie zamierzał ich gryźć, ale oni nie zdawali sobie z tego sprawy i albo przerażeni chowali się po kątach, albo szarżowali, używając języka zrozumiałego tylko dla nielicznych.

Jem Quayle, autor „Psycho–historii", nie pasował do żadnej z tych grup: był po prostu ogłuszony intensywnością swoich odkryć. Jego życiorys idealnie kwalifikował go do emocjonalnego zaangażowania w przeszłość... a to niebagatelna sprawa, w przypadku

zaawansowanej pracy naukowej tego typu.

Dr Moon, członek zarządu, siedział przy południowej bramie i jadł jabłko, które obierał starannie swoim srebrnym sztyletem. Moon był niski, gruby i bezkształtny, miał niewiele włosów, ale nie był telepatą. Łysi byli zupełnie pozbawieni owłosienia. Przełknął kawałek jabłka i pomachał ręką w kierunku Burkhaltera.

— Ed... hep... chciałem z tobą porozmawiać.

— Bardzo proszę... — odpowiedział uprzejmie Burkhalter i znieruchomiał, kołysząc się na piętach. Głęboko zakorzeniony odruch kazał mu przysiąść obok członka zarządu. Z oczywistych powodów Łysi nigdy nie stali w obecności siedzących nie–telepatów. Ich oczy spotkały się na tym samym poziomie.

— O co chodzi? — zapytał Burkhalter.

— Wczoraj przyleciał do sklepu transport jabłek z Szasty. Powiedz

Ethel, żeby kupiła, dopóki jeszcze są. Skosztuj. — Moon przyglądał się swemu towarzyszowi, który zjadł kęs i przytaknął. — Dobre. Powiem jej, żeby zrobiła zapas. Ale dzisiaj nasz helikopter jest w naprawie. Ethel coś w nim popsuła.

— I to się nazywa gwarancja — odparł ponuro Moon. — W Huron zaczęli robić świetne, nowe modele. Mój będzie z Michigan. Słuchaj, dzwonili rano z Pueblo w sprawie książki Quayle'a.

— Oldfield?

— To swój człowiek — potwierdził Moon. — Pytał, czy nie mógłbyś przesłać chociaż paru rozdziałów?

Burkhalter potrząsnął głową.

— Raczej nie. Już na samym początku jest kilka pojęć abstrakcyjnych, które wymagają wyjaśnienia, a Quayle jest... — zawahał się.

— Co z nim?

Burkhalter pomyślał o kompleksie Edypa, który wykrył w umyśle Quayle'a, ale było to coś uświęconego, mimo iż nie pozwalało autorowi dokonać trzeźwej interpretacji Dariusza.

— Jego wywody są mętne. Nie mogę ich puścić w takiej formie. Wczoraj przetestowałem je na trzech osobach i otrzymałem od każdej z nich inną interpretację. Na razie „Psycho— historia" dla każdego ma inną wymowę. Krytycy nieźle by nam natarli uszu, gdybyśmy wydali ją w obecnej formie. Czy możesz go jeszcze trochę przytrzymać?

— Zobaczymy — Moon nie był pewny. — Mam powieść z tezą, którą mógłbym mu

tymczasem podrzucić. Taki lekki, zastępczy erotyzm, zupełnie nieszkodliwy. A na dodatek już dostała atest semantyczny. Zatrzymywaliśmy ją dla ilustratora, ale mogę ją dać Dumanowi. Tak, chyba da się to zrobić. Prześlę maszynopis do Pueblo, a ryciny, mogą poczekać. Wesoły jest nasz żywot, Ed.

— Czasami aż za wesoły — zauważył Burkhalter. Wstał, pożegnał Moona skinieniem głowy i udał się na poszukiwanie Quayle'a, który wygrzewał się w słońcu na jednym z tarasów.

Quayle był szczupłym, wysokim mężczyzną o zatroskanej twarzy i nieobecnym spojrzeniu żółwia. Spoczywał na leżance z flexiglasu od góry przypiekany bezpośrednio przez słońce, a od dołu lizany przez promienie odbite przy pomocy przezroczystego kryształu. Burkhalter

ściągnął koszulę i opadł na leżak obok pisarza. Quayle zerknął na gładki tors Burkhaltera i poczuł, jak wzbiera w nim obrzydzenie: Łysy… żadnej intymności… nic mu do tego… sztuczne brwi i rzęsy; ale to jednak…

Coś szpetnego, w każdym razie.

Burkhalter dyplomatycznie przycisnął włącznik i na ekranie ukazała się strona „Psycho– historii", powiększona i czytelna. Quayle przyglądał się arkuszowi, na którym czytelnicy zakodowali swoje uwagi. Burkhalter dopatrzył się w nich odmiennych interpretacji tego, co winno obyć się bez wyjaśnień. Skoro trzech czytelników zrozumiało dany akapit na trzy różne sposoby, to co miał na myśli Quayle? Ostrożnie zgłębiał myśli autora, świadomy bezużytecznych zabezpieczeń wzniesionych przeciwko jego ingerencji, barier z gliny, ponad którymi jego wejrzenie przeciskało się jak przenikliwy podmuch wiatru. Żaden zwykły śmiertelnik nie był w stanie zamknąć swego umysłu przed Łysymi. Oni natomiast mogli chronić swoją intymność przed innymi telepatami… przynajmniej dorośli. Pewne emocjonalne pasmo wybiórcze…

Jest. Wprawdzie nieco pogmatwane. Dariusz: nie tylko słowo lub obraz, lecz drugie życie.

Rozproszone i fragmentaryczne. Okruchy dźwięków i zapachów, wspomnień i emocji.

Uwielbienie i nienawiść. Paląca bezradność. Czarny huragan o zapachu żywicy przetaczający się nad mapą Europy i Azji. Coraz mocniejszy zapach sosny, straszliwe upokorzenie i wspomnienie bólu… oczy… Wyjdź!

Burkhalter odsunął od siebie mikrofon dyktografu i wyciągnięty spoglądał w górę przez przyciemnione szkła, które założył już wcześniej.

— Wyszedłem natychmiast. Tak jak mi kazałeś — oświadczył. — I nadal jestem na zewnątrz.

Quayle oddychał z trudem.

— Dziękuję. Przepraszam. Dlaczego nie żądasz pojedynku..? — zapytał.

— Nie chcę się z tobą pojedynkować. Nigdy jeszcze nie splamiłem krwią swojego sztyletu.

Poza tym rozumiem, co czujesz. Proszę nie zapominać, że na tym

polega moja praca, panie Quayle. Dowiaduję się niejednego… i zapominam.

— To jest ingerencja. Powtarzam sobie, że to nieistotne, ale moje prawo do tajemnicy… jest ważne.

Burkhalter nie tracił cierpliwości. — Spróbujmy inaczej, aż znajdziemy coś, co nie będzie zbyt osobiste. A jeżeli zapytam, czy podziwiasz Dariusza?

Podziw… zapach sosen… Burkhalter natychmiast przerwał milczenie. — Jestem na zewnątrz. Dobrze?

— Dzięki — szepnął Quayle. Odwrócił się plecami do pytającego. Po chwili przemówił.

— To głupie… takie odwracanie się. Przecież nie musisz widzieć mojej twarzy, żeby znać moje myśli.

— Przed moim wejściem musisz rozwinąć powitalny kobierzec — radził mu Burkhalter.

— Chyba to prawda. Chociaż poznałem paru Łysych… i mi się nie podobali.

— Jest ich sporo, masz rację. Ja też ich znam. To ci, którzy nie noszą peruk.

Quayle podjął wątek.

— Czytają czyjeś myśli i, dla zabawy, wprawiają go w zakłopotanie. Powinno się ich… lepiej kształcić.

Burkhalter mrużył oczy w słońcu.

— Tak już jest, panie Quayle. Łysi też mają swoje problemy. Muszą dostosować się do życia w świecie bez telepatii. Podejrzewam, iż niejeden Łysy uważa, że jego specyficzne zdolności się marnują. Są zawody, do których taki człowiek jak ja jest idealny…

— Człowiek! — Burkhalter przechwycił skrawek myśli Quayle'a. Zignorował go i z kamienną twarzą ciągnął temat.

— Semantyka zawsze przysparzała trudności, nawet w krajach, gdzie posługiwano się tylko jednym językiem. Wykwalifikowany Łysy jest świetnym tłumaczem. I chociaż nie ma Łysych w policji, często z nią współpracujemy. To jest trochę tak, jakbyśmy byli maszyną zdolną do wykonywania zaledwie kilku operacji.

— Kilku więcej, niż potrafią ludzie — zauważył Quayle. Oczywiście, pomyślał Burkhalter, pod warunkiem, że moglibyśmy konkurować na równi z ludźmi pozbawionymi zdolności telepatycznych. Czy zagraliby

z nim w pokera? Poczuł w ustach nieprzyjemny smak goryczy. Czy jest jakieś rozwiązanie? Rezerwaty dla Łysych? Izolacja? Czy naród ślepców potrafiłby zaufać widzącym? Może zostaliby zmiecieni — to najskuteczniejsze rozwiązanie, taki system kontroli i równowagi, który wykluczył możliwość wojny.

Przypomniał sobie, jak obrócono w proch Red Bank, prawdopodobnie słusznie. Red Bank zaczynało przerastać samo siebie, a własna duma stanowiła istotny czynnik: nikt nie godził się na utratę twarzy, dopóki miał sztylet u pasa. Podobnie sprawa się miała w przypadku tysięcy miasteczek w całej Ameryce. Każde z nich specjalizowało się w jednej dziedzinie: w produkcji helikopterów — Huron i Michigan, w uprawie warzyw — Conoy i Diego, odzież, szkolnictwo, sztuka, maszyny — każda miejscowość pilnie obserwowała pozostałe. Ośrodki naukowo–badawcze były nieco większe, czemu nikt się nie sprzeciwiał, bowiem inżynierowie nigdy nie zaczynali wojny, oprócz sytuacji przymusowych. Zaledwie parę miast szczyciło się liczbą mieszkańców przekraczającą kilkaset rodzin. Było to najskuteczniejsze zastosowanie zasady kontroli i równowagi: ilekroć gdzieś zaobserwowano oznaki rozrastania się, a co za tym idzie, chęć przejęcia roli stolicy, i dalej, utworzenia mocarstwa imperialistycznego — dokonywano niwelacji. Jednak od dłuższego już czasu to się nie zdarzało. Przypadek Red Bank mógł okazać się pomyłką.

Z geopolitycznego punktu widzenia taki układ był doskonały, z socjologicznego — także do przyjęcia, mimo koniecznych zmian. Wystąpiło zjawisko drzemiącego w podświadomości awanturnictwa. Waga praw jednostki rosła wraz z postępem decentralizacji. Ludzkość uczyła się.

Przyswoiła sobie system monetarny oparty głównie na wymianie, nauczyła się latać: nikt już nie jeździł samochodami. Uczono się nowych rzeczy, lecz nikt nie zapominał o Eksplozji.

W kryjówkach nie opodal każdego miasta przechowywano bomby zdolne dokładnie i w fantastyczny sposób unicestwić całe miasto. Takie same ładunki zastosowano do niszczenia miasta podczas Eksplozji.

Każdy wiedział, jak zrobić taką bombę. Były to mechanizmy cudownie i straszliwie proste, ich części łatwo dostępne, a montaż nietrudny. Wystarczyło wzbić się helikopterem ponad miasto, zrzucić jajo i dokonać kasacji.

Oprócz malkontentów i osobników nieprzystosowanych, obecnych w każdym

społeczeństwie, zamieszkujących wyludnione obszary poza miastami, nikt nie wierzgał. W obawie przed kasacją wędrowne plemiona nigdy nie dokonywały najazdów ani nie łączyły się w duże grupy.

Twórcy w pewnym stopniu także należeli do nieprzystosowanych, lecz nie byli aspołeczni, więc mieszkali tam, gdzie chcieli, i malowali, pisali, komponowali, chroniąc się w swoich własnych światach. Naukowcy, równie trudni z innych powodów, ściągali do nieco większych miast, łącząc się w małe konstelacje i dokonywali wybitnych osiągnięć.

A Łysi… znajdowali zatrudnienie tam, gdzie im było wolno.

Wszyscy nie–telepaci postrzegali świat zupełnie inaczej niż Burkhalter, który był niezwykle wyczulony na element człowieczeństwa. Przypisywał ludzkim wartościom głębsze, pełniejsze znaczenie, bez wątpienia dlatego, iż widział człowieka także w wymiarach innych niż codzienne. Poza tym, w pewnym sensie musiał spoglądać na ludzkość z zewnątrz.

Jednak sam też był człowiekiem. Bariera wzniesiona przez telepatię sprawiała, że ludzie stali się podejrzliwi wobec niego, bardziej podejrzliwi, niż gdyby miał dwie głowy. Mogliby mu wówczas współczuć. Ale w tej sytuacji…

W tej sytuacji, za pomocą skanera wyświetlił nowe strony maszynopisu.

— Daj mi znać — zawrócił się do Quayle'a.

Quayle odgarnął z czoła siwe włosy.

— Jestem cały rozdygotany — zaprotestował. — Korelowanie własnego materiału to dla mnie nie lada wysiłek.

— Można przecież przesunąć termin publikacji — zauważył Burkhalter mimochodem i ucieszył się, że Quayle nie podejmuje tematu. On także nie lubił porażek.

— Nie, nie. Muszę to zrobić teraz.

— Oczyszczenie psychiczne…

— No tak, może z psychologiem, ale nie z…

—… nie z Łysym. Wielu psychologów korzysta z naszej pomocy. I mają dobre wyniki.

Quayle włączył dozownik dymu tytoniowego i wdychał powoli.

— Wydaje mi się... nie znam Łysych zbyt dobrze. Nie za dobrze... Kiedyś widziałem kilku w zakładzie psychiatrycznym. Czy jestem niedelikatny?

— Nie. Każda mutacja może otrzeć się o margines. Odnotowano wiele niepowodzeń.

Promieniowanie twarde sprowokowało wystąpienie jednej mutacji właściwej: pozbawionych owłosienia telepatów, ale nie wszyscy odpowiadali normie. Umysł ludzki to niezwykły mechanizm... wiadomo. To koloid, który — obrazowo mówiąc — balansuje na ostrzu szpilki.

Telepatia jest w stanie ujawnić ewentualne skazy. I dlatego można powiedzieć, iż Eksplozja stała się przyczyną strasznej liczby przypadków obłędu. Nie tylko wśród Łysych, ale także wśród innych mutacji, które wówczas powstały. Z tą tylko różnicą, że wśród Łysych, prawie zawsze odnotowuje się przypadki paranoi.

— Oraz otępienia umysłowego — Quayle uwolnił się od przykrego zakłopotania, przerzucając ciężar rozmowy na Burkhaltera.

— Tak, oraz demencji. Gdy chory umysł obciążony dziedzicznie posiądzie instynkty telepatyczne, nie potrafi nad nimi panować. Jest zdezorientowany. Paranoicy kryją się w swoim świecie wewnętrznym, natomiast cierpiący na demencję nie zdają sobie sprawy z tego, że ten świat istnieje. Są jeszcze inne różnice, ale tę uważam za podstawową.

— To przerażające — odezwał się Quayle. — Nie przychodzi mi na myśl żadna historyczna paralela.

— Bo jej nie ma.

— Do czego to może doprowadzić?

— Nie wiem — zadumał się Burkhalter. — Myślę, że do asymilacji z naszej strony. Na razie upłynęło za mało czasu. Posiadamy pewną specjalizację i jesteśmy użyteczni w pewnych zawodach.

— Jeżeli wam to wystarczy. Bo ci Łysi, którzy nie chcą nosić peruk...

— Podejrzewam, że mają takie porywcze charaktery, w końcu wszyscy dadzą się wybić w pojedynkach — Burkhalter uśmiechnął się. — Niewielka strata. Pozostali mają to, czego im trzeba: akceptację. Nie mamy ani rogów, ani aureoli.

Quayle pokiwał głową.

— Chyba się cieszę, że nie jestem telepatą. Umysł ludzki jest i tak

wielką tajemnicą, bez otwierania nowych drzwi. Dziękuję, że pozwoliłeś mi się wygadać. Zdaje się, że już sporo z siebie wyrzuciłem. Wracamy do tekstu?

— Dobrze.

Na ekranie zamigotały kolejne stronice książki. Rezerwa Quayle'a zmalała, a jego myśli stały się bardziej klarowne, dzięki czemu Burkhalter mógł dotrzeć do prawdziwego znaczenia twierdzeń dotychczas mętnych. Praca posuwała się do przodu, semantyk nagrywał na dyktograf zredagowane wersje i tylko dwa razy natknęli się na przeszkody emocjonalne. W południe zrobili przerwę. Burkhalter przyjaźnie skinął głową i wyszedł, zabierając przekaźnik do swojego pokoju, gdzie z rekordera odczytał kilka zarejestrowanych rozmów. Po ich przesłuchaniu w jego niebieskich oczach pojawił się niepokój.

Podczas lunchu rozmawiał z doktorem Moonem. Trwało to tak długo, że kawa nie wystygła tylko dzięki filiżankom indukcyjnym, lecz Burkhalter miał niejeden problem do omówienia. Znał Moona od dawna. Uważał, że grubas należy do garstki tych, w których fakt czyjejś przynależności do Łysych nie budził podświadomej odrazy.

— Nigdy w życiu się nie pojedynkowałem, doktorze. Nie mam odwagi.

— Nie możesz sobie pozwolić na brak odwagi. Nie wolno ci nie przyjąć tego wyzwania,

Ed. Nie wypada.

— Ale ten Reilly... nawet go nie znam.

— Ja o nim słyszałem. Ma podły charakter i wiele pojedynków na swoim koncie.

Burkhalter uderzył dłonią w stół.

— To nonsens! Nie zrobię tego!

— Hm, twoja żona nie może z nim walczyć — zauważył trzeźwo Moon. — Natomiast jeżeli Ethel czytała myśli pani Reilly i je rozgłaszała, to Reilly ma powody.

— Myślisz, że nie wiem, czym to grozi? — Burkhalter zniżył głos. — Ethel nie wczytuje się w myśli bardziej niż ja. To będzie koniec... dla nas. I dla wszystkich Łysych.

— Ale nie dla tych, którzy odmawiają noszenia peruki. Oni...

— To głupcy. Robią złą opinię wszystkim Łysym. Po pierwsze, Ethel

nie czyta myśli i nie czytała myśli pani Reilly. Po drugie, Ethel nie plotkuje.

— Madame Reilly jest niewątpliwie typem histerycznym — zauważyła Moon. —

Wiadomość o tym skandalu, czy co to tam było, rozeszła się i pani Reilly przypomniała sobie, że niedawno widziała Ethel. To jest taki typ człowieka, który zawsze musi znaleźć sobie kozła ofiarnego. Byłbym skłonny podejrzewać, że sama się wygadała i musiała to jakoś ukryć, żeby małżonek nie miał do niej pretensji.

— Nie zamierzam podejmować wyzwania Reilly'ego — oświadczył z uporem Burkhalter.

— Będziesz musiał.

— Słuchaj, może..?

— Co takiego?

— Ach, nic. Miałem pewien pomysł, który mógł być skuteczny. Nieważne. Zdaje się, że znalazłem wyjście. I tak jedyne. Na pojedynek się nie odważę, to jest pewne.

— Nie jesteś tchórzem.

— Łysi boją się jednej rzeczy — stwierdził Ed. — Opinii publicznej. Wiem, że zabiłbym Reilly'ego. I dlatego nigdy w życiu się nie pojedynkowałem.

Moon pił kawę.

— Hm. Myślę...

— Nie mów. Mam jeszcze jedną sprawę. Zastanawiam się, czy nie powinienem wysłać Ala do szkoły specjalnej.

— A co chłopcu dolega?

— Zapowiada się na wspaniałego przestępcę. Dzwoniła dzisiaj do mnie jego nauczycielka.

Trzeba było słyszeć playback. Al posługuje się dziwnym językiem i zachowuje się dziwnie.

Robi paskudne numery kolegom... jeżeli w ogóle ich ma.

— Wszystkie dzieci są okrutne.

— Dzieci nie wiedzą, co to znaczy i dlatego są okrutne. Nie znają empatii. Lecz Al... — Burkhalter rozłożył ręce w bezradnym geście — ... Al jest na dobrej drodze, aby stać się młodym tyranem. Wygląda na to, że na niczym mu nie zależy... tak przynajmniej twierdzi nauczycielka.

— Na razie nie widzę w tym niczego nadzwyczajnego.

— Nie to jest najgorsze. On się robi bardzo egotyczny. Za bardzo. Nie chcę, by wyrósł na takiego Łysego bez peruki, o jakich mówiłeś — Burkhalter nie wymienił drugiej możliwości: szaleństwa, paranoi.

— Musi skądś brać przykład. Z domu? Niemożliwe, Ed. Gdzie on jeszcze bywa?

— Tam gdzie wszyscy. Zupełnie normalne środowisko.

— Wydawało mi się, że Łysi dysponują nadzwyczajnymi możliwościami w dziedzinie wychowywania młodzieży. Coś takiego jak… kontakt myślowy?

— Tak. Ale… nie wiem. Problem w tym — Burkhalter zniżył głos do szeptu — że ja sam nie chcę być różny od innych. Myśmy nie chcieli urodzić się telepatami. Może to wspaniałe na dłuższą metę, ale jestem jedną osobą i mam swój własny mikrokosmos. Ci od socjologii długoterminowej nie biorą tego pod uwagę. Potrafią znaleźć odpowiedzi, ale i tak każdy, telepata czy nie, póki żyje, musi walczyć na własną rękę. I to wcale nie jest takie proste jak zwyczajna bitwa. To coś znacznie trudniejszego: konieczność nieustannego trzymania się na baczności, konieczność dopasowania się do świata, który nas nie chce.

Moon był zażenowany.

— Czy ty się nad sobą nie rozczulasz, Ed?

Burkhalter otrząsnął się.

— Tak, doktorze. Ale dam sobie radę.

— Zrobimy to razem — oświadczył Moon, chociaż Burkhalter nie spodziewał się po nim zbyt wiele. Moon będzie się starał, ale zwyczajnemu człowiekowi zrozumienie, iż Łysy jest… takim samym człowiekiem, przychodzi z niesamowitym trudem. Ludzie szukali różnicy i znajdowali ją.

Niemniej jednak musi wszystko wyjaśnić, zanim ponownie spotka Ethel. Mógłby z łatwością ukryć tę informację, ale Ethel zauważy barierę myślową i zacznie się zastanawiać.

Ich i tak idealny związek był jeszcze doskonalszy dzięki dodatkowemu kontaktowi, który rekompensował im nieuchronne, na wpół wyczuwalne odsunięcie od reszty świata.

— Jak ci idzie „Psycho–historia”? — zagadnął Moon po chwili.

— Lepiej niż się spodziewałem. Znalazłem nowy sposób na Quayle’a. Opowiadam mu o sobie i to go chyba otwiera. Dodaje mu tyle pewności siebie, że potrafi udostępnić mi swoje myśli. Chyba,

mimo wszystko, uda się nam zrobić te początkowe rozdziały dla Oldfielda.

— Świetnie. I tak nie damy mu się poganiać. Gdybyśmy mieli wypuszczać książki w takim tempie, to równie dobrze można wrócić do okresu semantycznego chaosu. Ale my się nie damy!

Burkhalter wstał.

— Pora na mnie. Do zobaczenia.

— Sprawa Reilly'ego…

— Niech poczeka — Burkhalter wyszedł i udał się pod adres zarejestrowany przez monitor. Dotknął sztyletu przy pasie. Pojedynki nie satysfakcjonują Łysych, ale…

Jakaś powitalna myśl pojawiła się w jego mózgu. Przechodząc pod łukiem prowadzącym na teren osiedla, Burkhalter zatrzymał się i uśmiechnął do Sama Shane'a, Łysego spod Nowego Orleanu, który nosił płomiennorudą perukę. Nie musieli rozmawiać.

Osobiste pytanie dotyczące umysłowego, moralnego i fizycznego dobrostanu.

Ciepłe zadowolenie. A u ciebie, Burkhalter? Przez moment Burkhalter niemal widział, z czym kojarzy się Shane'owi symbol jego nazwiska.

Zwiastun kłopotów.

Serdeczna, ciepła gotowość pomocy. Łysych łączyła mocna więź.

Burkhalter pomyślał: wszędzie, gdzie się zjawię, spotykam się z taką samą podejrzliwością. Jesteśmy odmieńcami.

Gdzie indziej to przybiera na sile, myślał Shane. Jest nas w Modoc Town dużo. Ludzie są zawsze bardziej ostrożni tam, gdzie nie stykają się codziennie z… nami.

Chłopak…

Ja też mam problem, myślał Shane. Martwię się. Moje dwie dziewczynki…

Przestępczość?

Tak.

Jakieś cechy wspólne?

Nie wiem. Niejeden Łysy miał takie same kłopoty z własnymi dziećmi.

Cechy wtórne mutacji? Ujawnione w drugim pokoleniu?

Wątpię, myślał ponuro Shane, osłaniając to pojęcie niepewnym

pytaniem. Zastanowimy się nad tym później. Muszę odejść.

Burkhalter westchnął i poszedł swoją drogą. Liczne zabudowania okalały centrum wydawnicze w Modoc. Semantyk przeszedł przez park i zbliżał się do celu swojej wędrówki.

Dotarł do rozległego, półkolistego budynku, który okazał się pusty, więc odłożył sprawę Reilly'ego na później i, rzuciwszy okiem na czasomierz, przeciął wzgórze w kierunku szkoły.

Jak przewidywał, była właśnie przerwa. Dostrzegł Ala pod drzewem, w pewnej odległości od kolegów, którzy oddawali się przyjemnie okrutnej zabawie w Eksplozję.

Wysłał swoją myśl przodem.

Zielony był już pod samym szczytem góry. Kosmate gnomy gnały jego tropem, niesłusznie celując w swoją ofiarę światłobłyskami. Lecz Zielony zwinnie uskakiwał na boki. Skały pochylały się...

— Al.

... nad nim spychane przez gnomy gotowe nawet...

— Al. — Burkhalter nadał myśli imię, wdzierając się w umysł syna. Rzadko stosował ten sposób, ponieważ chłopiec był praktycznie bezbronny wobec tego typu ingerencji.

— Cześć, tato — odpowiedział Al spokojnie. — Co się stało?

— Dostałem twoją opinię od nauczycielki.

— Ja nic nie zrobiłem.

— Poinformowała mnie, o co chodzi. Posłuchaj, synu. Nie wbijaj sobie głupot do głowy.

— Nie wbijam.

— Jak uważasz, czy Łysy jest lepszy, czy gorszy od nie–Łysego?

Al niepewnie przestępował z nogi na nogę. Nie odpowiedział.

— No, cóż — zaczął Burkhalter. — I tak, i nie. A to dlatego, że Łysi mogą komunikować się myślami, lecz żyją w świecie, w którym większość ludzi tego nie potrafi.

— Bo są głupi — zawyrokował Al.

— Nie tacy głupi, skoro są do niego przystosowani lepiej niż ty. Równie dobrze można by powiedzieć, że żaba jest lepsza od ryby, bo jest zwierzęciem ziemnowodnym — Burkhalter telepatycznie poszerzył i wyjaśnił zagadnienie.

— Mhm... tak, rozumiem.

— Być może — cedził Burkhalter — trzeba ci porządnie złoić tyłek.

Ta myśl nie była zbyt genialna. O co ci chodziło, powtórz?

Al usiłował ukryć swoją myśl, wygaszając ją. Ojciec zaczął usuwać barierę, co przychodziło mu bez trudu, ale się powstrzymał. Al przyglądał się ojcu wzrokiem zupełnie nie–synowskim… jak ryba. To było jasne.

— Jeżeli jesteś aż takim egotykiem — zauważył Burkhalter — może zrozumiesz inne wytłumaczenie. Czy wiesz, dlaczego Łysi nie zajmują eksponowanych stanowisk?

— Jasne — oświadczył niespodziewanie Al. — Bo się boją.

— Czego?

— Czego..? — Niezwykły obraz: mieszanina czegoś dziwnie znanego. — Nie–Łysych.

— Gdybyśmy zajmowali stanowiska, na których moglibyśmy wykorzystać nasze zdolności telepatyczne, nie–Łysi pękliby z zazdrości… szczególnie wtedy, gdybyśmy odnosili sukcesy.

Ale nawet gdyby to Łysy wynalazł ulepszoną łapkę na myszy, zarzucono by mu, iż wyszperał ten pomysł spośród myśli jakiegoś nie–Łysego. Pojmujesz?

— Tak, tato — Nie pojmował. Burkhalter westchnął i podniósł wzrok. Na jednym z pagórków rozpoznał córkę Shane'a, która siedziała sama pod wielkim głazem. Tu i tam widziało się inne, samotne postacie. Daleko na wschodzie ośnieżony łańcuch Gór Skalistych odcinał się postrzępioną linią od błękitu nieba.

— Al — podjął Burkhalter — Nie chcę, żebyś się stawiał. Ten świat jest całkiem fajny, a ludzie zamieszkujący go, generalnie rzecz biorąc, są dobrymi ludźmi. Zasada przeciętności.

Bylibyśmy nierozsądni, gdybyśmy dążyli do zdobycia majątku czy władzy, ponieważ zmobilizowałoby to przeciwko nam… a i tak nie są nam potrzebne. Nikt z nas nie doświadcza biedy. Znajdujemy pracę, wykonujemy ją i jesteśmy w miarę szczęśliwi. Posiadamy pewne atuty, których nie mają nie–Łysi, na przykład, w małżeństwie. Bliskość myśli jest tak samo ważna, jak kontakt fizyczny. Nie chciałbym jednak, żebyś uważał, że to, iż należysz do Łysych, czyni cię bogiem. W dalszym ciągu — dorzucił po namyśle — potrafię ci nieźle złoić skórę, gdybyś nadal zamierzał wprowadzić w życie pomysł, który w tej chwili ci chodzi po głowie.

Al przełknął ślinę i pospiesznie się wycofał.

— Przepraszam. Już nie będę tego robił.

— I nie zapominaj o włosach. Nie zdejmuj w szkole peruki. Możesz używać tego kleidła, które stoi w szafce w łazience.

— Dobrze, ale… pan Venner nie nosi peruki.

— Przypomnij mi, żebyśmy razem przeprowadzili badania historyczne na temat zootmanów. Zapewne brak peruki jest jedyną zaletą pana Vennera, jeżeli można to nazwać zaletą.

. — Ale on robi pieniądze.

— Każdy by je robił w takim sklepie. Ale, sam to zauważysz, ludzie u niego nie kupują, jak nie muszą. To właśnie mam na myśli, mówiąc o stawianiu się. Są tacy Łysi jak Venner, ale zapytaj go kiedyś, czy jest szczęśliwy. Wiedz, że ja jestem. Na pewno bardziej niż Venner. Jasne?

— Tak, tato — Chłopiec spokorniał, ale tylko pozornie. Nadal gnębiony niepokojem Burkhalter skinął głową i odszedł. Przechodząc obok córki Shane'a, pochwycił urywek: …na szczycie Szklanej Góry bombardował gnomy głazami, dopóki…

Wycofał się. To bezwiedne ocieranie się o wrażliwe umysły jest zdecydowanie naganne w przypadku dzieci. Wobec dorosłych Łysych był to odruch instynktowny, jak uchylanie kapelusza: odwzajemniany albo nie. Dorośli mogli wznieść barierę, wyciszyć się lub odpychać intruza, koncentrując się na jednej intymnej myśli, do której nie wolno wtargnąć.

Od strony południa nadlatywał helikopter, ciągnąc za sobą sznur szybowców.

Oznakowanie wskazywało, iż jest to transport mrożonek z Południowej Ameryki. Burkhalter postanowił kupić argentyńską wołowinę. Dostał nowy przepis, który chciał wypróbować: z rusztu i z sosem barbecue. Mile widziana odmiana po tygodniu jedzenia mięsa z piecyka mikrofalowego. Pomidory, chili… pycha. Co jeszcze? No, tak. Pojedynek z Reillym.

Mimochodem dotknął rękojeści sztyletu i mruknął drwiąco. Może urodził się pacyfistą?

Teraz, kiedy w jego myślach rządziły szczegóły kolacji z rusztu, trudno mu było poważnie traktować pojedynki, chociaż wszyscy się nimi przejmowali.

Taka jest prawda. Cywilizacja toczy się przez kontynenty stuletnimi falami, lecz każda pojedyncza fala, mimo iż świadoma swojego udziału

w przypływie, jest jednak bardziej zainteresowana własną kolacją. Przecież to bez różnicy, chyba że ktoś ma tysiąc stóp wysokości, boski umysł i boską długowieczność. Ludzie nie rozumieli wielu spraw… szczególnie ci podobni Vennerowi, temu dziwakowi, który mimo iż nie kwalifikował się do zakładu, był typem potencjalnego paranoika. Odmowa noszenia peruki klasyfikowała go jako indywidualistę, ale również jako ekshibicjonistę. Jeżeli nie wstydzi się braku owłosienia, to dlaczego się z nim obnosi. Ponadto był człowiekiem poryw—czym i jeżeli ludzie pomiatali nim, to tylko dlatego, że ich prowokował swoim postępowaniem..

Natomiast Al… Chłopak zmierza ku czemuś zbliżonemu do przestępczości. Normalna droga rozwoju dziecka nie może tak wyglądać, myślał Burkhalter. Nie udawał eksperta, lecz był wystarczająco młody, aby pamiętać swoje formatywne lata. Piętrzyło się wówczas przed nim więcej trudności niż teraz przez Alem. W tamtych czasach Łysi byli wielką nowością i kuriozum. Podejmowano kroki, aby mutantów izolować, sterylizować, a nawet eksterminować.

Westchnął. Gdyby przyszedł na świat przed Eksplozją, wszystko mogłoby się inaczej ułożyć. Trudno powiedzieć. Można studiować historię, ale nie można jej przeżyć. W przyszłości zapewne powstaną telepatyczne biblioteki i wtedy stanie się to możliwe. Na razie spośród tylu szans, świat zaakceptował tylko nieliczne. W końcu przestanie się traktować Łysych jak wybryk natury i dopiero wówczas prawdziwy postęp stanie się możliwy.

To nie ludzie tworzą historię, pomyślał Burkhalter. Jej autorami są narody, a nie jednostki.

Zatrzymał się pod domem Reilly'ego. Tym razem gospodarz otworzył górną część drzwi.

Postawny, piegowaty i zezowaty olbrzym z ogromnymi dłońmi, a na dodatek, zauważył Burkhalter, wspaniale umięśniony. Oparł łapska na dolnej części drzwi i zapytał.

— Kim pan jest?

— Nazywam się Burkhalter.

W oczach Reilly'ego błysnęło zrozumienie i czujność.

— Aha. Dostał pan moje wezwanie?

— Tak — odparł Burkhalter. — Chciałem to omówić. Mogę wejść?

— Okay — odsunął się i wpuścił gościa do holu prowadzącego do

obszernego salonu tonącego w rozproszonym świetle sączącym się przez ściany pokryte szklistą mozaiką. —

Chce pan ustalić termin?

— Przyszedłem powiedzieć, że nie ma pan racji.

— Chwileczkę — Reilly machał ręką. — Żona akurat wyszła, ale wszystko mi

powiedziała. Nie podoba mi się podsłuchiwanie cudzych myśli. To nieuczciwe. Powinien był pan pouczyć swoją żonę, że ma pilnować własnego nosa... albo trzymać język za zębami.

Burkhalter cierpliwie tłumaczył.

— Daję słowo honoru, Reilly, że Ethel nie czytała myśli pańskiej małżonki.

— Tak powiedziała?

— No... nie pytałem jej.

— Oczywiście — tryumfował Reilly.

— Nie muszę. Znam ją dobrze. I... sam też należę do Łysych.

— Wiem o tym i także o tym, że być może i teraz czyta pan moje myśli — zawahał się. —

Proszę opuścić mój dom. Lubię swoje tajemnice. Spotkamy się jutro o świcie, jeżeli to panu odpowiada. A teraz proszę wyjść. — Sprawiał wrażenie człowieka, którego trapi jakaś myśl, jakby przypomniał sobie coś, czego nie chciał ujawnić.

Burkhalter szlachetnie oparł się pokusie.

— Żaden Łysy nie czyta...

— Prędzej, proszę wyjść!

— Proszę posłuchać! Nie ma pan żadnych szans w pojedynku ze mną!

— Czy pan wie, ile już mam nacięć?

— A czy kiedykolwiek pojedynkował się pan z Łysym?

— Jutro zrobię jeszcze głębsze nacięcie. Niech pan wyjdzie, dobrze?

Burkhalter cedził przez zaciśnięte zęby:

— Człowieku, czy ty nie rozumiesz, że podczas pojedynku będę mógł czytać twoje myśli?!

— Nic mnie to nie... Co?!

— Zawsze będę pół skoku przed tobą. Niezależnie od tego, jak bardzo instynktowne będą twoje ruchy, twoja myśl zawsze wyprzedzi je o ułamek sekundy. Będę znał wszystkie twoje sztuczki i słabości.

Twoja technika będzie dla mnie otwartą księgą. Cokolwiek sobie pomyślisz...

— Nie — zaprotestował Reilly. — O, nie. Sprytny pan jest, ale to bzdura.

Burkhalter zawahał się, powziął decyzję i skoczył, odsuwając na bok fotel.

— Niech pan zdejmie sztylet i zostawi zapiętą pochwę. Pokażę panu, jak to wygląda. Oczy Reilly'ego zabłysły.

— Chce pan już teraz..?

— Nie — Burkhalter odepchnął drugi fotel. Zsunął z pasa sztylet wraz z pochwą i upewnił się, że jest zapięta. — Mamy tutaj sporo miejsca. Zaczynamy..

Reilly spojrzał spode łba, odpiął sztylet i trzymając go niezgrabnie, zbity z tropu zapiętą pochwą, nagle ruszył do przodu. Lecz nie dosięgnął Burkhaltera, ponieważ ten przewidział jego ruch i pochwą swojego sztyletu trafił Reilly'ego w brzuch.

— I to byłby koniec walki — oznajmił Burkhalter.

W odpowiedzi jego oponent wykonał pchnięcie w dół zakończone ciosem w gardło.

Burkhalter wolną ręką osłonił szyję, a drugą pchnął Reilly'ego dwukrotnie w serce. Piegi wyraźnie odcinały się na bladej twarzy olbrzyma, który nie zamierzał się poddawać.

Spróbował jeszcze paru wypadów, podstępnych i sprawnych ciosów, które nie przyniosły żadnych efektów, bo Burkhalter je przewidział. Za każdym razem osłaniał dłonią miejsce, w które Reilly mierzył i nie trafiał.

Reilly niechętnie opuścił ramię. Zwilżył językiem wargi, przełknął ślinę. Burkhalter przypinał sztylet.

— Burkhalter — warknął Reilly — jesteś diabłem.

— Wcale nie. Po prostu boję się ryzykować. Czy naprawdę uważa pan, że łatwo jest być Łysym?

— Ale skoro umiecie czytać myśli...?

— Proszę się zastanowić, jakie miałbym szansę na przeżycie, gdybym angażował się w pojedynki? Wyglądałoby to nieco nienaturalnie. Nikomu by się to nie podobało i

skończyłbym szybko. Nie mogę się pojedynkować, bo popełniłbym morderstwo i wszyscy by o tym wiedzieli. Tylko z tego powodu

wycierpiałem wiele drwin i przełknąłem wiele obelg.

Teraz, jeżeli tego pan sobie życzy, jestem gotowy przełknąć kolejną i przeprosić. Przyznam się do każdego zarzutu. Ale nie będę się pojedynkował, Reilly.

— Tak, rozumiem. Cieszę, że… że pan przyszedł. — Reilly był nadal blady. —

Wpakowałbym się w pułapkę.

— Ale nie moją — zastrzegł się Burkhalter. — Odmówiłbym pojedynku. Łysi wcale nie są wybrańcami losu. Mają swoje słabe strony… taką, jak na przykład ta. Nie możemy robić sobie wrogów. I dlatego nigdy nie czytamy cudzych myśli bez pozwolenia.

— To brzmi rozsądnie. Mniej więcej — Reilly zamyślił się. — Wycofuję swoje wyzwanie.

— Dziękuję — Burkhalter wyciągnął dłoń, którą jego przeciwnik przyjął niezbyt chętnie.

— Rozumiem, że sprawa jest załatwiona, tak?

— Tak — Reilly bardzo pragnął pozbyć się gościa. Wracając do wydawnictwa, Burkhalter pogwizdywał.

Teraz może Ethel powiedzieć. Musi to uczynić, ponieważ tajemnica mogłaby zniszczyć łączącą ich telepatyczną bliskość, która nie polegała na tym, że ich myśli stały otworem, lecz na tym, iż partner natychmiast dostrzegłby każdą przeszkodę i ten idealny kontakt straciłby na idealności. I chociaż to dziwne, małżonkowie potrafili uszanować nawzajem swoją odrębność pomimo tak niezwykłej bliskości.

Ethel będzie się zapewne niepokoić, ale konflikt został zażegnany, a poza tym też należała do Łysych, chociaż nie było tego po niej widać dzięki kasztanowej, bujnej peruce i długim rzęsom. Również jej rodzice mieszkali w okolicach Seattle podczas Eksplozji i później jeszcze, zanim podjęto szczegółowe badania nad skutkami promieniowania.

Wiatr omiatał Modoc i wiał dalej, na południe doliną Utah. Burkhalter pomyślał, że chciałby teraz znaleźć się sam w swoim helikopterze, pod niebieską, pustą kopułą nieba. Tam w górze panował dziwny spokój, dany Łysym na ziemi jedynie na dalekim odludziu.

Przypadkowe urywki myśli nieustannie unosiły się w powietrzu, odbierane podświadomie i zawsze obecne jak ledwie słyszalny odgłos igły na płycie gramofonowej. To dlatego prawie wszyscy Łysi lubili latać i byli świetnymi pilotami. Podniebne przestworza stanowiły ich

niebieską samotnię.

Niestety, jest teraz w Modoc, a na dodatek spóźnia się na sesję z Quaylem. Przyspieszył kroku. W holu głównym natknął się na Moona, poinformował go spiesznie i enigmatycznie o załatwieniu kwestii pojedynku i odszedł. Grubas patrzył za nim z pytającym wyrazem twarzy.

Rekorder zapisał jedynie połączenie z Ethel. Z playbacku Burkhalter dowiedział się, że żona niepokoi się o syna i prosi Eda, aby skontaktował się ze szkołą. Już to zrobił… chyba, że chłopak już zdążył coś nabroić. Burkhalter przedzwonił do szkoły, żeby sprawdzić. Nic się nie zmieniło.

Quayle siedział w tym samym solarium co przedtem i cierpiał z powodu pragnienia.

Burkhalter kazał podać im kilka drinków w przeświadczeniu, iż pomogą autorowi trochę się rozluźnić. Quayle studiował z zapałem mapę historyczną, podświetlając kolejne warstwy czasowe w miarę cofania się w przeszłość.

— Proszę popatrzeć — powiedział, przebiegając palcami po klawiszach. — Widzi pan, jak zmieniają się granice Niemiec? I Portugalii? Proszę zwrócić uwagę na strefę wpływów.

Teraz… — Strefa wpływów portugalskich zaczęła się gwałtownie kurczyć począwszy od roku 1600, podczas gdy inne państwa wysuwały macki, przejmując władzę nad morzami.

Burkhalter sączył drinka.

— Niewiele z tego przetrwało.

— Nie, ponieważ… co panu jest?

— Słucham?

— Wygląda pan na wyczerpanego.

— Nie wiedziałem, że to widać — odparł ponuro Burkhalter. — Właśnie udało mi się wykręcić od pojedynku.

— Zawsze uważałem, że ten zwyczaj jest bez sensu — wyznał Quayle. — Jak to się stało?

Od kiedy można się z tego wyplątać?

Burkhalter wyjaśnił, a pisarz pociągnął drinka.

— Trudna sprawa — parsknął — Zdaje się, że los Łysych wcale nie jest godny pozazdroszczenia.

— Czasami zdecydowanie trudny. — Pod wpływem chwili

opowiedział o swoim synu. —

Rozumie mnie pan, prawda? Sam nie wiem, jakie wymagania należy stawiać młodemu Łysemu. To przecież mutant, a mutacja o właściwościach telepatycznych jeszcze nie miała czasu się sprawdzić. Nie możemy ustawiać mechanizmów kontrolnych, bo potomstwo świnek morskich i królików nie będzie miało zdolności telepatycznych. Próbowano tego, proszę mi wierzyć. Poza tym… dzieci Łysych wymagają szczególnego treningu, który pomógłby im poradzić sobie w dorosłym życiu.

— Pan chyba jest całkiem nieźle przystosowany.

— Nauczyłem się tego. Jak większość myślących Łysych. Dlatego nie jestem zamożny, ani nie zajmuję się polityką. Kupujemy bezpieczeństwo dla naszego gatunku za cenę rezygnacji z pewnych jednostkowych korzyści. Jesteśmy zakładnikami losu… i los nas oszczędza. Ale też i dostajemy za to swoistą zapłatę. W walucie przyszłych korzyści… negatywnych korzyści, bo my chcemy jedynie przetrwać i zdobyć akceptację… więc na razie musimy sobie odmawiać wielu korzyści pozytywnych. Takie obłaskawianie losu.

— Zapłata dla grajka — stwierdził Quayle.

— Jesteśmy grajkami. Łysi jako grupa. Nasze dzieci. I to się równoważy: w rzeczywistości płacimy sobie. Gdybym chciał w sposób nieuczciwy wykorzystać swoje zdolności telepatyczne… mój syn nie pożyłby długo. A Łysi zostaliby zgładzeni. Al musi się tego nauczyć, a właśnie robi się bardzo aspołeczny.

— Wszystkie dzieci są aspołeczne — zauważył pisarz. — Są wcieleniem indywidualizmu.

Uważam, że niepokojąca byłaby jedynie sytuacja, w której odchylenie od normy wiązałoby się z jego zdolnością telepatii.

— Coś w tym jest — Burkhalter ostrożnie zbadał stan umysłu Quayle'a i stwierdził, iż dawny antagonizm znacznie osłabł. Uśmiechnął się pod nosem i dalej zwierzał się ze swoich kłopotów. Dorosły Łysy musi być przystosowany, inaczej przepadnie.

— Środowisko jest równie ważne jak dziedziczenie. Jedno uzupełnia drugie. Jeżeli dziecko jest prawidłowo wychowywane, nie powinno mieć żadnych trudności… chyba że do głosu dojdzie dziedziczenie.

— To nie wykluczone. Tak mało wiadomo o mutacji telepatycznej.

Jeżeli brak owłosienia jest cechą wtórną, to nie wiadomo, jakie jeszcze cechy mogą się ujawnić w trzecim czy czwartym pokoleniu. Można się zastanawiać, czy telepatia jest rzeczywiście dobra dla umysłu.

— Hm, hm — odezwał się Quayle. — Prawdę powiedziawszy, to mnie napawa pewnym niepokojem…

— Tak jak i Reilly'ego.

— Owszem — przytaknął Quayle, chociaż porównanie nie przypadło mu do gustu. — Ale przecież… jeżeli jakaś mutacja jest chybiona, powinna wymrzeć. Nie będzie w stanie się rozmnażać.

— A hemofilia?

— Ile osób cierpi na hemofilię? — dopytywał się Quayle. — Patrzę na to zagadnienie z punktu widzenia psycho–historyka. Gdyby telepaci istnieli już dawniej, sprawy potoczyłyby się nieco inaczej.

— Skąd pan wie, że ich nie było?

Quayle zamrugał.

— No, tak. Rzeczywiście. W średniowieczu nazywano ich czarnoksiężnikami… albo świętymi. Eksperymenty Duke–Rhine'a… jednak takie wybryki kończą się fiaskiem. Natura próbuje trafić… w dziesiątkę… ale nie zawsze jej się to udaje za pierwszym razem.

— Tym razem też mogło się nie udać. — Przez Burkhaltera przemawiało przyzwyczajenie, instynktowna skromność. — Telepatia może okazać się zaledwie połowicznie udaną próbą osiągnięcia czegoś niewyobrażalnego. Może jakiegoś czterowymiarowego pojęcia zmysłowego. — To dla mnie zbyt abstrakcyjne — Quayle był zaciekawiony, a jego wahanie prawie znikło. Akceptując Burkhaltera jako telepatę, niejako automatycznie wymazał swoje obiekcje wobec telepatii jako takiej. — Dawni Niemcy zawsze uważali, że są inni.

Japończycy też. Żyli w przekonaniu, iż są rasą nadrzędną, ponieważ wywodzą się bezpośrednio od bogów. Byli skromnego wzrostu: genetyka sprawiła, że czuli się niezbyt pewnie w kontaktach z wyższymi rasami. Chińczycy, ci z południa, też nie są wysocy, ale nie stanowiło to dla nich problemu. —, Czy wobec tego jest to kwestia środowiska?

— Środowiska, które przyczyniło się do powstania propagandy. Japończycy przekształcili buddyzm w sintoizm, który odpowiadał ich potrzebom. Samuraj, waleczny rycerz, stał się ideałem. Obowiązujący go kodeks honorowy był nad wyraz podejrzany. Sintoizm opierał się na

zasadzie wiary w przełożonych i podporządkowania podwładnych. Czy widział pan japońskie drzewka?

— Nie przypominam sobie. Co to jest?

— Miniaturki prawdziwych drzewek rozpiętych na kracie, wykonane z drogich kamieni i obwieszone świecidełkami. Wśród nich zawsze znajduje się lusterko. Pierwsze takie drzewko powstało w celu przywabienia bogini Księżyca, która obrażona skryła się w jaskini.

Zaintrygowana błyskotkami i swoim lustrzanym odbiciem dama opuściła kryjówkę.

Wszystkie zasady moralne Japończyków były odziane w piękne szatki: taka przynęta. To samo miało miejsce w dawnych Niemczech. Ostatni niemiecki dyktator, Hitler, wskrzesił stary mit o Zygfrydzie. Istna paranoja na tle rasowym. Niemcy czcili domowego tyrana, a nie matkę. Trzeba dodać, że łączyły ich bardzo silne więzy rodzinne. I to przeniosło się na ich stosunek do państwa. Utożsamiali Hitlera z ojcem narodu. W końcu doczekaliśmy się

Eksplozji i, w rezultacie, różnych mutacji.

— Po potopie, ja — mruknął Burkhalter, kończąc drinka.

Quayle patrzył przed siebie.

— Zabawne — odezwał się po chwili milczenia. — Ta sprawa ojca narodu…

— Dlaczego?

— Czy zdaje pan sobie sprawę, jak potężny wpływ może mieć coś takiego na człowieka?

Burkhalter milczał. Jego rozmówca rzucił mu krótkie spojrzenie.

— No, tak — szepnął — Pan też jest człowiekiem. Winien jestem panu przeprosiny.

— Zapomnijmy o tym — Burkhalter uśmiechnął się.

— Wolałbym nie zapominać. Niespodziewanie dla samego siebie zdałem sobie sprawę, że zmysł telepatii wcale nie jest taki istotny. Chciałem powiedzieć… że to nie stanowi o waszej odmienności. Rozmawiam z panem…

— Ludzie często potrzebują wielu lat, żeby odkryć to, co pan właśnie stwierdził —

zauważył Burkhalter. — Trzeba im wielu lat życia i pracy z tym, co nazywa się Łysym.

— Czy pan wie, jakie myśli ukrywam przed panem? — zapytał

Quayle.

— Nie. Nie wiem.

— Kłamie pan, jak przystało na dżentelmena. Dziękuję. Powiem panu, z własnej woli, ponieważ sam tego chcę. Nie interesuje mnie, czy już się pan tego dowiedział z moich myśli.

Po prostu, chcę to sam powiedzieć. Mój ojciec… chyba go nienawidziłem… był tyranem.

Pamiętam, jak kiedyś… byłem jeszcze mały, pojechaliśmy w góry… jak mnie wtedy zbił w obecności wielu gapiów. Przez całe lata nie mogłem tego zapomnieć. Teraz — Quayle otrząsnął się — to nie wydaje mi się takie ważne.

— Nie jestem psychologiem — zaczął Burkhalter. — Moim zdaniem, to nie jest ważne.

Już nie jest pan małym chłopcem, a facet, z którym teraz rozmawiam i pracuję, jest dorosłym Quaylem.

— Hm, hm. Taaak. Prawdopodobnie zawsze to wiedziałem… że to nieważne, że chodziło po prostu o pogwałcenie mojego prawa do prywatności… Chyba teraz lepiej pana znam, Burkhalter. Może pan… wejść.

— To nam pomoże w pracy… — odparł Burkhalter z uśmiechem — …szczególnie nad Dariuszem.

— Postaram się wyzbyć wszelkich zastrzeżeń. Prawdę mówiąc, nie mam nic przeciwko… udzielaniu odpowiedzi. Nawet na pytania natury prywatnej.

— Zobaczymy… Czy chce pan teraz zająć się Dariuszem?

— Okay. — W oczach Quayle'a nie było już podejrzliwości. — Identyfikuję Dariusza z ojcem…

Spotkanie miało pomyślny i owocny przebieg. Tego popołudnia osiągnęli więcej niż w ciągu poprzedniej dwutygodniowej sesji. Burkhalter, rozgrzany sukcesem w kilku kwestiach, wpadł do dr. Moona, żeby go zawiadomić, iż sprawy przybrały korzystny obrót, po czym udał się w kierunku domu, wymieniając myśli z kilkoma Łysymi, swoimi współpracownikami, którzy także skończyli pracę. Podczas jazdy krwawy blask zachodu oblewał Góry Skaliste, a chłodny wiatr przyjemnie owiewał twarz.

Poczucie akceptacji to coś wspaniałego. I dowód na to, że jest osiągalne. W świecie pełnym podejrzliwości Łysi potrzebowali takiego

potwierdzenia. Quayle był twardym orzechem do zgryzienia, ale... Burkhalter uśmiechnął się.

Ethel będzie zadowolona. Jej życie było znacznie trudniejsze niż jego. To zrozumiałe w przypadku kobiety. Mężczyźni z całą zaciekłością starają się bronić swojej prywatności przed kobietami, również w przypadku kobiet nie–telepatek... To, że Ethel zdobyła zaufanie kobiecych klubów i grup w Modoc, należy przypisać jej niezwykłemu osobistemu urokowi.

Tylko Burkhalter wiedział, jak bardzo cierpiała z powodu braku włosów, i nawet on, jej mąż, nigdy nie widział jej bez peruki.

Jego myśl biegła przodem ku niskiemu, dwuskrzydłowemu domowi na wzgórzu i złączyła się z jej myślą w serdecznym uścisku. To było coś więcej niż zwykły pocałunek. Jak zawsze towarzyszyło im narastające poczucie oczekiwania aż do ostatnich drzwi, za którymi czekało fizyczne spotkanie. Po to urodziłem się Łysym, myślał, i dla czegoś takiego warto utracić wszystko.

Podczas kolacji ten kontakt objął także Ala. To nieuchwytne i zarazem głębokie uczucie sprawiało, iż posiłek smakował jeszcze lepiej, a woda zmieniała się w wino. Dla telepatów wyraz dom posiadał znaczenie niepojęte dla innych, ponieważ oznaczał więź dla nich niedostępną. Delikatne, nieuchwytne pieszczoty.

Zielony schodzi Wielkim Czerwonym Piargiem. Kosmate Karły usiłują wcelować w niego swoimi harpunami.

— Al — odezwała się Ethel. — Ciągle zajmujesz się tym swoim Zielonym?

Nagle coś wstrętnego, zimnego i groźnego zadrżało w powietrzu, jak lodowy sopel roztrzaskujący złociste, kruche szkiełko. Burkhalter był tak zaskoczony, że aż upuścił serwetkę i podniósł wzrok. Poczuł, jak myśl Ethel wycofuje się spłoszona, więc pospiesznie przesłał w jej kierunku podtrzymujący impuls. Naprzeciwko niego siedział chłopiec, którego krągłe policzki nadal kojarzyły się z niemowlęctwem. Świadom popełnionej gafy milczał,

zachowując czujność i kryjąc się w absolutnym bezruchu. Wiedział, że jego umysł jest zbyt słaby, by oprzeć się sondowaniu, więc znieruchomiał i czekał. Echo jego myśli zatruwało panujące milczenie.

Pierwszy odezwał się Burkhalter.

— Pozwól, Al. — Wstał od stołu.

— Zaczekaj, kochanie. Postaw barierę. Nie czytaj — prosiła Ethel.

Spokojnie i delikatnie pogładził jej myśli, po czym wziął chłopca za rękę i pociągnął za sobą na dwór. W szeroko otwartych oczach Ala malowała się czujność.

Burkhalter opadł na ławkę i posadził syna obok siebie. Początkowo mówił na głos, nie tylko dla jasności: miał jeszcze jeden powód. Z niekłamaną przykrością przyszło mu burzyć słabe zapory wysławione przez chłopca, lecz było to konieczne.

— To bardzo dziwny sposób myślenia o matce — mówił. — Dziwny sposób myślenia o mnie.

Plugastwo jawi się telepacie jeszcze bardziej plugawe, a bluźnierstwo bardziej bluźniercze.

Tym razem nie dostrzegł niczego takiego, jedynie chłód i jad.

To przecież krew z krwi, myślał Burkhalter, patrząc na syna i przebiegając w pamięci osiem lat życia chłopca. Czy to znaczy, że ta mutacja zmierza do czegoś potwornego?

Al milczał.

Burkhalter sięgnął do młodego umysłu. Syn chciał się wyrwać ojcu i umknąć, lecz przytrzymały go silne ręce. To zadziałał instynkt chłopca, nie rozum, bowiem myśli potrafią się spotkać, pokonując wielkie przestrzenie.

Nie chciał tego robić, ponieważ wrażliwość wzmaga wrażliwość, a gwałt pozostaje gwałtem. Niemniej jednak w tej sytuacji bezwzględność była konieczna. Burkhalter szukał.

Od czasu do czasu ciskał w syna jakimś słowem–kluczem, wyzwalając w nim pulsujące fale wspomnień.

W końcu, bliski mdłości, pozwolił synowi odejść. Siedział na ławce, wpatrując się w czerwień gasnącą na ośnieżonych szczytach. Biel zbrukana czerwienią. Ale jeszcze nie jest za późno. Ten człowiek postępuje jak głupiec, od samego początku zachowuje się jak głupiec, inaczej wiedziałby, że takie próby skazane są na niepowodzenie.

Indoktrynacja ledwie się rozpoczęła. Chłopca można jeszcze zawrócić z tej drogi. W oczach Burkhaltera malował się upór. I tak się stanie. I tak się stanie. Ale jeszcze nie teraz, najpierw kipiący gniew musi ustąpić miejsca współczuciu i zrozumieniu.

Nie teraz.

Wrócił do domu, zamienił z Ethel kilka słów i za pomocą telewizji

połączył się z kilkunastoma Łysymi, z którymi pracował w wydawnictwie. Nie wszyscy mieli dzieci, lecz pół godziny później wszyscy spotkali się w mieście w sali na tyłach Pagan Tavern. Sam Shane przejął fragment myśli Burkhaltera i teraz wszyscy czytali jego uczucia. Zespoleni zmysłem telepatii we współczującą jedność czekali na słowa Burkhaltera.

Opowiedział im wszystko. Nie trwało to długo, dzięki telepatii. Opowiedział im o japońskim drzewku–błyskotce iskrzącym się świecidełkami, tej lśniącej pułapce. Opowiedział o paranoi na tle rasowym i propagandzie. Ostrzegł, że najskuteczniejsza propaganda występuje w kuszącym opakowaniu, pod którym kryją się rzeczywiste motywy.

Zielony: bezwłosy bohater — symbol Łysych.

I te jego szalone, wspaniałe przygody: przynęta dla narybku, którego podatny umysł pozwalał prowadzić się ścieżkami niebezpiecznego szaleństwa. Dorośli telepaci potrafią słuchać, lecz tego nie robią. Młodzi natomiast posiadają wyższy próg chłonności myślowej, ale dorośli zaglądają do książek dla dzieci tylko po to, by upewnić się, że nie ma tam niczego szkodliwego. Nikt z nich nie zaprzątał sobie głowy słuchaniem matrycy myślowej zawartej w opowieści o Zielonym Człowieku. Większość rodziców widziała w niej zwyczajne dziecięce marzenia.

— Ja też tak myślałem — wtrącił Shane. — Moje dziewczynki…

— Poszukajcie… — mówił Burkhalter. — Ja szukałem.

Gdy myśli kilkunastu osób osiągnęły wyższą częstotliwość, dziecięcą długość fal, nagle odskoczyło od nich coś zalęknionego i czujnego.

— To on! — potwierdził Shane.

Nie potrzebowali słów. Zwartą, groźną grupą wyszli z Pagan Tavern i przeszli przez ulicę w stronę sklepu. Drzwi były zamknięte. Dwóch mężczyzn wyważyło je ramionami.

Przemierzyli mroczny sklep i dotarli na zaplecze, gdzie ujrzeli mężczyznę, który stał obok przewróconego krzesła. Światło płynące z góry odbijało się od jego łysej czaszki, a wargi poruszały bezgłośnie.

Wysłał błagalną myśl, która odbiła się od zawzięcie milczącego muru.

Burkhalter wyciągnął sztylet. Srebrzyste ostrza migotały przez

krótką chwilę...

I zgasły.

Krzyk Vennera dawno już ucichł, ale jego gasnąca, ostatnia myśl towarzyszyła

Burkhalterowi w drodze powrotnej do domu. Ten Łysy, który nigdy nie założył peruki, nie był szaleńcem, nie. Cierpiał na urojenia.

To, co ukrywał, wstrząsnęło Burkhalterem: potworny, okrutny egotyzm połączony z bezgraniczną nienawiścią wobec nie–telepatów i, zapewne, chore przekonanie o słuszności takich poglądów. I te hasła: Przyszłość należy do nas! Do Łysych! Bóg stworzył nas, abyśmy rządzili gorszymi!

Burkhalter wziął głęboki oddech i zadrżał. Mutacja nie okazała się stuprocentowym sukcesem. Jedna grupa przystosowała się: ci, którzy nosili peruki i pasowali do swojego środowiska. Inna to psychopaci i nie należy jej brać pod uwagę, bowiem ci Łysi przebywają w zakładach psychiatrycznych.

Grupa środkowa to ci, którzy mają urojenia. Nie są ani chorzy na umyśle, ani zdrowi. Nie noszą peruk.

Jak Venner.

Venner poszukiwał uczniów. Lecz chociaż jego wysiłki były z góry skazane na niepowodzenie, on sam nie ustawał w działaniu.

Jeden Łysy... z urojeniami.

Lecz są inni, wielu innych.

Na ciemnym zboczu wzgórza Burkhalter widział majaczącą, jasną plamę swojego domu.

Wysłał przodem myśl, która napotkała myśl Ethel i zatrzymała się na moment, przynosząc jej uspokojenie.

Następnie ta sama myśl ruszyła naprzód i wdarła się do uśpionego umysłu chłopca, który przestraszony i nieszczęśliwy znalazł w końcu ukojenie we śnie. Teraz królowały tam tylko senne marzenia, trochę jeszcze przybrudzone, trochę splamione, ale do oczyszczenia. I zostaną oczyszczone...

ROZDZIAŁ 2

Zapadłem w drzemkę, z której wychodziłem powoli, słysząc głęboki, dudniący łoskot, który przez chwilę pulsował, po czym, gdy

podniosłem ciężkie powieki, ucichł. Dopiero wtedy pojąłem, co to za odgłos. Był to huk odrzutowca, który być może mnie poszukuje, ponieważ zaczął się świt. Jego kamery nieustannie fotografowały okolice, a po powrocie do bazy zdjęcia zostaną wywołane i poddane analizie. Zauważą wrak mojego samolotu... jeżeli wyjdzie na zdjęciach. Ale nie wiedziałem, czy przelatywał nad tą wąską szczeliną między szczytami?

Próbowałem się poruszyć. Nie było to łatwe. Czułem się zziębnięty i ospały. Zewsząd otaczała mnie cisza. Z trudem podniosłem się na kolana, a potem wstałem. Mój oddech był jedynym dźwiękiem.

Krzyknąłem tylko po to, by przerwać głuchą ciszę.

Zacząłem chodzić, żeby pobudzić krążenie. Robiłem to niechętnie: chciałem położyć się i zasnąć. Moje myśli odpływały w nicość. W pewnej chwili spostrzegłem, że stoję w miejscu i że przenika mnie chłód.

Ponownie zmusiłem się do chodzenia. Zacząłem sobie przypominać. Nie mogłem biegać, ale mogłem chodzić i lepiej będzie, jeżeli nie przestanę, bo inaczej położę się i umrę. Co się działo po zabójstwie Vennera? Kolejnym Żywotem był, zdaje się, żywot Bartona. Barton i Trzy Ślepe Myszy. Myślałem o Bartonie i chodziłem w kółko, aż nieco się rozgrzałem i wtedy czas się cofnął, aż stałem się Bartonem w Conestodze, prawie dwieście lat temu, nie przestając być sobą, który obserwuje Bartona.

W tym czasie paranoidzi po raz pierwszy zaczęli się zrzeszać.

* * *

TRZY ŚLEPE MYSZY

Pod brzuchem helikoptera szarpanego podmuchami huraganu jezioro zmieniło się w białą pianę. Okoń rzucił się z wody charakterystycznym hakiem i zniknął pod powierzchnią. Jakaś żaglówka długim halsem mknęła ku odległemu brzegowi. Umysł Bartona odebrał błysk żarłocznego szaleństwa głodu, a po nim ekstazy, kiedy, myślami penetrując głębiny, nawiązał kontakt z jakąś formą życia wykazującą się nie rozumem, lecz instynktem — tą chciwą żądzą życia, którą dobrze poznał w trakcie tych piętnastu lat. Czysto

automatyczna penetracja myślą nie była konieczna. W spokojnych wodach nie było rekinów, krokodyli ani jadowitych węży morskich. Jedynie przyzwyczajenie i wyuczona czujność pomogły Davidowi Bartonowi stać się ekspertem w tym jednym z niewielu zawodów dostępnych dla mniejszości mutantów— telepatów. Po sześciu miesiącach w Afryce jego największym pragnieniem nie był kontakt, lecz coś, co zmniejszyłoby jego napięcie psychiczne. W dżungli Łysy potrafi łączyć się z naturą lepiej niż sam Henry D. Thoreau, lecz nie bez wyrzeczeń. Pod pogańską aurą dziewiczości tętni instynkt: przeżyć za wszelką cenę. Taką samą, bliską obłędu pasję życia Barton wyczuł jedynie w obrazach Rousseau, które przetrwały Eksplozję.

Gdzie człowieka nuży zielone wino

I męczy czerwień mórz…

Nareszcie wrócił w okolice miejsca urodzenia swojego dziada, pod Chicago, i będzie mógł przez jakiś czas odpocząć.

Manipulował sterami, gładko podrywając helikopter w górę, jakby w ten sposób dało się uniknąć tego, co nieuniknione. Żyje się głównie na ziemi, a w przypadku telepatów miało to swoje złe i dobre strony. Oczywiście, już nikt nie linczował Łysych. Czuli się całkiem bezpiecznie, niemal zaakceptowani i, trzymając się przezornie w cieniu — zawsze w perukach, mogli znaleźć pracę i wypracować swój model życia. Były to, rzecz jasna, zawody wyspecjalizowane, które nigdy nie łączyły się ani z posiadaniem zbyt wielkiej władzy, ani fortuny. Specyficzne uzdolnienia Łysych służyły społeczeństwu. Barton był przyrodnikiem, kolekcjonerem drobnej i wielkiej zwierzyny. To go uratowało.

Przypominał sobie pewną naradę sprzed lat, w której uczestniczyli jego rodzice i kilku innych telepatów, złączonych uczuciem głębokiej przyjaźni i zrozumienia zawsze obecnego wśród Łysych. Niespokojne linie myśli przecinające wówczas pokój wryły mu się w pamięć wyraźniej niż twarze obecnych. Zagrożenie, mrok, i chęć przyjścia z pomocą.

…Ujście dla jego energii… żaden naukowiec… nieudacznik, chyba że… znajdzie odpowiednią pracę…

Nie pamiętał konkretnych słów, jedynie pojęcia wraz z ich zabarwieniem i odcieniami sugestii. To i symbol imienia, którego używali w myślach o nim. Nie był tam Dave'em Bartonem. Ich myśli–

odniesienia do jego osoby, chociaż różne w każdym z umysłów, zawsze zawierały jądro znaczenia jednostkowego należące tylko do niego, do nikogo innego. Imię, jakie może mieć płomień świecy: tajemnicze i niewypowiedziane. Jego własne.

Z tego powodu oraz dlatego, że każdy Łysy musi przeżyć i dostosować się w imię najwyższego dobra swojej mutacji, znaleźli rozwiązanie. Nie–Łysy mógł być zawadiaką, w granicach rozsądku: dzisiaj wszyscy noszą sztylety i się pojedynkują. Natomiast Łysi żyli na kredyt. Swoje istnienie zawdzięczali kurtuazji, którą sami wypracowali. Należało ten stan podtrzymywać, a nie da się go osiągnąć, wzniecając antagonizmy. Taktowny i pracowity semantyk nie wzbudzał niczyjej zawiści, ale jakiś d'Artagnan mógłby… i wzbudzałby.

Chodziło zatem o ujście dla niezwykle skomplikowanego dziedzictwa, jakie otrzymał, dla jego krwi po pionierach i osadnikach zmieszanej z roztropnością mutantów.

Znaleźli rozwiązanie. Od tej pory Barton zaspokajał swoje pionierskie instynkty w dżungli, przeciwstawiał swoją inteligencję zwierzęcej dzikości tygrysów i pytonów. Gdyby nić znaleziono takiego wyjścia, być może już by nie żył. Nie–telepaci bowiem nadal mieli się na baczności, nadal byli nietolerancyjni.

Barton nie był ekstrawertykiem: nie mógł nim być. Bywał, oczywiście, zmęczony nieustającą symfonią myśli przetaczającą się jak żywa fala nad pustyniami i morzami.

Myślowe bariery okazywały się nieskuteczne, ponieważ docierały przez nie wyczuwalne strumienie myśli z zewnątrz. Chwilową ucieczkę można było znaleźć tylko wyżej, w powietrzu.

Samolot wznosił się, lekko kołysząc skrzydłami na wietrze. Jezioro wyglądało stąd jak kropla ołowiu. Dookoła ciągnął się las Limberlost, bardziej gęsty niż przed pięćdziesięciu laty: podmokła głusza, nieustannie przemierzana przez wędrowne watahy malkontentów..

Ludzie ci nie potrafili przystosować się do życia zbiorowego w setkach tysięcy wiosek rozsianych po całej Ameryce i bali się zjednoczyć. Malkontenci byli aspołeczni i prawdopodobnie w końcu wymrą.

Jezioro wyglądało jak łebek od szpilki i zniknęło. Poniżej przemknął na północ helikopter transportowy, ciągnąc za sobą sznur szybowców załadowanych, zapewne, dorszem z miast nad Great Banks

albo winogronami z winnic Nowej Anglii. Nazwy nie uległy tak wielkim zmianom jak teren. Nie pozwalało na to przywiązanie do języka. Niemniej jednak nie istniały już miasta o nazwie Nowy Jork, Chicago czy San Francisco. Funkcjonowało tu psychologiczne tabu: fuga, która przybrała formę nie nazywania nowych, na wpół wyspecjalizowanych miasteczek imionami zrakowaciałych i opustoszałych terenów znanych kiedyś jako New Orleans albo Denver. Nowe nazwy wywodziły się z historii Ameryki i świata: Modoc, Lafitte, Lincoln, Roxy, Potomac, Mowhasset, American Gun, Conestoga. Z Lafitte nad Zatoką Meksykańską transporty ryb o delikatnym mięsie płynęły do Lincoln i Roxy w pasie rolniczym. American Gun produkowało sprzęt rolniczy, a Conestoga, skąd właśnie przybywał Barton, leżała na terenach górniczych. Znajdował się tam także ogród zoologiczny strefy umiarkowanej, jeden z wielu od Puget aż po Florida End, do których dostarczał swoje trofea.

Zamknął oczy. Łysi, zmuszeni koniecznością, posiadali rozwiniętą świadomość społeczną.

Widząc świat rozpostarty pod sobą niczym mapa, trudno było nie wyobrazić sobie, że jest upstrzony kolorowymi łebkami szpilek: dużo czarnych i niewiele białych. Nie–telepaci i telepaci. Inteligentne rozwiązanie. Małpa w czerwonym kubraku zostałaby w dżungli rozszarpana na kawałki przez swoich nie ubranych towarzyszy.

Barton znalazł się otoczony błękitną, pustą przestrzenią. Burza ziemskich myśli ucichła do ledwie słyszalnych pomruków. Zamknął kabinę, włączył czujniki powietrza i ogrzewania, i pozwolił maszynie unosić się wyżej. Rozparł się w miękkim fotelu, zdając się na podświadomą czujność, która poderwie jego ręce do działania, gdyby samolot miał dostać nieprzewidzianego napadu szału. Tymczasem odpoczywał, sam, w kompletnej ciszy i pustce.

Jego umysł był czysty. Absolutny spokój, swoista nirwana, działał kojąco. Daleko poniżej niespokojny świat wysyłał wibracje pobrzękujące przez kolejne warstwy eteru, lecz tylko niektóre radiacje docierały tak wysoko i te mu nie przeszkadzały. Z zamkniętymi oczami i całkowicie rozluźniony wyglądał jak ktoś, kto na chwilę zapomniał żyć.

Oto panaceum dla nadwrażliwych umysłów. Na pierwszy rzut oka niewielu brało Bartona za Łysego. Nosił krótko przystrzyżoną perukę

szatyna, a lata spędzone w dżungli sprawiły, iż był niemal chorobliwie chudy. Łysi, którzy z powodów oczywistych nałożyli sobie zakaz brania udziału w zawodach sportowych poza własnym kręgiem, byli raczej delikatnej budowy, ale nie Barton. Rywalizacja z drapieżnikami utrzymywała go w świetnej formie.

Teraz odpoczywał, wysoko ponad ziemią, wraz z setkami innych telepatów, którzy oddawali swoje skołatane myśli niebieskiemu spokojowi nieba.

„Podniósł powieki, żeby popatrzeć przez przezroczystą szybę nad głową. Na tle całkiem ciemnego nieba wisiało kilka gwiazd. Leżał i patrzył. Łysi — myślał — pierwsi podejmą podróże międzyplanetarne. Tam są czyste, nowe światy, a nowa rasa potrzebuje nowego świata.

Lecz to może poczekać. Upłynęło wiele lat, zanim zrozumiał, że to jego rasa, a nie on sam, jest ważna. Łysy stawał się istotą dojrzałą dopiero wtedy, gdy to zrozumiał. Wcześniej, nieodmiennie stanowił potencjalne zagrożenie. Barton był teraz już ukształtowany i, jak większość jego towarzyszy, znalazł kompromis między swoim ja i rasą polegający głównie na rozwoju instynktów społecznych oraz dyplomacji.

Czas biegł szybko. Odszukał w schowku pakiet koncentratu odżywki, skrzywił się na widok brązowych kapsułek i wepchnął z powrotem na dawne miejsce. Nie. Skoro wrócił już do Ameryki, chce korzystać z luksusów cywilizacji. W Afryce najadł się tyle koncentratu, że był bliski utraty kubków smakowych. A to dlatego, iż po nawiązaniu kontaktu z umysłem zwierząt pewne rodzaje mięsa zaczęły wzbudzać w nim wstręt. Nie był wegetarianinem.

Potrafił w dużym stopniu zracjonalizować to uczucie, ale nie mógłby zjeść małpy.

Miał ochotę na suma i już cieszył się na myśl o białych i jędrnych kęsach ryby. To była kraina suma. Barton znał pewną restaurację w centrum Conestogi i dlatego skierował swój helikopter ku najbliższemu lądowisku. Samą miejscowość ominął półkolem, aby nie wzniecać tumanów pyłu, lecąc na tak małej wysokości.

Czuł się odświeżony, przygotowany do powrotu na swoje miejsce „w świecie. O ile mu było wiadomo, w Conestoga nie przebywał ani jeden Łysy i dlatego z zaskoczeniem, przyjemnym zaskoczeniem, poczuł w swoich myślach sondę. Niosła ze sobą pytanie.

Tę myśl wysyłała kobieta, nieznajoma. Zorientował się po powierzchowności hasła identyfikacji. Odebrał to jak dotyk palców otwartej dłoni, delikatnie szukających drugiej ręki, aby się z nią złączyć. Jej rozpoznanie nie zawierało kompletu informacji o Bartonie jako osobowości. Nie, ona go nie zna. Prawdopodobnie tylko słyszała o nim — może od Denhama? Albo od Courtneya? Wydawało mu się, że w jej zapytaniu rozpoznaje symbole osobowości Denhama i Courtneya.

Odpowiedział. Jestem. Tutaj. Uprzejme przyjacielskie powitanie i informacja: jesteś jednym z Nas. Pragnienie niesienia pomocy.

Jej nazwisko, Sue Connaught, i osobliwe cieniowanie, według którego Sue Connaught realizowała swoją tożsamość składały się na niepowtarzalny symbol, którego już nie sposób pomylić. Psychologiczna esencja czystego ego.

Jest biologiem, mieszka w Alamo i boi się…

Pozwól mi pomóc.

(Sprawa wielkiej wagi

Muszę się z tobą spotkać)

Niebezpieczeństwo, ukryte spojrzenia

Wszędzie zwierzęta — Sue Connaught

Niebezpieczeństwo… teraz?

Powikłane myśli splatały się i zazębiały, kiedy Barton zwiększył tempo transmisji.

(„Ja” tylko wiem…

Zupełnie sama)

Absolutna tajemnica

(Zwierzęta… „Ja” jestem w ZOO, czekam

Spieszę do ciebie. Moje myśli są z tobą. Jesteś jedną z Nas, więc nigdy nie jesteś sama.

Myśli biegły szybciej niż słowa. Zdania wypowiedziane lub napisane opóźniają transmisję pojęć myślowych. Przymiotniki i przysłówki przekazują odcienie znaczeń. Telepaci wymieniają kompletne myśli z prędkością światła. W czasach prehistorycznych proste znaczenia przekazywano za pomocą chrząknięć. Stopniowanie stawało się możliwe w miarę rozwoju języka. Dzięki telepatii można było tworzyć wszechświaty… i przekazywać je.

Niemniej jednak konieczne były wspólne mianowniki. Dziewczyna unikała istotnych spraw, bała się przywieść je sobie na myśl.

Co? Pomogę ci!
(Nawet tutaj, Oni zagrażają
Ostrożność) Udawaj, że absolutnie wszystko jest jak zawsze
(Posługuj się wyłącznie mową, dopóki…

Myśli Sue zamilkły. Zaskoczony, Barton wzniósł barierę. Oczywiście, nigdy nie można zupełnie odciąć się od uporczywej sondy wysyłanej przez innych telepatów. W najlepszym przypadku można zamazać jakąś falę myśli, nakładając na nią inne, lub pogrążyć dobijającą się myśl w bez–kształcie nie–myśli. Ale one są bardzo ruchliwe. Nawet wprawne umysły Łysych nie są w stanie utrzymać ich tam przez dłuższy czas… sam fakt koncentracji na tłumieniu ich zatrzymuje w tle ich chybotliwe, mgliste kształty.

Można wznieść mur zamierzonej niepamięci lub celowego zamętu — jednym z wykrętów jest powtórka z tabliczki mnożenia — jednak nie trwa to długo ani nie gwarantuje pełnej skuteczności. Ekwiwalent pustki można osiągnąć wyłącznie poprzez instynktowną uprzejmość, jakiej każdy Łysy uczy się od najmłodszych lat. Skuteczność bariery zależy przede wszystkim od umysłu tej drugiej strony, a nie od władnego… jeżeli jest się prawdziwym telepatą.

Jak większość Łysych Barton był jednym z nich. „Odwrócił" wzrok natychmiast, jak tylko myśli Sue Connaught zerwały z nim łączność. Tym bardziej pragnął ją spotkać i, w miarę możliwości, wyczytać z jej twarzy to, czego dobre maniery nie pozwalały mu dowiedzieć się z jej myśli. Znalazł się pod otwartą bramą ogrodu zoologicznego.

Tuż za wejściem dostrzegł niewielką grupkę zwiedzających, głównie ze wsi, którzy przybyli helikopterem, aby obejrzeć nowe, przywiezione przez niego okazy.

Pomimo barier, bez trudu wyczuł pokrewną istotę i instynktownie skierował swoje kroki tam, gdzie przy żelaznej poręczy ogrodzenia stała szczupła dziewczyna w spodniach i białej bluzce. Była wyraźnie czymś zafascynowana. Jego myśl, wysłana przodem, spotkała się z nagłym, gorączkowym ostrzeżeniem.

Bariera! Bariera!

Zareagował błyskawicznie. Stanął obok niej i spoglądał za ogrodzenie, na zbiornik wody, w którym leniwie przetaczało się obłe cielsko. Wiedział, iż Sue Connaught poznała myśli rekina i znalazła tam coś, co miało dla niej istotne znaczenie.

— Nie podoba ci się to? — zagadnął. Mowa nie stanowiła zagrożenia: przy wzniesionej barierze mowa staje się dla telepaty bardziej tajemnicza niż myśli.

— Nie — odparła. — Zdaje się, że to kwestia treningu.

— Przecież jesteś biologiem.

— Króliki i świnki morskie. Nawet one czasami wprawiają mnie w zakłopotanie. Ale drapieżniki…

— Zajmij się kiedyś łasicami — zasugerował. — To dopiero jest czyste szaleństwo.

Chodźmy. — Wyprowadził ją z tłumu na taras, gdzie stały stoliki pod parasolami. — Napijesz się czegoś?

— Dziękuję. — Obejrzała się na zbiornik z rekinem. Barton pokiwał głową. Tak, dla kogoś nie przyzwyczajonego to może być straszne. On już zdążył się przyzwyczaić.

— Może pójdziemy gdzie indziej? — zaproponował i zatrzymał się w geście odsuwania krzesła. — Zoo może być bardzo nieprzyjemne dla kogoś, kto nie…

— Nie, nie. Tu jest bezpieczniej. Musimy porozmawiać, a tutaj nikt nam nie przeszkodzi.

Nikt z Nas nie przyszedłby do zoo dla przyjemności. — Kazała umysłowi „rzucić okiem” na krążące, opętańcze myśli zwierzęcia, po czym ponownie, na wszelki wypadek, zmąciła powierzchnię własnych myśli i posłała Bartonowi ujmujący uśmiech.

Od pierwszej chwili łączyło ich, jak wszystkich Łysych, uczucie bliskiej zażyłości. Inni ludzie potrzebują paru tygodni, aby wzajemnie poznać swoje charaktery: Łysi osiągają ten stan natychmiast, często przed faktycznym spotkaniem. Nierzadko wiedza ukształtowana podczas pierwszego spotkania myśli okazuje się bardziej dogłębna niż późniejsze wrażenia zabarwione wyglądem i cechami fizycznymi. Gdyby nie byli telepatami, można by ich wziąć za pannę Connaught i pana Bartona. Lecz jako telepaci automatycznie i podświadomie oszacowali się nawzajem już wtedy, gdy Barton jeszcze znajdował się nad ziemią: spotkanie umysłów okazało się miłe dla obu stron. Od razu myśleli o sobie nawzajem, posługując się imionami. Żaden nie–telepata, podglądając ich, nie uwierzyłby, że poznali się dopiero przed chwilą. Inne zachowanie wyglądałoby sztucznie, skoro ich umysły wzajemnie się akceptowały. Sue przerwała milczenie.

— Poproszę martini. Czy mogę mówić? Tak mi będzie łatwiej. — Tym razem faktycznie powiodła wzrokiem po klatkach. — Nie rozumiem, jak ty potrafisz to znieść, nawet z twoim przygotowaniem. Myślę, że wystarczy zamknąć Łysego na noc w ogrodzie zoologicznym, aby go doprowadzić do granic wytrzymałości.

Uśmiechnął się, a jego umysł bezwiednie zaczął wyławiać z otoczenia różne wibracje: zwyczajne banały z klatki małp, przeplatane histerycznym krzykiem kapucynki, która zwietrzyła jaguara. Prymitywne, groźne sygnały wysyłane przez pantery i lwy, zabarwione nieskrywaną pewnością siebie. Delikatne, prawie zabawne drgania emitowane przez foki.

Trudno to było nazwać rozumnymi myślami: pochodziły od zwierząt, ale pod sierścią i łuskami krył się zasadniczo taki sam koloidowy organ jak pod rudą peruką Sue Connaught.

Popijając martini, Sue zapytała:

— Czy brałeś kiedyś udział w pojedynku?

Barton rozejrzał się instynktownie. Dotknął sztyletu.

— Należę do Łysych, Sue.

— To znaczy, że się nie pojedynkowałeś.

— Oczywiście, że nie. — Nie musiał się tłumaczyć, Sue znała powody równie dobrze jak on. Łysi nie mogli ryzykować wykorzystywania swojej szczególnej umiejętności poza sytuacjami wyjątkowymi. Telepata zawsze zwycięży. Gdyby Dawid nie zabił Goliata, Filistyni i tak by zatłukli olbrzyma, z czystej zawiści. Gdyby Goliat był sprytny, chodziłby na ugiętych nogach.

— To dobrze. Muszę być ostrożna :— tłumaczyła się Sue. — To, co mam do powiedzenia, jest tak osobiste, że nie wiem komu... — Jej bariera nadal trzymała się mocno.

— Byłem w Afryce przez pół roku. Może nie jestem na bieżąco... — Oboje odczuwali irytującą niedoskonałość słów.

— To nie chodzi o bieżące wydarzenia... o przyszłość. Są takie sprawy... pomoc... odpowiedni... — umilkła i zmusiła się do użycia bardziej gramatycznej formy porozumiewania się. — Ktoś musi mi pomóc, ktoś z Nas. A na dodatek ktoś o szczególnych cechach. Na przykład ty.

— Dlaczego?

— Ponieważ jesteś przyrodnikiem. Rozglądałam się wszędzie, ale

sam wiesz, jaki rodzaj prac My zazwyczaj wykonujemy. To są zajęcia siedzące: semantycy, asystenci lekarzy i psychiatrów, biolodzy czy współpracownicy policji… ci są najbliżej tego, lecz ja potrzebuję kogoś, kto… kto potrafi być lepszy od drugiego telepaty.

Barton ściągnął brwi.

— Pojedynek?

— Chyba tak — odrzekła. — Jeszcze nie mam pewności. Ale to jest chyba jedyne wyjście.

To musi pozostać w absolutnej tajemnicy, Dave, w absolutnej tajemnicy. Gdyby coś z tego przedostało się na zewnątrz byłoby… byłoby z Nami źle.

Zrozumiał, o co chodzi Sue, i złożył usta, jakby chciał zagwizdać. Ten cień nigdy nie opuszczał Łysych.

— O co chodzi?

Nie dała odpowiedzi wprost.

— Jesteś przyrodnikiem. To dobrze. Potrzebny mi jest człowiek, który w potyczce z telepatą miałby większe szansę od innych. Nie dokona tego żaden nie–telepata, nawet

gdybym odważyła się z nim o tym porozmawiać. Muszę mieć kogoś, kto posiada szybko pracujący umysł oraz ciało tak sprawne, że reaguje szybciej niż natychmiast.

— Hm, hm.

— Nie znalazłam wielu kandydatów — ciągnęła. — Nawet jeżeli dwa umysły poruszają się z tą samą prędkością, to zawsze istnieje pewna ułamkowa różnica w reakcji mięśni. Nie jesteśmy zbyt wysportowani. Dyscypliny oparte na rywalizacji…

— Myślałem o tym — wtrącił się Barton. — I to często. Gry oparte na zasadzie wojny są dla Nas nieodpowiednie.

— Żadna z gier, w której stoi się twarzą w twarz z przeciwnikiem… Lubię grać w golfa, a nie mogę zagrać w tenisa.

— No cóż — mówił. — A ja nie uprawiam ani boksu, ani zapasów. Nie wspominając już o szachach. Mamy za to piłkę–zmyłkę… widziałaś to?

Zaprzeczyła.

— Powierzchnia do odbijania jest tak nierówna, że nie można przewidzieć, dokąd piłka poleci. Tablica składa się z ruchomych tarcz, które cały czas zmieniają swoje miejsce. Gracz może kontrolować siłę

uderzenia ale nie kierunek. To nowość i oczywiście niereklamowana, lecz znajomy ma to u siebie. Nazywa się Denham.

— On mi o tobie powiedział.

— Tak myślałem.

— Od piętnastu lat zajmujesz się chwytaniem zwierząt: od tygrysów po jadowite węże. To wymaga niezwykłej precyzji. Człowiek, który potrafi odgadnąć kolejny ruch kobry…

— Pilnuj swojej bariery — przerwał jej niespodziewanie Barton. — Coś do mnie dotarło.

Czy jest aż tak źle?

Z trudem zaczerpnęła powietrza.

— Słabo się kontroluję. Chodźmy stąd.

Poprowadził ją przez ogród. Gdy mijali akwarium rekina, opuścił wzrok i z niepokojem zajrzał jej w oczy.

— Coś takiego, tak?

Przytaknęła.

— Tak. Ale nie można Ich pozamykać w klatkach. Opowiedziała mu wszystko przy sumie popijanym białym winem z Shasty.

Nie można Ich pozamykać w klatkach. Byli przebiegli i niebezpieczni, lecz na razie bardzo ostrożni. Stanowili środkową grupę trzech rodzajów telepatów. Mutacja ta sama, ale… ale!

Promieniowanie twarde okazało się istnym dynamitem. Implantacja zupełnie nowej funkcji w delikatnym ludzkim mózgu burzy idealną, odwieczną równowagę. W ten sposób powstały trzy grupy: jedna z nich okazała się zupełnym fiaskiem na pograniczu szaleństwa, demencji i paranoi. Znaczna większość, do której należeli Sue Connaught i Barton, potrafiła dostosować się do świata nie–telepatów. Ta grupa nosiła peruki.

Natomiast w grupie środkowej znalazły się osobniki ze skłonnością do urojeń… a jednocześnie zdrowe psychicznie. Spotkać można było wśród nich nie przystosowanych egotyków, którzy przez długi czas odmawiali noszenia peruk i popisywali się swoimi szczególnymi umiejętnościami. Ich cechą charakterystyczną były przebiegłość i bezwzględna motywacja prawdziwych paranoików oraz aspołeczność. Ale nie byli szaleńcami.

Nie można Ich zamknąć w klatce. To przecież telepaci, a w jaki sposób uwięzić umysł?

Zakończyli wieczór brazylijskim tortem czekoladowym, kawą i likierem Mississippi, robionym przez zakonników z klasztoru Swanee. Barton przytknął papierosa do papierowej zapalniczki na pudełku i zaciągnął się dymem.

— Należy rozumieć, że ten spisek jest dopiero w zarodku.

— Początki zawsze są niewielkie. Kilka osób… ale to jest groźne.

Barton kiwał głową.

— Rozumiem… Paskudna sprawa. Paru Łysych o typie urojeniowym opracowuje szaleńczy sabotaż… Opowiedz mi coś więcej. Wytłumacz, dlaczego właśnie ja? Albo dlaczego ty?

Nie–telepacie takie pytanie mogłoby się wydać niejasne. Sue jedynie podniosła brwi i odpowiedziała.

— Ty, ponieważ posiadasz te cechy, o których już mówiłam, i ponieważ znalazłam cię, zanim z rozpaczy zaczęłam szukać kogoś innego. A gdy chodzi o mnie… — zawahała się — … to już jest nieco dziwniejsza sprawa. Można ich wykryć wyłącznie przypadkiem, ponieważ telepatia to nie cienka wiązka, ale szerokie pasmo. Każdy podatny umysł potrafi ją odbierać.

Wystarczy, że zbierze się pewna ilość ludzi i założy miasto, to już jest zauważalne.

Wystarczy, że „Łysi skrzykną się i zawiążą jakąś organizację, to także łatwo zauważyć.

Dlatego też paranoidzi nie przysparzali większych kłopotów… wyłącznie pojedynczo.

Zrzeszenie się jest równoznaczne z wywieszeniem flagi… widocznej z dużej odległości.

— Co dalej?

— Paranoidzi dysponują specjalnym środkiem porozumiewania się. Tajnym szyfrem, absolutnie nie do odczytania. Ale to coś więcej niż szyfr, ponieważ wówczas moglibyśmy go wykryć i wytropić, nawet jeżeli nie umielibyśmy go przeczytać. Tym razem mamy do czynienia z porozumiewaniem się za pomocą telepatii w zupełnie nowym paśmie, w takim, którego nawet my nie potrafimy ruszyć. Nie wiem, jak oni to robią. Może jest to czynność po części automatyczna, a może nie. Dzieci funkcjonują na wyższym pułapie percepcji, ale potrafimy przechwycić ich myśli. To jest coś takiego jak ultrafiolet myślowy. Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji?

Wypuścił dym przez nos.

— Tak... to kompletnie burzy równowagę sił. Do tej pory decentralizacja gwarantowała pokój. Nikt nie ważył się zrzeszać ani wywyższać, bo od razu by go wykryto. Ali te wyrodki mają czapkę— niewidkę. — Zacisnął pięści. — To mogłoby się rozejść na cały świat! Jedyna forma organizacji, jakiej nie umiemy zwalczać.

— Trzeba z nią walczyć — zauważyła Sue. — Trzeba ją zniszczyć. I to szybko, zanim ktokolwiek nabierze podejrzeń. Jeżeli nie–telepaci się o tym dowiedzą, fala nienawiści skierowana przeciwko Łysym przyniesie Nam zagładę. Jeżeli do tego dojdzie, ludzie nie będą się bawili w rozróżnianie trzech grup mutantów. Powiedzą: „Wykarmiliśmy żmiję, która kąsa.

Wybić wszystkich!"

Za oknem ktoś kłusował na koniu. Odgłos kopyt wybijał niespokojny rytm w mózgu Bartona.

— Ilu ich jest?

— Już ci powiedziałam, że to dopiero początek. Niewielu. Ale to może się rozprzestrzenić.

Wydaje mi się, że bezpośrednią trudność może stanowić fakt, iż oni przyuczają neofitów do tego swojego chytrego rodzaju telepatii. I dlatego podejrzewam, że to polega na psychicznej samoindukcji. Urządzenia są wykrywalne. Konieczna jest także duża ruchliwość: oni nie wiedzą, kiedy będą zmuszeni nawiązać kontakt. Nie można się wszędzie pokazywać ze sporym urządzeniem.

— Można zastosować kamuflaż — zauważył Barton. — Albo skorzystać z miniaturyzacji.

— Można... — ciągnęła — ... ale jest jeszcze dziewczyna, Melissa Carr. Weszła na ich długość bez żadnych urządzeń. Melissa musi być jakimś wariantem mutacji.

— Melissa Carr? — powtórzył. — Co ona ma z tym wspólnego?

— Och, jeszcze ci nie mówiłam. To mój kontakt... od tygodnia... ale dopiero wczoraj wygadała się z tego, co usłyszała na tej szczególnej częstotliwości.

— To znaczy, że ona do nich nie należy?

— Jestem tego pewna. To bardzo dziwne. Nawet okoliczności, w jakich po raz pierwszy nawiązała ze mną kontakt... — Sue ubierała się na przyjęcie, kiedy do jej umysłu zakradło się ostrożne pytanie. —

Przypominało to trochę Kopciuszka. Czułam przyjemność, jaką sprawiała jej moja suknia od Mozambique'a i torebka od Karela. Jej myśli towarzyszyły mi przez cały wieczór. Potem... — Potem nawiązały kontakt. Lecz dopiero po kilku dniach Melissa opowiedziała o telepatycznych sygnałach, jakie przypadkiem usłyszała.

Domyślała się ich znaczenia, ale nie doceniała zagrożenia, jakie mogły stanowić. Nie czuła, że trzeba temu zapobiec. Jest w niej coś niezrozumiałego: czasami wydaje mi się, że mogła kiedyś do nich należeć, a potem wycofać się. Zdarza się, że w ogóle nie reaguje na moje sygnały. Jednak od kiedy mi powiedziała o tym facecie, myślę, że przekonałam ją o istnieniu zagrożenia. On się nazywa Sam Faxe. Należy do typu paranoidalnego i z tego, co się dowiedziałam, próbuje sabotować pewne doświadczenia w Galileo.

— Dlaczego?

— Tego nie wiem. Zdaje się, że paranoidzi tak dobrze znają swoje podstawowe założenia, że nawet nie muszą o nich myśleć. Ich myśli zajęte są bezpośrednim działaniem. I to zawsze na tej częstotliwości, której nie potrafimy osiągnąć. Domyślam się, że tylko Melissa to potrafi i że od urodzenia jest taka podatna.

— To się zdarza — potwierdził Barton. — Wśród mutantów spotyka się wiele odmian, znacznie więcej niż wśród pozostałych. Jeżeli zaś chodzi o ten długoterminowy program, to sama wiesz, jacy są paranoidzi. Wyobrażają sobie, że Łysi zostali stworzeni, aby panować nad światem. Traktują zwykłych ludzi jak coś gorszego. To, że usiłują sabotować doświadczenia, jasno tego dowodzi. Zastanawiam się, o jakie doświadczenia w Galileo tu chodzi?

— Nie wiem — powiedziała. — Melissa ma słabe pojęcie o technice.

— Zapytam Denhama. On mieszka w Galileo.

— Tam go spotkałam. Ale może potrafisz wyciągnąć od Melissy więcej niż ja. Nie byłoby wskazane... — zawahała się, szukając znanego słowa dla zastąpienia terminu myślowego — ...nadmierne stosowanie telepatii wobec niej, ale to jest, oczywiście, konieczne. Jeżeli poczujesz jakiekolwiek sondowanie, natychmiast się wyłącz.

— Czy stało się już coś takiego?

— Nie. Jeszcze nie. Ale musimy mieć się na baczności. Sue nie pytała go, czy chce pomóc: wiedziała, że pornoże. Zachowanie gatunku było pojęciem wrodzonym u wszystkich Łysych, chociaż typ

paranoidalny wypaczył je i zniekształcił. Myśli Sue wybiegły naprzód śledząc, penetrując, szukając zamka, który pasowałby do klucza. Odpowiedź nadeszła prawie błyskawicznie. Sue przedstawiała mu w myślach Melissę Carr: niczym jedna ręka pomagająca połączyć się dwóm innym. Poczuł, jak coś rusza się niezdarnie, nieśmiało i... wycofuje. Dołączył zapewnienie o przyjaznych zamiarach: natychmiast uświadomił sobie silną falę kobiecości, narastającą niemal do pożądania. Jak przez mgłę wyczuł, czym jest Melissa dla siebie samej: świadomością żyjącego ego, innego w każdym przypadku, i miękkością falujących włosów... włosów? Peruki... a także delikatnością warg pod dotknięciem gładzących je palców. Odebrał skromny unik zabarwiony kolorem i zapachem, a po nim coś, co było ekwiwalentem ukłonu, czysto psychicznego z dziwnie staroświecką domieszką. Po takim wstępie Barton wiedział, że; nigdy nie pomyli myśli Melissy Carr z myślami innego telepaty.

Nazywam się Dave Barton, Melisso.

Rozpoznanie i stopniowanie. Pytanie o zaufanie. Takie poważne zagrożenie...

Pełne zaufanie, tak... stanowcze potwierdzenie.

Wiele... (różnych)... informacji... nawał informacji

Cień zła ze strony Sama Faxe

Nagłość

Rozrastająca się wybuchowa skaza w Galileo

Nie mogę rozmawiać... kolejny symbol czasownika rozmawiać... długo

Ryzyko osobistego zagrożenia

Różne gradacje znaczeń w tej samej chwili. Trzy umysły, które łączą się ze sobą i mieszają jak na skali barw, aby skoncentrować się na białej plamie objawienia i prawdy. Nie istniały między nimi żadne bariery, jak podczas słownej wymiany informacji. Ich myśli przeplatały się jak promień światła w materii pytań, odpowiedzi i twierdzeń. Pomimo wymaganej koncentracji wszyscy troje mieli czas na bardzie osobiste stopniowanie, które zastępowało wartości tonalne. Zdolność nawiązywania takiego właśnie kontaktu przyczyniła się do ogromnej popularności spotkań przy okrągłym stole wśród Łysych. Taka logiczna i estetyczna rozgrywka między umysłami prowadziła do ekstazy pełnej

świadomości zbiorowej. Z fizycznego punktu widzenia, poligamia była nieznana Łysym, ale psychicznie ta grupa społeczna rozrosła się, zdobywając coraz wyższe poziomy pełni i bogactwa życia.

Na razie była to ledwie obietnica pełnego kontaktu. Barton szukał wskazówek w tym, co przekazała mu Melissa. On sam też nie był inżynierem, więc zabrał się do sprawy jak przyrodnik, wyszkolony w odczytywaniu barw ochronnych, specjalista od podążania pogmatwanym tropem drapieżnika.

Ilu?

Trzy.

Na pewno nie więcej?

Trzy… plus widoki Galileo i innych miast, symbole nazw i cech. Wrażenie mrocznej duchowej łączności, więzy nienawiści. ..

Niespodziewanie wyczuł w jej umyśle coś dziwnie i niepokojąco bliskiego. Nie mógł się zorientować, o co chodzi. Kiedy szukał tego, strumień porozumienia na chwilę zanikł.

Drobiazg. Ponownie skoncentrował swoją uwagę. Trzy?

Nazwisko Sam Faxe

Symbol

Żądza władzy

Głęboki letarg

A także inne konotacje, lecz Bartonowi wystarczyło tyle, aby poczuł, że już zna Sama Faxe'a.

Różne symbole, które przyjmowały formę nazwisk, na przykład Ed Vargan, mieszały się z dziwacznym pojęciem „różnicy wielkości". Przy nazwisku Bertrama Smitha wyczuwało się okrucieństwo charakterystyczne dla krwiożerczych drapieżników. Jednak z pewną różnicą:

Dave bliski przerażenia oglądał kiedyś aż kipiące uniesieniem myśli ucztującej kuny. Smith był inteligentny, mimo iż, jak pozostali, posiadał tę szczególną cechę… właśnie, jaką?

Mrok. Zniekształcenie. Zaślepienie.

Tak, pomyślała Sue, oni są zaślepieni. Zaślepieni swoim szaleństwem. Nie widzą

rzeczywistości… taką, jaką jest.

Myślowe przedstawienie całej trójki ukazane przez Melissę: małe, złe stworzenia uwijające się w ciemnościach z wyszczerzonymi zębami.

Barton zorientował się, że dziewczyna utożsamia ich z… z czym?… z myszami. Panicznie bała się myszy, bardziej niż owadów i węży. Potrafił zrozumieć fobie, ponieważ sam przesadnie bał się ognia. Zresztą większość Łysych cierpiała w różnym stopniu na jakieś lęki, co było karą za wzmożoną wrażliwość.

Pomyślał: „Ja" musi działać szybko. Jeżeli się skontaktują, mogą postanowić się ukryć.

„Ja" musi zabić ich jednym ciosem. Czy potrafią czytać twoje myśli?

Nie wiedzą o istnieniu Melissy Carr.

Śmierć jednego stanie się ostrzeżeniem dla pozostałych. Musisz mieć się na baczności.

Gdzie jesteś?

Odmowa, stanowcza odmowa.

Najlepiej będzie jak mi powiesz, żebym…

Nikt mnie nie znajdzie jeżeli nie będę myślała o miejscu swojego pobytu. Nie ma namierników kierunkowych w telepatii. Pojęcie wyrażone przez nią w ten sposób miało znaczenie szersze niż telepatia: symbolizowało całą rasę i jej jedność.

Czy możesz zlokalizować Yargana i Smitha?

Oczywiście. Rozmawiali swobodnie na swojej prywatnej częstotliwości. Vargan jest w Rye, a Smith w Huron.

W jaki sposób możesz wejść na ich częstotliwość?

Zakłopotanie. Bezradne wzruszenie ramion. Może się z tym urodziłam?

Barton: Śmierć jednego z nich będzie ostrzeżeniem dla pozostałych. Słuchaj uważnie.

Staraj się przekazywać ich zamiary. Nie możemy im pozwolić, żeby nam umknęli.

Melissa myślała o trzech szarych, złowrogich gryzoniach biegających po podłodze. Barton uśmiechnął się z wysiłkiem. Patrz, jak biegają — odezwał się do niej. — Patrz, dokąd biegną. Położył dłoń na rękojeści sztyletu. To nie był nóż kuchenny, jak w piosence „Trzy ślepe myszy", ale spełni swoje zadanie.

Niewiele pozostało im do zakończenia. Melissa przekazała kilka przechwyconych myśli paranoidów, potwierdzają przypuszczenia Bartona co do niebezpieczeństwa, jakie stanowili.

Na dłuższą metę ich działalność zagrażała istnieniu wszystkich

mutantów jako grupy.

Pojedyncze zgony nie miały większego znaczenia w epoce pojedynków, lecz położenie na szali dobrej woli całej rasy świadczyło o przyjęciu taktyki rozwścieczonego psa. Poza tym, trudno było doszukać się jakiegokolwiek motywu. Z czystej złej woli? To nielogiczne, a paranoidzi zawsze działają logicznie, chociaż ich struktury opierają się na fałszywych ideach.

Brakowało jak dotąd klucza, który nadałby temu wszystkiemu sens. Zawiodło doświadczenie przyrodnicze Bartona. Zwierzęta nie dopuszczają się sabotażu. Ptaki nie kalają swoich gniazd.

Kiedy rozstali się z Melissą, Sue dała upust zniecierpliwieniu.

— Chcę pomóc — powiedziała, tym razem na głos. — Musi być jakiś sposób.

— Nie ma. Sama powiedziałaś, że wymaga to szczególnych umiejętności. Jesteś biologiem. Nie potrafisz reagować tak szybko jak ja, a jeżeli pójdziesz ze mną, będziesz mnie rozpraszać. Muszę się skoncentrować.

— Zamierzasz ich zabić, tak?

— Oczywiście, że ich zabiję. Na szczęście, zdaniem Melissy, jest ich tylko trzech. Nie kłamała, wiem to.

— O, tak. Melissa jest szczera — przyznała Sue. — Ale 1 na pewno coś ukrywa.

Barton wzruszył ramionami.

— To nieistotne. Trzeba działać szybko. Nie mam czasu na dochodzenia. Jeżeli przekażę jakieś myśli albo pytania nie–telepatom, paranoidzi zaczną się czegoś domyślać. Muszę wytępić to plugastwo, zanim choroba się rozprzestrzeni. Mnóstwo Łysych o paranoidalnych skłonnościach przyłączyłoby się do ich ruchu, gdyby posiadło umiejętność wejścia na tę częstotliwość.

— Co mam robić?

— To jest nieważne… na razie — odparł. — Twoja rola skończyła się. Teraz pora na mnie.

Razem podnieśli się z miejsc. Pożegnali się na wiejskiej dróżce wymownym uściskiem dłoni. Dokoła toczyło się zwyczajne, wieczorne życie miasta, jaskrawo oświetlone i zarazem pełne symboli tego rozległego, zawiłego układu kontrolowanej równowagi, scalającego świat.

Cywilizację, która tolerowała Łysych i, aczkolwiek niechętnie, dawała im szansę na wypracowanie sobie zbawienia. Oboje myśleli o tym samym: jak łatwo ten zwyczajny tłum może przekształcić się w żądny krwi motłoch. Kiedyś już do tego doszło: Łysi byli wówczas jeszcze czymś nowym na świecie. Groźba nowego wybuchu jeszcze nie wygasła.

Barton odszedł sam, z nie wypowiedzianym poleceniem całej swojej rasy nakazującym mu wykonać to, do czego przyuczano go od urodzenia. Liczyła się rasa, a nie jednostki.

Helikopter był już po przeglądzie, więc Barton udał się do Galileo, na Wybrzeżu

Atlantyckim, ciągle rozmyślając o swoim zadaniu. Był do tego stopnia zaabsorbowany, iż tylko dzięki automatycznej sygnalizacji radiowej nie wszedł w kolizję z innymi samolotami.

W końcu jedhak łuna nad miastem inżynierów rozjaśniła horyzont.

Galileo, jak wszystkie miejscowości zajmujące się techniką, było większe od niejednej wsi. Naukowcy miłowali spokój i nigdy nie zaszła potrzeba zniwelowania żadnego z miast techników. Wprawdzie Niagara ze swoim ogromnym źródłem energii przewyższała Galileo liczebnością mieszkańców, lecz to ostatnie zajmowało znacznie większy obszar. Z powodu zagrożenia ze strony pewnych przeprowadzanych tam doświadczeń, miasto ciągnęło się kilometrami, odbiegając od ogólnie przyjętego amerykańskiego wzorca, jaki stanowiła miejscowość zwarta i ciasno zabudowana.

Galileo jako jedyne posiadało system komunikacji naziemnej. Barton skierował się do domu Denhama — w tej zindywidualizowanej, aczkolwiek współzależnej społeczności nie było, oczywiście, mowy o blokach mieszkalnych — i szczęśliwie, zastał go na miejscu.

Denham był łagodnym telepatą o owalnej twarzy. Z roku na rok jego peruki siwiały coraz bardziej, a obecna była już mocno poprzetykana srebrem. Serdecznie przywitał Bartona, lecz za pomocą słów, ponieważ na ulicy ujrzał ludzi, a takt nakazywał Łysym

nieafiszowanie się swoimi zdolnościami.

— Dave, nie wiedziałem, że już wróciłeś. Jak było w Afryce?

— Gorąco. Przez sześć miesięcy nie grałem w piłkę–zmyłkę. Obawiam się, że straciłem kondycję.

— Wcale źle nie wyglądasz — odparł gospodarz, rzucając gościowi zazdrosne spojrzenie.

— Proszę, wejdź. Czego się napijesz?

Przy drinkach omówili sprawy nieistotne, lecz nie posługiwali się mową. Barton badał teren: nie chciał zbyt wiele mówić Denhamowi, przede wszystkim dlatego, iż w Galileo przebywał również Sam Faxe. Bezowocnie kluczył wokół tematu. Sprawa okazała się trudniejsza, niż przypuszczał. Ostatecznie znaleźli się w spodenkach w sali sportowej, przed pionową ścianą pełną załamań i podzieloną na segmenty nieustannie zmieniające swoje położenie. Grali w piłkę–zmyłkę. Z łatwością można było przewidzieć siłę, z jaką Denham uderzy piłkę, lecz obliczenie kąta odbicia leżało poza ziemskimi możliwościami. Mężczyźni zwijali się jak w ukropie, zażywając ruchu i jednocześnie prowadzili rozmowę telepatyczną.

Denham zauważył, iż nadal najbardziej lubi grać w cymbergaja. Albo w ruletkę. Mógł się im oddawać wraz z zaprzyjaźnionymi nie–telepatami, podczas gdy w brydża lub pokera… hm! Kto zgodzi się na partię pokera z telepatą?!

Barton podzielał opinię, że gry losowe lub czysto siłowe są w porządku, chociaż ilość tych ostatnich była ograniczona, bo na przykład, w zapasach i boksie w grę wchodzą wcześniej zaplanowane reakcje. Niemniej jednak ciekawe są niektóre dyscypliny olimpijskie: pchnięcie kulą, skok w dal, biegi, bowiem tutaj nie trzeba stawać twarzą w twarz z przeciwnikiem.

Wszystkie gry taktyczne, takie jak szachy, nie wchodzą w rachubę.

Przecież, pomyślał Denham, twoje zajęcie jest czymś w rodzaju gry wojennej.

Polowanie na zwierzynę? Myśli Bartona prześlizgiwały się po planszy, by zatrzymać się przy sytym, pogrążonym w letargu tygrysie, z którego emanowała świadomość siły, niczym w cicho pomrukującym silniku. Barton łączył to, instynktownie, z głodem oraz z czymś nieuchwytnym i bezkształtnym, z czymś przypominającym znak, po którym Melissa rozpoznawała Sama Faxe. Następnie jego myśl

zrównała się z obrazem Faxe'a na podobieństwo dwóch muzycznych akordów. Jeżeli Denham zna Faxe'a, powinien zareagować.

I tak też się stało. Z uczuciem narastającego podniecenia dostrzegł wśród nieistotnych drobiazgów obcy fragment i wydobył go spod grubej warstwy osadów. W rezultacie otrzymał obraz otyłego, miernego tłumacza, którego czasami zatrudniano jako łącznika pomiędzy naukowcami z różnych grup językowych. Barton pospiesznie zmienił temat, aby Denham przypadkiem nie zaczął przywiązywać jakiejkolwiek wagi do tego mnemonicznego wyobrażenia.

Od tej chwili Barton myślał już tylko o opuszczeniu domu przyjaciela. Pozwolił, aby gospodarz wygrał i ta niezwykła okoliczność sprawiła, iż zachwycony zwycięzca nie okazał sceptycyzmu, kiedy Dave pożegnał go, usprawiedliwiając się kolejnym spotkaniem. To zrozumiałe, że ktoś, kto wraca do Ameryki po sześciu miesiącach w dżungli, pragnie czegoś ciekawszego od partii piłki ręcznej. Kapitalnie, że go odwiedził...

Barton przechadzał się alejami o gładkiej nawierzchni i wchłaniał myśli kipiące dokoła niego. Teraz, kiedy już wiedział, czego ma szukać, sprawy potoczą się gładko, chociaż potrzebna będzie cierpliwość. Od czasu do czasu otrzymywał skrawki informacji. Uczynił coś, na co Łysi decydowali się niezmiernie rzadko: przekazywał naprowadzające pytania umysłom nie–telepatów.

To było konieczne, ponieważ potrafił odczytać tylko tyle, ile znajduje się powyżej progu świadomości. Wprowadzenie nawet krótkiego impulsu stymulującego do nie receptywnego umysłu wymagało od niego nie lada wysiłku. Przeciętny człowiek nie posiada zdolności telepatycznych i porozumiewanie się z nim za pomocą myśli jest niezmiernie trudne. W szczególnych przypadkach potrafi odbierać myśli, lecz nie wie, iż są one impulsem przekazanym mu przez drugi umysł.

Barton aż się spocił z wysiłku, lecz jego działania zwieńczył sukces w postaci istotnych informacji. Ponadto zrobił to w sposób tak subtelny, iż gdyby nawet sam Faxe się włączył, nie powziąłby żadnych podejrzeń. Tego wieczoru wielu myślało o nim, ale były to zwyczajne myśli. Jedynie Barton potrafił ułożyć je we właściwym porządku. Kawałek tu, kawałek tam.

Ostatecznie otrzymał pełny obraz: tłumacz zmieniający odrobinę

znaczenie słów podczas rozmowy Tybetańczyka z Bengalczykiem oraz ich pytania do amerykańskiego fizyko– chemika. Tak było łatwiej, ponieważ pogrążeni w pracy inżynierowie bywali nieczuli na subtelniejsze formy kontaktu z innymi i dlatego tu, w Galileo, konstruowano urządzenie, które w końcu przysporzy kłopotów.

Oczywiście nawet Faxe nie wiedział, jak do tego dojdzie, ale jego niewielka wiedza naukowa pozwalała mu popsuć sprawę. Jeden odcień znaczeniowy w umyśle jednej osoby, nieznacznie inny u drugiej, podczas gdy w obu umysłach powinno znaleźć się to samo znaczenie. Takie i inne szczegóły przekonały Bartona o tym, że Sam Faxe jest zdrajcą swojej rasy.

Dowiedział się także, gdzie mieszka Faxe.

Stojąc pod jego domem, starał się połączyć z Melissą Carr. Odebrał jej myśl prawie natychmiast, na poziomie zwyczajnego promieniowania.

Bądź ostrożna, polecił jej. Posługuj się ogólnikami. Znowu uświadomił sobie jej kobiecość, miękkie, falujące włosy i delikatne, krągłe policzki. W chłodnym i rześkim powietrzu zdawał się wyczuwać powiew perfum.

Zgoda.

Czy możesz zlokalizować pozostałych? Szybko i precyzyjnie?

Tak. Są w...

Nie przerywaj łączności z... no, wiesz.

Raz jeszcze zrozumienie i wahanie delikatnie zabarwione kobiecością, i jednocześnie dziwnie pociągające. Wyczuł, że Melissa się boi i zapragnął ochronić ją. W jego myślach już formował się obraz Melissy Carr, chociaż dobrze wiedział, iż z konieczności jest to obraz nieprawdziwy. Wyobrażenia myślowe i wzrokowe mogą się znacznie różnić. Obraz, jaki powstał w myślach Bartona, przedstawiał kruchą, trójkątną twarzyczkę o subtelnych rysach okoloną lśniącymi, kruczoczarnymi lokami. Postrzegał jej cechy jakby od środka, odwracając zwyczajową kolejność, gdzie twarz pomaga w kształtowaniu wyobrażenia o tym, co się za nią kryje.

Jak ona to robi? Przechodząc przez jezdnię, zastanawiał się nad tym zrządzeniem losu. Ona jedna, tylko ona potrafi wejść na tę szczególną częstotliwość używaną przez...

Bariera!

Stanął na werandzie, przed zamkniętymi drzwiami. Przez porowatą płytę przedostała się niepewność i pytanie. Dotknęły jego myśli i wycofały się. W tej samej chwili mężczyzna wewnątrz domu wzniósł swoją barierę.

Bardzo dobrze. Prawdopodobnie tak oszańcowany umysł Faxe'a nie był w stanie

wykorzystać swojej nadzwyczajnej częstotliwości do porozumiewania się z pozostałymi paranoidami. A może jednak... a jeżeli tak?

Barton podszedł do okrągłego okna. Specjalna szyba nie pozwalała mu zajrzeć do środka.

Rozejrzał się czujnie, uniósł stopę i rozbił szybę na drobne kawałki. Przez wybite okno wszedł ostrożnie do dostatnio umeblowanego pokoju. Pod przeciwległą ścianą stał gruby mężczyzna. Surowy wystrój wnętrza kazał Bartonowi domyślać się, iż Faxe prawdopodobnie mieszka sam. Byłoby to naturalnej w przypadku osobnika o paranoidalnych skłonnościach, wymagającego uległości małżonki. Faxe nie ożeniłby siej z telepatką, a żaden nie–telepata nie wytrzymałby z nim długo.

Dwadzieścia lat temu Faxe nie nosiłby peruki, lecz od tamtych czasów ten szczep nauczył się ostrożności. Nosił teraz lśniącą, żółtą perukę, która zupełnie nie pasowała do jego nalanej, czerwonej twarzy.

Nagle bariera Faxe'a runęła i objawił się jego mózg: jałowy i pusty. Barton poczuł przeszywający impuls ostrzegawczy wysłany przez Melissę. Ostrzega pozostałych...

Barton wyrwał sztylet z pochwy i skoczył naprzód. Bariera Faxe'a natychmiast wyrosła ponownie z taką samą szybkością, z jaką broń znalazła się w jego tłustej dłoni. Podczas pojedynku z innym telepatą należy własne myśli trzymać na wodzy, aby intencje stały się nieczytelne. Dopóki Faxe będzie czuł się zagrożony, nie odważy się opuścić swojej bariery.

Barton rozpoczął akcję, bacznie obserwując przeciwnika, i jakby miał do czynienia z kołyszącym się kapturem kobry. Przyłożył kciuk do rękojeści sztyletu, który trzymał na wysokości uda. Grubas odsunął się od ściany i wyczekująco kołysał się na palcach.

Wszystko okazało się aż nadto proste. Bez pomocy telepatii można było przewidzieć, jak uderzy to niezdarne ramię. Z precyzją chirurga

Burton zadał cios w odpowiednie miejsce i postarał się, aby przed śmiercią jego przeciwnik nie porozumiał się z towarzyszami.

Zadowolony z rezultatu, wyszedł frontowymi drzwiami i spokojnym krokiem udał się do najbliższego przystanku kolejki naziemnej.

Załatwione. Wysłał myśl w poszukiwaniu Melissy. Usłyszała go gdzieś, bardzo daleko, w ciemnościach, i odpowiedziała.

Czy odebrali wezwanie Faxe'a?

Nie. Nie, bo byłeś zbyt szybki, a oni nie spodziewali się tego wezwania. Świetnie. Wobec tego kolej na Vargana i Smitha.

Tak. Świetnie. Jutro chyba nie będziesz mogła skontaktować się ze mną.

Dlaczego?

Unik. Vorgan… w Rye.

Posłuchaj. To ważne. Dobrze, jeżeli jest ich tylko trzech. Ale jeżeli zechcą się skontaktować z innymi, koniecznie daj mi znać!

Tak. To już było wszystko. Lecz osobowość Melissy nie opuszczała go, nawet wtedy gdy prowadził swój helikopter przez noc, na północny zachód. Fakt, iż popełnił morderstwo nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia. Swój postępek widział w innym świetle: Łysi w sposób niewątpliwie nieco fanatyczny oceniali zdradę w obrębie swojej rasy. Tym razem nie chodziło o zwyczajną zdradę. Sposób porozumiewania się odkryty przez Faxe'a i jego towarzyszy stanowił jak do tej pory największe zagrożenie dla całej rodziny Łysych… znacznie poważniejsze niż lincze organizowane kilkadziesiąt lat po Eksplozji.

Barton przyjął model myślenia, któremu dawał się zawładnąć podczas polowań. Tym razem jego zdobycz należała do gatunku ludzi, lecz odznaczała się większą drapieżnością niż jakakolwiek mięsożerna bestia z dżungli. Zwierzęta zabijają, by zdobyć pożywienie. Prosty darwinizm i podstawowe prawo przyrody. Ci trzej dopuścili się pogwałcenia innej zasady: przetrwania gatunku. Stanowili dla niego zagrożenie.

Konflikt jest nieuchronny w każdej nowej kulturze, myślał Barton, spoglądając na niewyraźne światełka migoczace w dole, niezliczone pochodnie miast rozrzuconych po całym kontynencie. Łysi bez wątpienia tworzą nową kulturę Na razie jeszcze w formie zarodkowej, jako mutacja dążąc do ostatecznego celu, jeszcze niewyobrażalnego.

Na razie ludzkość uczyniła pierwszy prawdziwy krok od miliona lat. Dotychczas mutacje były albo nieliczne, albo wymierały! Teraz, gdy promieniowanie twarde nadawało tempa, prawdziwa mutacja otwierała tysiące nowych drzwi. A u każdego progu czaiły się zasadzki.

Cechy dzielą się na dominujące i wtórne — ukryte. Braki owłosienia jest cechą wtórną w przypadku Łysych, lecz w trzecim lub czwartym pokoleniu mogą się ujawnić także inne, utajone cechy. Czy niezwykła metoda porozumiewania się na poziomie subtelepatii jest czymś przyrodzonym? Prawdopodobnie tak było w przypadku Melissy, ale Faxe i reszta mogli tę zdolność wypracować sami. Jeżeli istotnie tak było, to prawdopodobnie w każdym Łysym drzemie ta sama siła. I to oznaczało realne zagrożenie.

Ognisko choroby — w ścisłym znaczeniu tego terminu. Zdrowe komórki mogą ulec zarażeniu. Tajemnica może się rozprzestrzenić. Barton wyobraził sobie świetnie ukrytą, podziemną siatkę paranoidów, którzy porozumiewają się potajemnie i spiskują. To nie była przyjemna wizja. Zastanawiał się, ilu społecznie świadomych Łysych potrafiłoby stawić czoła takiemu zagrożeniu. Niewielu. Nie kwalifikowali się do udziału w wojnie, ponieważ z powodu bomb atomowych wojna była niemożliwa, lecz tu chodziło o nowy rodzaj walki. To, co za pomocą propagandy strachu przyczyniło się do powodzenia bomb — czyli konieczność centralizacji, zanim dojdzie do zorganizowania jakiejkolwiek grupy — nie znajdowało tu zastosowania. Jednoczenie się było niepotrzebne, jeżeli paranoidzi umieją porozumiewać się potajemnie i natychmiast. Ślepy los wtrącił się poprzez osobę Melissy. Nie można jednak polegać na ślepym losie.

Dotarła do niego myśl Melissy.

Vargan wzywa Smitha. Smith leci do Rye.

Ile oni wiedzą?

Vargan kazał Smithowi natychmiast przyjeżdżać. Nic więcej.

Do Rye? Zdaje się, że to jest nowe miejsce spotkań. Podał namiary.

Przekazała je Bartonowi.

Okay. Nasłuchuj dalej.

Zaintrygowany, i trochę zaniepokojony, zwiększył prędkość

helikoptera. Skręcał teraz na północ, w kierunku jeziora Erfe, omijając Canestogę. Już niedługo znajdzie się w Rye. Ale... czy mimo wszystko Faxe zdążył coś przekazać? Przekaz telepatyczny odbywa się błyskawicznie. Być może Vargan otrzymał sygnał SOS nadany przez grubasa. A jeżeli Faxe przekazał swoim wspólnikom informację, że ginie z rąk Łysego i dlaczego...? Barton zadrżał.

Tak czy owak, będą na niego czekali. Dowiedzą się, że Faxe nie żyje. Wystarczy, że wzywał ich bezkształtnym sygnałem i że nawiązał kontakt z ich myślami. Tej bezkształtności towarzyszącej nieubłaganej ucieczce życia nie można z niczym pomylić. Jeżeli teraz spróbują dotrzeć do niego, napotkają po prostu nicość, dziurę w eterze, jakby próżnia nie zdążyła się zamknąć nad miejscem zajmowanym przez człowieka jeszcze godzinę temu. Ta pustka jest wyjątkowa: żaden telepata dobrowolnie nie odważy się dotknąć tej rozdygotanej luki. Lecz ona wtargnie do każdego chłonnego umysłu, który się do niej zbliży, i bezszelestnie dotrze do całej populacji Łysych zamieszkujących miasteczko. Jeden z Nas nie żyje. Tak, Vargan i Smith już wiedzą. Chociaż prawdopodobnie nadal nie wiedzą, w jaki sposób to się stało. Zgon mógł nastąpić w rezultacie wypadku lub z przyczyn organicznych. W grę mogło wchodzić także... morderstwo. Ich postępowanie oprze się na tym ostatnim założeniu. Będą czekali.

Najbliższe celu lądowisko w Rye było puste. Kiedy opuszczał się na ziemię, towarzyszyły mu tylko automatyczne, migoczące światła pasa startowego. Melissa przekazała dokładne namiary. Pokonał kilometrowy odcinek drogi, skręcił w wąską alejkę poznaczoną tajemniczymi deseniami rzucanymi na ziemię przez światło księżyca sączące się przez drżące liście i zatrzymał się przed chatą pogrążoną w mroku. Kiedy przystanął, dobiegła go myśl.

Wejdź. Vargan: realizacja zróżnicowania wielkości, matryca pogrążona w jego umyśle, motyw pod powierzchnią płynącej wody. Wejdź. Lecz Vargan nie znał Bartona. Wysłał swoją myśl po omacku, świadom jedynie tego, że przed chatą czeka jeden z Łysych.

Zapaliło się światło. Ktoś otworzył drzwi. Na progu pojawiła się czarna sylwetka mężczyzny niskiego wzrostu, nie wyższego niż metr pięćdziesiąt, z ogromną głową. Nie ma pułapek?

Była pułapka, ale polegała jedynie na przewadze liczebnej. Barton czuł, że jego pytanie spotkało się z odpowiedzią. Vargan cofnął się,

ustępując miejsca wyższemu od siebie, po czym obaj znaleźli się w pokoju twarzą w twarz. Vargan miał wychudłe, zmartwione oblicze, wyłupiaste oczy i potarganą mysią perukę. Nosił szkła, w których światło odbijało się gadzim błyskiem. Przez chwilę przyglądał się Bartonowi, po czym się uśmiechnął.

— No, dobrze — odezwał się. — Wejdź i usiądź. Barton wyczuł pogardę. Posługiwanie się głosem wobec drugiego Łysego w sytuacji nie wymagającej ostrożności było wyrazem obraźliwego protekcjonalizmu, lecz Barton nie był tym zaskoczony. Paranoidalne skłonności, pomyślał, na co odpowiedziała mu myśl Vargana: Czyli najlepsze!

Otwarły się drzwi do kuchni i wkroczył Bertram Smith: przystojny, blond olbrzym z niebieskimi oczami i tępym wyrazem twarzy. Niósł na tacy butelki, szklanki i lód. Powitał Bartona skinieniem głowy.

— Vargan chciał z tobą rozmawiać — zauważył. — Nie rozumiem dlaczego, ale…

— Co się stało z Faxe'em? — dopytywał się Vargan. — Nieważne. Napijmy się.

Trucizna?

Stanowcze zaprzeczenie. Jesteśmy silniejsi niż… Barton wziął drinka i usiadł na niewygodnym krześle: nie chciał za bardzo się rozprężać. Zachowywał czujność, jednocześnie zdając sobie sprawę z nieprzydatności wznoszenia barier. Vargan skurczył się w fotelu i jednym haustem wypił zawartość szklanki. Wpatrywał się w Bartona.

— Co się stało z Faxe'em?

— Zabiłem go.

— Był najsłabszy z nas wszystkich… Wszystkich?

Z naszej trójki…

To dobrze. Jeszcze tylko dwóch…

Vargan uśmiechnął się.

— Ty jesteś przekonany, że możesz nas zabić, a my jesteśmy przekonani, że możemy ciebie zabić. Ponieważ nasza tajemna broń — bezgraniczna pewność siebie — jest nieuchwytna, możemy rozmawiać jak równy z równym. Skąd wiesz o naszym sposobie porozumiewania się?

Barton nie potrafił nie myśleć o Melissie. Czasami myśli dysponują nadmiernie wolną wolą.

— Będziemy musieli ją zabić — wtrącił się Smith. — A także tę drugą, Sue Connaught, o której myślał.

Nie warto utrzymywać niepotrzebnych tajemnic. Barton połączył się z myślami Melissy.

Oni już wiedzą. Słuchaj. Jeżeli użyją swojej tajnej częstotliwości, natychmiast mnie zawiadom.

— Natychmiast to całkiem szybko — zauważył VarJ gan.

— Myśli poruszają się szybko.

— Zgoda. Nie doceniasz nas, Barton. Faxe dołączył dc nas jako ostatni i nie był zbyt rozgarnięty. Podstawiliśmy ci go. Posiadamy umysły znacznie bardziej wyszkolone i szybsze od twojego. — Zablefował, tego nie mógł wiedzieć. Przemawiał przez niego egotyzm.

— Czy wyobrażacie sobie — pytał Barton — że ujdzie wam na sucho to, czego chcecie dopiąć?

— Oczywiście — odparł Smith. Jego myśli płonęły fanatycznym przekonaniem porażającym jak snop światła. — Musimy.

— Aha. Co chcecie osiągnąć?

— Pragniemy ocalić gatunek — wyjaśniał Vargan. — Lecz w sposób aktywny, a nie bierny. My, nie–Łysi... — Nadal posługiwał się tym terminem, chociaż sam nosił perukę. — ... nie chcemy chylić czoła przed rasą niższą, przed homo sapiens.

— Stara śpiewka. Kto twierdzi, że Łysi stanowią rasę wyższą? Po prostu posiadają jeden zmysł więcej od reszty.

— I tylko to różni człowieka od zwierzęcia. Dodatkowy zmysł. Inteligencja. Mamy teraz nowy gatunek o zdolnościach telepatycznych. Kolejny etap to być może gatunek wyposażony w zdolność... przewidywania przyszłości. Nie mam pojęcia... Lecz wiem jedno, że Łysi są przyszłością cywilizacji. Bóg nie obdarzałby nas taką cechą, gdyby jej wykorzystanie nie leżało w jego intencjach.

To był zwyczajny pojedynek, ale również coś więcej. Bartona zżerała ciekawość i to z kilku powodów.

— Staracie się mnie przekonać?

— Oczywiście. Im więcej zdobędziemy zwolenników, tym szybciej będziemy się rozrastać. Jeżeli odmówisz, zabijemy cię.

Tylko takie nieuchwytne niuanse pozwalały na zatajenie myśli. Semantyka nie jest w stanie zmienić różnorodności sądów absolutnych.

— Jakie macie plany?

— Ekspansja — Vargan targał mysią perukę. — I oczywiście absolutna tajemnica. W kwestii sabotażu… dopiero zaczynamy. Ale w końcu to będzie duża sprawa. Aktualnie koncentrujemy się na tym co, możemy zrobić…

— Sabotaż… co dajecie w zamian?

Fala niebywałego zadufania uderzyła Bartona.

— Siebie. Należymy do gatunku homo superior. Jako rasa wolna, wyzwolona spod władzy zwyczajnych śmiertelników, możemy… sięgnąć gwiazd!

— Zniewolenie. Ja tego tak nie widzę.

— Rozumiem. Wychowano cię w taki sposób, abyś przyjmował papkę podawaną przez tych tchórzy. To jest nielogiczne. To nie jest ani sprawiedliwe, ani naturalne. Kiedy pojawia się nowy gatunek, jego przeznaczeniem jest władza.

— Pamiętacie lincze jakiś czas temu? — zapytał Barton.

— Jasne — przytaknął Vargan. — Ludzie posiadają nad nami jedną przewagę: stanowią liczebną większość. Ponadto, są zorganizowani. Rzecz w tym, żeby zniszczyć tę organizację.

Na czym ona polega?

— Na komunikacji.

— Czyli na technice. Świat to sprawnie poruszający się pojazd, kierowany przez ludzi.

Jeżeli maszyna się zepsuje…

Barton parsknął śmiechem.

— Czy jesteście aż tak dobrzy?

Fanatyczna wiara w siebie ponownie rozbłysła w umyśle Smitha. Stu… tysiąc zwyczajnych śmiertelników… nie dorównuje ani jednemu z nas!

— No, cóż — odezwał się Vargan nieco bardziej sensownie — dziesięciu ludzi nadal może zlinczować Łysego, pod warunkiem jednak, że nie grozi im dezorganizacja i chaos społeczny.

Naszym celem jest zamęt. Wówczas będziemy mogli przejąć rządy… po tym, jak ludzkość podupadnie.

— Kiedy ma to nastąpić? Za milion lat?

— Tak mogłoby być — wyjaśniał Vargan — gdybyśmy nie posiadali zdolności telepatycznych oraz częstotliwości fal dostępnej dla

wtajemniczonych. Na marginesie...

potrzeba trochę czasu, aby się tego nauczyć, ale niemal każdy Łysy jest w stanie posiąść tę wiedzę. My jednak jesteśmy ostrożni: wśród nas nie będzie zdrajców. Jak to możliwe?

Zdrada była wykluczona. Każda myśl zawierająca wahanie lub element zdrady będzie odczytana. I to stanowiło o niezniszczalności takiej organizacji.

Vargan pokiwał głową.

— Wyobrażasz to sobie...? Tysiące Łysych potajemnie przyczynia się do tego demontażu, sabotuje i w razie konieczności zabija... a przy tym nigdy nie daje najmniejszego nawet powodu do jakichkolwiek podejrzeń.

— Przynajmniej zdajecie sobie z tego sprawę — zauważył Barton. — Nawet najbardziej błahy powód może okazać się zgubny.

— Wiem. — Gniew. — Ludzie nas tolerują, a my się na to godzimy. Pozwalamy im na to.

Pora,.abyśmy zajęli należne nam miejsce.

— Przecież je zdobywamy, stopniowo. To my jesteśmy intruzami w świecie nie– telepatów. Kiedyś zdobędziemy ich pełne zaufanie oraz tolerancję.

— I... zawsze... mamy być tolerowani jak bezsilna mniejszość? Mamy zadowalać się okruchami, jakie łaskawie rzucą nam gorsi od nas... jeżeli będziemy lizać im buty?

— Ilu jest nieprzystosowanych wśród Łysych?

— Mnóstwo.

— Właśnie. Ci będą nieprzystosowani nawet w niebie. Większość jednak się przystosowuje. Ja, na przykład, mam taką pracę, którą lubię...

— Doprawdy? I nigdy ani trochę cię nie irytuje świadomość, że ludzie wiedzą o tym, iż jesteś Łysym... że się na ciebie gapią?

— Nie ma istot zawsze szczęśliwych. Jasne, że świat należący do Łysych byłby niewątpliwie przyjemniejszy, ale kiedyś tak będzie. Kiedyś dostępne staną się różne inne światy. Na przykład Wenus.

— Wobec tego mamy siedzieć i czekać na otwarcie szlaków międzyplanetarnych — zadrwił Vargan. — A wtedy pojawią się hasła: „Ziemia dla ludzi" albo „Łysi ręce precz od Wenus". Jesteś naiwny. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że Łysi to nowa rasa? — skierował

wzrok na Bartona. — Widzę, że to rozumiesz. Każdy z nas o tym pomyślał. Ale nauczono nas tłumić takie myśli. Słuchaj. Po czym poznaje się nowy, dominujący gatunek?

Po tym, że jest w stanie dominować. A my jesteśmy w stanie: posiadamy takie zdolności, jakich nigdy nie uda się posiąść komu innemu. Jesteśmy niczym bóstwa, które udają istoty ludzkie, aby sprawić ludziom przyjemność.

— Nie jesteśmy istotami boskimi.

— W porównaniu z ludźmi… jesteśmy. Czy lubisz sobie wyobrażać, że twoje dzieci rosną w poczuciu strachu, że uczy się je nigdy nie obrażać gorszych od nich, że zmusza się je do noszenia… peruk? — Rozczapierzonymi palcami dotknął swojej głowy. — To jest symbol naszego tchórzostwa. Dzień, w którym będziemy mogli pokazać się bez włosów łysemu światu, stanie się dniem, kiedy dojdziemy naszych praw. Czy… uważasz, że nie mam słuszności?

— Nie. Możesz mieć rację. Ale na razie stanowimy bardzo nieliczną mniejszość: ryzyko jest zbyt wielkie. A skoro już mówisz o dzieciach, nie zapomnij o linczach. To nie jest przyjemne. Może wam to ujdzie na sucho, ale jesteś przekonany o zwycięstwie, a to już po prostu… szaleństwo. Odrzucacie argumenty, które mogłyby osłabić wasz plan. Jeżeli choć jedno słowo na ten temat wymknie się waszej kontroli, wszyscy Łysi na całym świecie, w perukach i bez, peruk, zostaną zniszczeni. Ludzie nie mogą postąpić inaczej… we własnej obronie. I ja bym się im nie dziwił. Przyznaję, że rozumujesz logicznie… w pewnym stopniu.

Jesteście groźni, ponieważ dysponujecie tajną częstotliwością. Zasadniczo, mamy wszystko, czego nam trzeba, ale wy stawiacie się w pozycji zbawców całego gatunku z powodu kilku niezadowolonych Łysych o skłonnościach do urojeń. Jeżeli wasz pomysł się rozprzestrzeni…

— Będzie to świadectwem urodzajnej gleby.

— Liczba nieprzystosowanych Łysych jest spora — przyznał Barton. — Mógłbym nawet do nich należeć, gdybym nie odnalazł swojego sposobu na życie. — Zamyślił się. Praca w dżungli była niezwykle zajmująca, ale jak wyglądałby jego powrót do cywilizacji opanowanej wyłącznie przez Łysych? Do świata, którego był częścią, jak nikt inny w tych czasach.

Odwrócił się od tej wizji. W tej samej chwili ostrzeżenie Melissy przebiło się przez jego myśli, szybciej niż krzyk. Reagując równie błyskawicznie, Barton zerwał się z miejsca i zasłonił krzesłem. Nie odebrał rozkazu Vargana, ponieważ przekazano go na tajnej częstotliwości, lecz nóż rzucony przez Smitha uderzył z łoskotem w plastikowe siedzenie krzesła, po czym odbił się od jednej ze ścian.

Vargan zaatakuje, kiedy Smith będzie sięgał po swój nóż. Melissa bała się, wzdragała na samą myśl o okrucieństwie i nie kontrolowanych, rozszalałych emocjach w tamtym pokoju, lecz jej myśl trafiła prosto do celu, jakim był umysł Bartona. Skoczył ku sztyletowi w chwili, gdy Vargan ruszył w jego stronę. Dwaj napastnicy wrócili na ogólnie dostępną częstotliwość telepatyczną, lecz nieco inaczej.

Barton mógł wystrzegać się jednej osoby lub dwóch działających razem. Lecz ten chwyt został wcześniej ustalony. Smith walczył na własną rękę, Vargan również. Dwa strumienie myśli atakowały mózg Bartona. Vargan koncentrował się na pojedynku: lewa, prawa, finta i znowu finta. Dave mógł rozprawić się z jednym przeciwnikiem, ale Smith podniósł przewrócone krzesło i przystąpił do natarcia. W jego myślach także panował zamęt. Krzesło niżej... nie, wyżej... nie...

Finta opiera się na dwóch wzorcach myślowych: dominującym i recesywnym. W jednym z nich kryje się prawda. Vargan i Smith starali się działać przypadkowo, specjalnie wprowadzając swoje myśli w stan chaosu, aby zmylić Bartona. Kilkakrotnie weszli na tajne pasmo, co sprawiło, iż do ogólnego zamieszania doszły ostrzeżenia Melissy.

Smith zdążył już odzyskać swój sztylet. Rozległ się trzask pękającego stołu. Na swoją zgubę Barton założył, że jego przeciwnicy będą działali razem, i w rezultacie ostrze sztyletu przebiło rękaw, zadając głęboką, krwawiącą ranę. Barton gubił się w taki sam sposób w dżungli, gdzie emocje, tropizmy, instynkty są znacznie silniejsze od inteligencji, lecz wówczas czynnikiem zwrotnym był jego własny umysł. Tym razem jednak miał do czynienia z drapieżcami obdarzonymi inteligencją, a nie z bezmyślnymi zwierzętami.

Czuł w gardle ciężki i duszący zapach krwi. Stąpając ostrożnie jak kot, Barton cofał się, aby nie znaleźć się między wrogami. Nagle rozbrzmiała ostrzegawcza myśl Mełissy: Atak! i obaj rzucili się na niego. Ostrza sztyletów lśniły tam, gdzie jeszcze nie zabarwiła ich

czerwień.

Serce… obojczyk… do góry… finta…

Rozszalałe, zdezorientowane i chaotyczne myśli wirowały wokół niego. Stanął twarzą w twarz ze Smithem, spostrzegł swój błąd i zrobił unik trochę nie w porę. Nóż Vargana rozorał mu lewy biceps. Ten cios uprzytomnił Bartonowi jego porażkę: nie stawi czoła dwom szaleńcom.

Podbiegł do krzesła z myślą, że posłuży się nim jak tarczą, lecz w ostatniej chwili, zanim ktokolwiek mógł tę myśl odebrać, cisnął nim w świetlówkę. Rurka rozprysła się przy akompaniamencie brzęku tłuczonego szkła. Skoczył do drzwi, korzystając z ciemności. Już znali jego zamiar, już go wyprzedzili. Wiedzieli, że liczy, iż impet pomoże mu wydostać się na zewnątrz. Mimo to nie mogli go powstrzymać. Z kolanem tuż pod brodą natężył mięśnie i ruszył, oszołomiony, rozdając ciosy na prawo i lewo. Prawdopodobnie to go uratowało.

Wymknął się, myśląc o swoim helikopterze. Teraz ucieczka pomoc. Przejął myśl Vargana: skrótem. Dzięki, posłał mu drwiącą odpowiedź. Skrót oszczędzał czas, którego zapas zwiększał się również dzięki długim nogom Bartona. Na razie nie miał żadnych planów. Nie próbował nawet o tym myśleć. Najpierw ucieczka i pomoc: szczegóły później. Jego wrogowie przez chwilę biegli za nim.

Nie warto: i tak dobiegnie. Mój helikopter. Racja. Polecimy za nim.

Pobiegli w innym kierunku. Mimo to czuł, jak ich urywane wypowiedzi ocierają się o jego umysł. Skoncentrował się na czynności biegania. Nie będzie łatwo wymknąć się tym szaleńcom, zwłaszcza teraz kiedy go już znają. Poza tym, nie stracą kontaktu z jego myślami.

Na lądowisku nadal stał tylko jego helikopter. Wsiadł i, powodowany mglistym wyobrażeniem Sue Connaught, skierował maszynę na południowy zachód. Melissa nie może pomóc. Nawet nie wiedział, gdzie jej szukać. Sue natomiast czeka w Conestodze, a między nimi…

Poza tym, należało ją ostrzec. Połączył się z jej myślami poprzez mroczną przestrzeń. Czy stało się coś złego?

Opowiedział jej. Zdobądź broń. Zabezpiecz się. Lecę do ciebie.

Plan…

Staraj się o niczym takim nie myśleć. Dowiedzą się…

I przestraszona Melissa. W jej myślach wyraźnie dawał się wyczuć chory zapach lęku. W czym mogę pomóc?

Nie ujawniaj miejsca swojego pobytu. Jeżeli nam się nie uda, powiedz prawdę innym Łysym. Tych szaleńców trzeba zniszczyć.

Sue: Czy mogę odciąć ich samolot?

Nie. Nie próbuj. Lecą za mną, ale mnie nie wyprzedzają.

Groteskowy, srebrzysty obiekt pobłyskujący w świetle księżyca pędził śladem maszyny Bartona. Prowizorycznie opatrzył ranę na ramieniu. Po chwili namysłu owinął całe lewe przedramię wieloma warstwami tkaniny: tarcza na wypadek...

Nie mógł zaplanować żadnego kroku ze względu na własne bezpieczeństwo. Telepaci nie grywali w szachy ani w inne gry taktyczne, ponieważ automatycznie zdradzali swoje zamiary.

Mogą grać w piłkę—zmyłkę, gdzie mają do czynienia z elementem zmiennym, z ruchomą planszą. Gdyby udało się wprowadzić element przypadku...

Uderzyło go natarczywe pytanie Vargana.

Na przykład jaki?

Barton drgnął. Musi działać pod wpływem impulsu, bez żadnego wcześniej ustalonego planu. Inaczej czeka go nieunikniona porażka.

Skontaktował się z Melissa. Czy korzystają z tajnego pasma?

Nie.

Jeżeli nam się nie uda, ty będziesz za to odpowiedzialna. Vargan i Smith muszą zginąć. To znacznie ważniejsze niż zabicie trzech osób. Jeżeli inni szaleńcy wpadną na ten pomysł, jeżeli wejdą na tajne pasmo, ten samobójczy ruch będzie się rozwijał. W końcu nie–telepaci dowiedzą się o tym. W konsekwencji wszyscy Łysi na całej ziemi zostaną zgładzeni. Ludzie nie mogą ryzykować. Jeżeli nie uda się nam opanować tych szaleńców... nasza rasa przestanie istnieć.

Na horyzoncie jarzyły się światła Conestogi. Nadal nie ma planu. Nie próbuj myśleć o planach.

Musi być jakiś sposób — niecierpliwił się Vargan. — Co?

Sue przemówiła. Wyruszam naprzeciw swoim helikopterem.

Pod nimi rozciągał się ogród zoologiczny, pogrążony w ciemnościach, osrebrzony jedynie blaskiem księżyca. Myśl Sue: Staranuję ich...

Głupia, pomyślał, Nie ostrzegaj ich! Nagle nowa koncepcja wtargnęła do jego umysłu.

Barton zareagował natychmiast. Lecz stery nie reagują

natychmiast. Aby uniknąć kolizji z samolotem Sue, Vargan niespodziewanie zniżył lot i w ten sposób znalazł się zbyt blisko helikoptera Bartona, który z całej siły rzucił się na stery.

Vargan odczytał tę myśl tak szybko, jak to tylko było możliwe. Niemniej jednak jego samolot nie potrafił reagować z prędkością myśli. Rozpędzone łopaty śmigieł zazębiły się i zazgrzytały. Z piskiem rozdzieranej stali dwa helikoptery wpadły w lot ślizgowy. Włączyły się automatyczne urządzenia ratunkowe — te, które jeszcze funkcjonowały —ale jedynie niewielka wysokość ocaliła od śmierci Bartona i jego prześladowców.

Wraki spadły w centrum ogrodu, nie opodal basenu rekina. Vargan odczytał myśl Bartona i w oka mgnieniu przekazał ją Smithowi: Zabij go! Pospiesz się!

Dave wydostał się ze szczątków swojej maszyny. Czuł, że Sue kołuje nad nimi, gotowa do lądowania. Skieruj swoje światła na... reflektory. Najsilniejsze oświetlenie. Obudź zwierzęta.

Kluczył, uciekając przed doganiającymi go dwoma cieniami. Zerwał opatrunki z ramienia, aby zapach świeżej krwi rozniósł się w powietrzu. Krzyknął...

Snopy światła z helikoptera Sue biły na ziemię, omiatały klatki oślepiającym blaskiem.

Zabij go, myślał Vargan, Szybko!

Rozległ się astmatyczny charkot lwa. Barton przemknął obok basenu i przez barierkę wrzucił do wody zakrwawiony bandaż. Woda chlusnęła bryzgami piany, kiedy wielki rekin budził się do życia.

Z klatek i zbiorników zamieszkałych przez zwierzęta rozbudzone światłem, hałasem i zapachem krwi... nadeszła zmienna.

Sue włączyła syrenę alarmową, której ryk rozniósł się w ciemnościach. Linie światła rozbłyskiwały chaotycznie w różnych miejscach. Barton spostrzegł, iż Smith przystanął i potrząsa głową. Vargan, z drapieżnym grymasem na twarzy, biegł naprzód, lecz i on doznał wstrząsu.

Ich myśli kłębiły się bezładnie, bowiem to już nie była partia szachów. Teraz grali w piłkę–zmyłkę, przy czym zmienna oszalała.

Zwierzęta nie posiadają inteligencji w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Rządzą nimi instynkty, tropizmy, straszliwa namiętność o pierwotnej sile. Ryk głodnego lwa niepokoi nawet nie–telepatów. A co

dopiero Łysych…

Najstraszliwszy był odgłos dobiegający z wielkiego zbiornika. Nawet Barton zadrżał.

Nawałnica zwierzęcych myśli wyrażających głód i wściekłość, szalejąca w środku nocy, wykluczyła jakąkolwiek możliwość porozumiewania się między Varganem i Smithem, którzy nawet myśleli z trudem. Teraz myśli Bartona były dla nich nie do odczytania. Zachowywali się niczym ludzie schwytani w pułapkę oślepiających reflektorów. Z telepatycznego punktu widzenia, zostali oślepieni.

W przeciwieństwie do nich Barton, jako zaprawiony łowca, lepiej panował nad sytuacją, chociaż nawet dla niej go była przykra. Jednak fakt, iż lwy, rekiny, wilki i tygrysy nie były mu obce dawał mu pewną odporność na ich krwiożercze myśli. Poczuł, że przerażona Melissa wycofuje się w panice. Widział również, jak Sue, zagryzając wargi, rozpaczliwie stara się zapanować nad sobą. W promieniu jednego kilometra od tej Niagary myśli porozumiewanie się za pomocą telepatii stało się niemożliwe, pozostawiając jedynie margines dla bardzo specyficznego typu umysłu. Umysł Bartona do niego należał.

Ponieważ mógł czytać w myślach swoich przeciwników, ponieważ oni byli wobec niego bezradni, zwycięstwo w tym pojedynku należało do niego. Musiał ich zgładzić, zanim nadejdzie pomoc. Tajemnicę szaleńców należało ukryć na zawsze.

Dokończył dzieła ostrzem sztyletu. Smith umarł bez słowa. Gasnący umysł Vargana nadał rozpaczliwy, żarliwy krzyk: Głupcze! Niszczysz swój własny gatunek…

Gdy umilkła syrena helikoptera i zgasły reflektory, zapadła cisza, w której rozlegały się jedynie odgłosy zwierząt i chlupot wody w basenie.

— Zatuszują to — oświadczył Barton. — Już tyle zdziałałem od wczoraj. Na szczęście, mamy kilku swoich w sądownictwie. Nawet im nie przekazałem zbyt wiele… ale mają ogólne rozeznanie w tej sprawie. Zakwalifikują to do porachunków prywatnych. Pojedynek jest przecież legalny. Popołudnie skrzyło się na rzece słonecznym blaskiem. Podmuch wiatru przechylił żaglówkę, a wtedy Sue, reagując na myśl Bartona, przesunęła ster. Woda cicho szemrała pod kilem.

— Nie mogę się skontaktować z Melissą.

Sue nie odpowiedziała. Spojrzał w jej kierunku.

— Ty z nią dzisiaj rozmawiałaś. Dlaczego ja nie mogę?

— Ona… to trudna sprawa. Daj sobie z tym spokój.

— Nie.

— Może kiedy indziej… za tydzień… Przypomniał sobie jej przesadną, kobiecą subtelność i to, jak przerażona wycofała się poprzedniego wieczoru. — Chciałem się upewnić, że nic się jej nie stało.

— Nie… — Sue starała się coś ukryć. Prawie się jej to udało, ale nie do końca. Dostrzegł coś, jakiś klucz albo obraz.

— Zmiana matrycy? — Rzucił jej spojrzenie. — Jak mogła…

— Dave, proszę, zostaw ją teraz w spokoju. Ona nie zechce…

Lecz Barton miał już klucz do zamkniętych drzwi, które wystarczyło otworzyć. Wysłał pytającą, sondującą myśl. Gdzieś, bardzo daleko, coś poruszyło się w odpowiedzi.

Melissa?

Sue w milczeniu wpatrywała się w ster. Po dłuższej chwili Barton otrząsnął się. Na jego twarzy malowało się napięcie, koło ust pojawiły się nowe zmarszczki.

— Wiedziałaś o tym?

— Dopiero dzisiaj się dowiedziałam — wyznała Sue. Z jakiegoś powodu w tej chwili żadne nie chciało posłużyć się telepatią.

— Zdaje się… że przyczyną stało się to wydarzenie w zoo.

— To tylko chwilowo. To musi być coś cyklicznego.

— Więc to dlatego była w stanie wejść na tajną częstotliwość. — W głosie Bartona zabrzmiała nuta surowości. — Ta mutacja… czasami niebezpiecznie się zbliża do samej granicy. — Opuścił wzrok na drżącą dłoń. — Jej umysł… to było w jej umyśle!

— To postać cykliczna — mówiła cicho Sue. — Zastanawiam się teraz… czy ona będzie mówić? Czy jej myśli zostaną przechwycone przez…

— Nie ma obawy. Byłem tam wystarczająco długo, aby się upewnić. Inaczej… wcale bym się tam nie pakował. W tym stanie, Melissa nie pamięta niczego, co wydarzyło się, kiedy funkcjonowała… racjonalnie.

Sue chciała coś powiedzieć.

— Ona nie wie, że jest chora psychicznie. Po prostu czuje, że coś jest nie tak, jak być powinno. Dlatego nie chciała nam powiedzieć, gdzie jest. O, Dave! Tylu spośród nas, tylu mutantów… straciło zmysły! To straszliwa cena.

Barton przytaknął ponuro. Zawsze trzeba ponosić jakieś koszty. Z drugiej jednak strony, jeżeli za tę cenę mutanci mogą czuć się bezpieczni…

Jednak w rzeczywistości było inaczej. Barton rozumiał, że pewien okres w życiu całej rasy mutantów ostatecznie dobiegł końca. Do wczoraj jasno widzieli drogę wytyczoną przed sobą.

Lecz zdemaskowano zło w samym sercu ich własnego gatunku, zło, które będzie zagrażało pokojowi na świecie dopóty, dopóki jedna lub druga rasa nie zniknie z powierzchni ziemi. To, co odkryło na razie tych paru telepatów, w przyszłości stanie się udziałem innych. Może już znają tę tajemnicę? Nie wolno pozwolić na coś takiego.

Synu człowieczy! Dałem cię stróżem domowi Izraelskiego…

Musimy mieć się teraz na baczności, pomyślał. Zawsze. Pojął, iż w ciągu kilku ostatnich godzin uczynił ogromny krok naprzód w procesie dojrzewania. Początkowo działał bez celu, otwarty na każdą możliwość, jaka zastuka najgłośniej do wrót jego mózgu. Następnie, znalazł odpowiednie dla siebie zajęcie. Dzięki osiągniętemu w ten sposób wygodnemu poczuciu przystosowania uważał się wówczas za człowieka nareszcie dorosłego. Tak było do wczoraj… do dziś.

Okazało się, że nie wystarczy polować na dzikie zwierzęta. Skala zadania, jakie go czekało, była ogromna, wręcz niewyobrażalna, lecz jego zarysy widział już bardzo wyraźnie.

Nie zdoła wykonać tej pracy w pojedynkę. Potrzebni będą inni. Od tej chwili należy zachować nieustanną czujność wobec całego globu. Dzisiaj, prawdopodobnie po raz pierwszy od blisko dwóch tysięcy lat, odrodzili się Krzyżowcy.

To dziwne, myślał, że pierwsze ostrzeżenie nadeszło od tej chorej kobiety. Nawet szaleńcy okazują się przydatni w procesie rozwoju rasy. To dziwne, że trzy kategorie mutantów splotły się tak ciasno w zażegnanym konflikcie. Szaleńcy, zdrowi, zdrowi ze skłonnością do urojeń.

Nawet w walce na śmierć i życie te trzy linie wiły się, wzajemnie od siebie uzależnione.

Spojrzał na Sue. Ich myśli zbliżyły się i złączyły. W tym serdecznym i głębokim porozumieniu nie było miejsca ani na wątpliwości, ani na wyrzuty sumienia. Świadomość jedności pokonującej każdy mrok i oddalenie warta była każdej ceny, jakiej żądała od nich przyszłość.

Ogień w palenisku wygaśnie dopiero wraz ze śmiercią ostatniego z Łysych.

ROZDZIAŁ 3

Padał śnieg.

Wszędzie śnieg. Wirujące, białe płatki zasłaniały wszystko. Dotychczas, chociaż nie mogłem porozumiewać się z moimi braćmi, czułem pod stopami twardy grunt, widziałem także szczyty gór. Teraz byłem całkowicie odcięty od; świata i zupełnie sam.

Byłem bezradny. Czekałem, otulony kocami. Zrobiło się ; nieco cieplej, ale zabijał mnie nie chłód, lecz... samotność. Wydawało mi się, iż całe moje życie jest snem oraz że nie istnieje nic prócz mnie.

Szumiało mi w głowie. Nie potrafiłem zatrzymać żadnej myśli. Wiedziałem, że jestem o krok od załamania. Śnieg wirował niedorzecznie dokoła mnie, a wraz z nim moje myśli i nic nie było w stanie ich zatrzymać. Zniknęły kotwice. Istniała wyłącznie przeszłość.

Cofnąłem się w czasie w poszukiwaniu czegoś stałego. Tym razem do okresu po Bartonie, jeszcze za jego życia. Do czasów McNeya i Lincolna Cody'ego. Do jedynej nie sprawdzonej części Żywotów–Kluczy, ponieważ w życiu McNeya była chwila, której nie widział żaden inny telepata i należało tu zdać się wyłącznie na dedukcję. Jednak ci, którzy znali go tak długo i tak blisko, mieli pełne prawo uzupełnić brakujące szczegóły.

Opowieść ta, o lwie i jednorożcu, była kompletna. Sięgnąłem wstecz do czasów i myśli McNeya. Na jakiś czas zapomniałem o śniegu i samotności, odnajdując w przeszłości potrzebny mi epizod: kiedy McNey czekał, by Sergei Callahan, telepata ze skłonnością do urojeń, przekroczył próg jego domu...

* * *

LEW I JEDNOROŻEC

Najlepszym sposobem nieujawnienia tajemnicy jest zachowanie pozorów jawności.

McNey zagwizdał parę taktów Griega, a powstałe w ten sposób

drgania wprawiły w ruch precyzyjny mechanizm. Matowobursztynowe ściany i sufit stały się przezroczyste.

Polaroidowe kryształy igrały z czerwonym blaskiem słońca zachodzącego za góry masywu Catskill. Czyste, szafirowe i bezchmurne niebo wisiało nad ziemią. Samolot Bartona już wylądował i wkrótce należało się spodziewać Callahana.

To, że Callahan odważył się przyjść, na dodatek sam, ukazywało rozmiary zagrożenia z przerażającą wyrazistością. Dwadzieścia lat temu wszystko rozstrzygnęłoby pchnięcie sztyletem. Lecz nie byłoby to rozwiązanie ostateczne. Barton posłużył się nożem i chociaż nie chybił, to jednak nie dopiął celu. Zagrożenie narastało.

McNey, stojąc przy biurku, otarł czoło i ze zdziwieniem popatrzył na wilgotną dłoń: to nadciśnienie spowodowane rozpaczliwym, wyczerpującym wysiłkiem, jaki włożył, by skontaktować się z Callahanem i zaskoczeniem, że tak łatwo to osiągnął. Do tego jeszcze Barton w roli katalizatora — mangusta i jadowity wąż.

Nie wolno dopuścić do starcia... jeszcze nie teraz. Nie wolno dopuścić do tego, by Barton zabił Całlahana. Ta hydra ma więcej niż sto głów, a na dodatek posiada Moc. Potężna, tajna broń szalonych telepatów stanowiąca największe niebezpieczeństwo.

Oni nie są szaleńcami. Należą do typu paranoidalnego, który posługuje się zimną logiką, a ich choroba przejawia się tylko jednym symptomem: ślepą, patologiczną nienawiścią do nie–telepatów. Na przestrzeni dwudziestu, trzydziestu, może czterdziestu lat nie tyle okrzepli, co zorganizowali się tak, że dzisiaj odkrywano te zrakowaciałe komórki w miastach całej Ameryki, od Modoc i American Gun po Roxy i Florida End.

Jestem stary, myślał McNey. Mam czterdzieści dwa lata, lecz czuję się stary. Piękne marzenie, które towarzyszyło przez cale życie, blednie przytłumione koszmarem.

Patrzył w lustro. Był postawnym mężczyzną solidnej budowy, lecz mimo to słaby. Miał zbyt łagodne spojrzenie, by móc walczyć, i ciemne włosy — perukę, jak każdy telepata, którą niedługo trzeba będzie zastąpić nową, przyprószoną siwizną.

Był zmęczony.

Otrzymał pozwolenie na wyjazd z Niagary, jednego z miast nauki: tajny charakter jego pracy wykluczał urlopy. Wielu Łysych wykonywało

to zajęcie, a nie–telepaci nie mieli o nim pojęcia. Łączyło ono obowiązki związane z utrzymywaniem porządku publicznego z eksterminacją. Paranoidzi nie mogą przetrwać. To był pewnik.

Miasto leżało za łańcuchem gór. McNey powiódł wzrokiem po sosnowych i sumakowych zagajnikach, po stawie i strumieniu, gdzie w ciemnych zakamarkach kryły się pstrągi.

Rozsunął drzwi, wpuszczając do środka chłodny powiew. Zagwizdał frazę wzbudzającą ultradźwięki, które zatrzymywały komary w stosownej odległości. Na chodniku dostrzegł smukłą postać w jasnych spodniach i bluzce. Rozpoznał Alexę, swoją adoptowaną córkę.

Instynkt rodzinny charakterystyczny dla Łysych sprawił, iż adopcja stała się zjawiskiem powszechnym.

Promienie gasnącego słońca połyskiwały na lśniącej peruce dziewczyny. Przekazał jej swoją myśl.

Wydawało mi się, że pojechałaś na wieś. Marian wybrała się na pokaz.

Wyczuła cień rozczarowania w jego słowach. Wtargnięcie, Darryl?

Przez godzinę, może dwie…

Okay. W tym filmie jest sekwencja z kwitnącą jabłonią, a ja nie znoszę tego zapachu.

Marian prosiła mnie… pójdę potańczyć w Ogrodzie.

Miał wyrzuty sumienia, widząc, jak Alexa odchodzi… W idealnym świecie telepatów nie byłoby miejsca na tajemnice i uniki. Istotną wadę systemu paranoidów stanowiła tajna, niewykrywalna częstotliwość, na której mogli się porozumiewać — to, co nazwano Mocą.

Doszedł do wniosku, iż jest to cecha wtórna mutacji, na równi z brakiem owłosienia, lecz występująca na bardzo ograniczoną skalę. Prawdopodobnie tylko osobniki paranoidalne mogą posiąść tę Moc, co wskazywałoby na występowanie dwóch odrębnych i różnych mutacji.

Delikatna równowaga mechanizmu ludzkiej psychiki nie wyklucza takiej możliwości.

Prawdziwe porozumienie ma zasadnicze znaczenie dla pełni życia. Telepaci posiadają większą wrażliwość: ich małżeństwa są pełniejsze, przyjaźnie bardziej serdeczne, a cała rasa to jeden żywy organizm. Żadna myśl nie umknie sondzie. Zazwyczaj Łysy taktownie wycofuje się, gdy myśli rozmówcy tracą wyrazistość. Takie zamazywanie staje

się w końcu niepotrzebne, ponieważ zanika potrzeba sekretów.

Zarówno Marian, jak Alexa wiedziały o związkach McNaya z organizacją, lecz przyjmowały to z milczącym zrozumieniem. Nie potrzebowały słów, by wiedzieć, kiedy McNay nie ma ochoty odpowiadać na pytania. Głębokie zaufanie wynikające z telepatycznego zrozumienia pozwalało im nie zadawać żadnych pytań, nawet w myślach.

Alexa miała dwadzieścia lat i już zdążyła poznać, co to znaczy być outsiderem w już ukształtowanym świecie. Nadal postrzegano Łysych jako intruzów, pomimo wszelkich prób racjonalizacji. Znakomita część gatunku ludzkiego nie posiadała zdolności telepatycznych. W tym gigantycznnym trybunale, który codziennie osądzał mutantów, tlił się strach, podejrzliwość i nienawiść.

McNey doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że wyroki śmierci zależy od ustawienia kciuka. Jeżeli pewnego dnia kciuki obrócą się ku dołowi...

Jeżeli nie–telepaci dowiedzą się o poczynaniach paranoidów...

Barton był już na ścieżce. Szedł sprężystym krokiem młodego człowieka, chociaż miał powyżej sześćdziesiątki. Jego peruka miała barwę stalowosiwą. McNey dostrzegł przezorną czujność w myślach starego łowcy. Oficjalnie Barton był przyrodnikiem, łowcą dzikiej zwierzyny, jednak czasami jego łupem stawali się ludzie. Na piętrze, Dave, pomyślał McNey.

Dobrze. Czy to już tu jest? Callahan zjawi się wkrótce.

Ich myśli nie przystawały do siebie. Semantyczny symbol Callahana był o wiele prostszy w umyśle McNeya. W przypadku Bartona, zabarwiały go skojarzenia wyniesione z wieloletniej walki z grupą, do której pałał niemal chorobliwą nienawiścią. McNeyowi nie udało się dowiedzieć, co kryje się za tak gwałtownym uczuciem. Parę razy przechwycił ulotny obraz dziewczyny, która już umarła, a która kiedyś pomagała Bartonowi, lecz tego rodzaju myśli znikały natychmiast, jak odbicie wśród fal.

Barton przybył na miejsce. Miał pooraną zmarszczkami, ogorzałą twarz i uśmiechał się jedną stroną ust, co wyglądało jak szyderczy grymas. Usiadł w fotelu, przesunął sztylet tak, by mieć go pod ręką i pomyślał o drinku. McNey podał mu whisky z wodą sodową. Słońce skryło się już za górami, powiało chłodem. Indukcja automatyczna

zaczęła nagrzewać pokój.

Szczęście, że mnie złapałeś. W drodze na północ. Problemy.
Dotyczące Nas? Zawsze.
O co chodzi tym razem? Zakres myśli Bartona poszerzył się.
Łysy bez peruki w grupie Leśnych Psów
Zagrożenie dla Łysych
Najazdy na wsie
Łysy bez peruki, który nie umie posługiwać się telepatią
Bez peruki? Paranoida?
Wiem niewiele. Nie mogę się z nim skomunikować.
A te?... Leśne Psy?
Myśli Bartona odzwierciedlały jego szyderczy uśmiech.

Dzicy. Zbadam to. Nie wolno dopuścić, aby ludzie skojarzyli Nas z rajdami Leśnych Psów.

McNay milczał pogrążony w rozmyślaniach. Tyle już czasu upłynęło od Eksplozji, kiedy to promieniowanie twarde doprowadziło do powstania mutacji i rozczłonkowania całej cywilizacji. Już wtedy należy szukać początków organizacji Leśnych Psów: buntowników, którzy odmówili przyłączenia się do związków wsi i zbiegli do lasów oraz na tereny wyludnione. Prowadzili prymitywne życie koczowników lecz, w obawie przed wszechobecnymi bombami atomowymi, zawsze w małych grupach. Nieczęsto można ich było spotkać. Z lotu ptaka widywało się postaci przemierzające chyłkiem, jeden za drugim tereny Limberlost czy Everglades na Florydzie, nieodmiennie tam gdzie pozostały gęste bory.

Z konieczności kryli się w leśnych ostępach. Sporadycznie napadali na samotne wsie, jednak tak rzadko, że nikt nie widział w nich poważnego zagrożenia. Traktowano ich co najwyżej jak niedogodność. Zazwyczaj trzymali się z daleka od miast.

Łysy wśród nich stanowił zjawisko nie tyle szczególne. J co wręcz zdumiewające. Telepaci bowiem tworzyli rasową jedność rozczłonkowaną na grupy rodzinne. Asymilacja

postępowała wraz ze wzrostem dziecka. Może to podstęp ze strony paranoidów. ..Ale jaki?

McNey wychylił swoją whisky. Nie warto zabijać Callahana,

zauważył.

Tropizm, odpowiedziała mu ponura myśl Bartona. Taktyzm. Jak schwytam, to zabijam.

Nie…

Niektóre metody są wobec Nich skuteczne. Zastosowałem adrenalinę. Nie są w stanie przewidzieć ruchów szaleńca podczas walki, ponieważ on sam tego nie potrafi. Z Nimi nie da się walczyć tak, jakby się rozgrywało partię szachów, Darryl. Trzeba ich zmusić do ograniczenia ich własnych możliwości. Pozbyłem się kilku każąc im walczyć z maszynami, które nie reagują tak szybko jak umysł. Ale — cień goryczy — nie wolno nam planować z wyprzedzeniem. Mogą odczytać nasze myśli. Dlaczego tego nie zabić?

Bo może będziemy musieli pójść na kompromis.

McNey aż się skrzywił pod naporem fali gwałtownego i żarliwego oburzenia. Sprzeciw Bartona zaskoczył go swoją stanowczością.

McNey obracał szklankę w palcach i przyglądał się mgiełce osiadającej na szkle. Lecz paranoidzi rosną w siłę.

Więc znajdź sposób na ograniczenie ich mocy!

Próbujemy. Tego nie da się zrobić.

Znajdźcie tajne pasmo dla nas.

Myśli McNeya traciły ostrość. Barton skierował receptory w inną stronę, lecz zdążył jeszcze uchwycić pewien skrawek. Z trudem powstrzymywał natrętne pytanie.

— Jeszcze nie teraz, Dave. Nie wolno mi o tym nawet myśleć. Przecież o tym wiesz — odpowiedział mu głośno McNey.

Barton przytaknął. On także zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa łączącego się z ustalaniem planów. Bariery, które skutecznie odbijałyby sondy paranoidów, nie istniały.

Nie zabijaj Callahana, prosił McNey. Pozwól mi się tym zająć.

Barton przystał niechętnie. Nadchodzi. Teraz.

Dave posiadał umysł bardziej zdyscyplinowany i wyczulony na obecność promieni wysyłanych przez istoty myślące i dzięki temu wychwytywał fragmenty odległych myśli.

McNey westchnął, odstawił szklankę i potarł czoło.

Barton myślał. Łysy z Leśnymi Psami. Czy w razie konieczności mogę go tu przyprowadzić?

Oczywiście.

Pojawiła się nowa myśl: pewna siebie, stanowcza, opanowana. Barton poprawił się w fotelu. McNey wysłał odpowiedź.

Po chwili zjawił się Sergei Callahan. Przystanął wyczekująco i uważnie obserwował przyrodnika. Nowo przybyły okazał się szczupłym blondynem o delikatnych rysach. Miał włosy tak długie i bujne, że przypominały grzywę dzikiego zwierzęcia. Tylko

pretensjonalność mogła skłonić paranoidów do noszenia tak wyzywającej peruki... pretensjonalność i wrodzona niezdolność asymilacji..

Przybysz nie sprawiał wrażenia człowieka niebezpiecznego. Mimo to McNey poczuł się tak, jakby do pokoju wtargnęła dzika bestia. Co, zdaniem mediewistów, symbolizuje lew?

Rozwiązłość? Nie mógł sobie przypomnieć. W myślach Bartona odnalazł echo podobnych wyobrażeń: drapieżnik, którego należy zarżnąć!

— Witam — odezwał się Callahan. To, że użył głosu, kazało McNeyowi domyślać się, że potraktował gospodarzy jak niższy gatunek zasługujący na pogardliwy protekcjonalizm.

Takie zachowanie było typowe dla paranoidów.

McNey wstał, lecz Barton nie ruszył się z miejsca.

— Usiądziesz?

— Dziękuję — Callahan rozparł się w fotelu. — Ty się nazywasz McNey. Słyszałem też o Bartonie.

— Nie wątpię — odparł myśliwy spokojnie. McNey pospiesznie napełniał szklanki. Barton nie tknął swojego drinka.

Chociaż wszyscy trzej milczeli, w pokoju rozbrzmiewało coś, co można by zdefiniować jako czterowymiarowy dźwięk. Nikt nie próbował nawiązywać bezpośredniej wymiany myśli, chociaż mózg telepaty zaznaje ciszy absolutnej dopiero w stratosferze. Introspektywne myśli zaczęły tętnić jak ledwie słyszalne, oddalone tony toccaty i fugi. Myśli rozmówców instynktownie nawzajem się do siebie dostrajają, jak żołnierze maszerujący równym krokiem.

Lecz Callahan mylił krok i dlatego atmosferę spotkania mącił pewien dysonans.

Był nad wyraz pewny siebie. Paranoidzi nieczęsto odczuwali ukłucia zwątpienia tak uciążliwe dla normalnych telepatów. Nie znali pytania, które nieodmiennie dręczyło Łysych: Odmieniec czy

autentyczny mutant? Chociaż narodziło się już wiele pokoleń od czasu

Eksplozji, to nadal było zbyt wcześnie, aby uzyskać na nie odpowiedź. Doświadczenia biologów utrudniał, niestety, brak materiału kontrolnego, bowiem zwierzęta nie potrafią rozwinąć funkcji telepatycznej. Zdolność ta drzemie wyłącznie w wyspecjalizowanych koloidach ludzkiego mózgu i ciągle pozostaje tajemnicą.

Obecnie sytuacja zaczęła się nieco wyjaśniać. Początkowo funkcjonowały trzy różne typy, które rozpoznano dopiero po tym, jak niepewna, poeksplozyjna sytuacja ustabilizowała się, przyjmując formę decentralizacji. Wyróżniono wówczas typ autentycznych Łysych, zdrowych na ciele i umyśle, do którego zaliczali się McNey i Barton. Na przeciwnym biegunie znalazł się typ grupujący osobniki anormalne, spłodzone przez rozbuchany kosmos.

Należały do niego monstra zrodzone ze zniszczonej promieniowaniem plazmy zarodków — dwugłowe, zrośnięte korpusami bliźnięta, cyklopy i syjamskie potworki. Nadzieją napawa fakt, iż narodziny takich osobników należą już do rzadkości.

Lukę między Łysymi i szalonymi telepatami wypełniał paranoidalny wariant mutacji, nacechowany egotyczną fiksacją. Pierwotnie paranoidzi nie nosili peruk i wówczas, w przypadku wykrycia zagrożenia z ich strony, wyniszczenie osobników tego typu nie stanowiłoby żadnej trudności. Teraz było już na to za późno. Nauczyli się działać w sposób bardziej przebiegły. Zasadniczo żadna cecha nie odróżniała autentycznych telepatów od paranoidów, którzy — dobrze zamaskowani — czuli się całkiem bezpiecznie, poza sporadycznymi wpadkami, kiedy to Barton i jego drużyna mieli okazję użyć swoich sztyletów, noszonych przez wszystkich mężczyzn.

Trwała wojna — potajemna, z konieczności prowadzona wyłącznie z podziemia — w świecie nieświadomym zaciętej, toczonej w mroku walki na śmierć i życie. Nie–telepaci nawet nie domyślali się, co się dzieje. Lecz Łysi wiedzieli.

Wiedział o niej też McNey, którego poczucie odpowiedzialności przyprawiało o nieprzyjemny skurcz. W cenę, jaką przyszło Łysym płacić za przetrwanie, wchodziła deifikacja rasy, utożsamienie własnej osoby, rodziny i przyjaciół z całą mutacją telepatów, wyłączając paranoidów, tych drapieżników zagrażających bezpieczeństwu Łysych na całym globie.

McNey, bacznie obserwując Callahana, zastanawiał się, czy ten człowiek kiedykolwiek zaznał smaku zwątpienia. Zapewne nigdy. Poczucie niższej wartości sprawiło, iż paranoidzi wierzyli w grupę z czystego egotyzmu. Ich hasło brzmiało: Jesteśmy rasą wyższą! Wszystkie inne gatunki są od nas gorsze.

Nie byli rasą wyższą, lecz niedocenianie ich mogło okazać się poważnym błędem.

Cechowała ich bezwzględność, inteligencja oraz siła. Jednak nie tak wielka, jak to sobie wyobrażali. Lew bez trudu rozprawi się z dzikiem, lecz stado dzików potrafi rozszarpać lwa.

— Wpierw muszą go znaleźć — Callahan uśmiechnął się.

Grymas wykrzywił twarz McNeya.

— Nawet lew zostawia ślady. Nie możecie wprowadzać w życie swojego planu i liczyć na to, że ludzie nie zaczną się czegoś domyślać.

Myśli Callahana wyrażały pogardę.

— Oni nie są telepatami. Nawet gdyby nimi byli, to my dysponujemy Mocą. A jej nie da się powstrzymać.

— My jednak potrafimy czytać wasze myśli — wtrącił Barton z błyskiem w oku. — W ten sposób pokrzyżowaliśmy niektóre wasze poczynania.

— Drobne zdarzenia… — Callahan wykonał lekceważący ruch ręką. — … nieistotne dla naszego długofalowego programu. Poza tym, potraficie odczytać tylko to, co znajduje się powyżej progu świadomości. Rozważamy także sprawy inne niż sam Podbój. Po zaplanowaniu kolejnego kroku… wykonujemy go jak najszybciej, aby zminimalizować możliwość przechwycenia szczegółów przez jakiegoś zdrajcę.

— Zatem my jesteśmy zdrajcami — zauważył Barton.

Callahan rzucił mu spojrzenie.

— Sprzeniewierzacie się przyszłości naszej rasy. Rozprawimy się z wami po Podboju.

— A na razie co mają robić ludzie? — pytał McNey.

— Umierać.

McNey otarł czoło.

— Jesteście zaślepieni. Jeżeli z ręki Łysego zginie jeden człowiek, a wiadomość o tym się rozejdzie, to może się skończyć bardzo źle albo pójść w niepamięć. W przypadku kilku takich zgonów, zaczną się

pytania i domysły. Upłynęło już sporo czasu od ostatnich linczów, ale wystarczy, że jeden bystry człowiek domyśli się, o co chodzi, i rozpocznie się pogrom, który doprowadzi do zlikwidowania wszystkich Łysych na całym świecie. Nie zapominaj, że łatwo nas rozpoznać — Wskazał na swoją perukę.

— Nie dojdzie do tego.

— Nie doceniacie ludzi. Nigdy nie mieliście o nich zbyt wysokiego mniemania.

— O, nie. To nieprawda. Za to wy nigdy nie docenialiście Nas. Nie znacie nawet swoich własnych możliwości.

— Zdolności telepatyczne nie czynią nikogo nadczłowiekiem.

— My uważamy, że tak właśnie jest.

— No dobrze, w tym punkcie się nie zgodzimy. Może gdzie indziej należy szukać porozumienia — stwierdził McNey.

Barton wydał z siebie groźny pomruk. Callahan rzucił mu spojrzenie.

— Twierdzisz, że rozumiesz nasz plan. Jeżeli tak jest, to wiesz również, że nic nas nie powstrzyma. Ludzie, których się tak obawiasz, mają tylko dwa atuty: liczebność i potencjał technologiczny. Wystarczy go zniszczyć, a wtedy będziemy mogli przeprowadzić centralizację. Tylko tego Nam trzeba. Teraz, rzecz jasna, nie możemy tego dokonać z powodu bomb atomowych. Wystarczy jednak, że połączymy się i ujawnimy... i koniec! Dlatego...

— Eksplozja była wojną ostatnią — argumentował McNey. — I tak musi zostać. Ta planeta nie przeżyje kolejnego konfliktu.

— Ziemia przeżyje. I my przeżyjemy. Tylko ludzie nie przeżyją.

— W Galileo nie ma tajnej broni — zauważył Barton.

Callahan uśmiechnął się.

— Więc doszliście, że to propaganda? Ale wśród ludzi wielu uwierzyło, że Galileo może stać się niebezpieczne. Niedługo Modoc albo Sierra spuści jajo na Galileo, ale my będziemy mieli czyste ręce. To ludzie zrzucą bombę, nie Łysi.

— Kto puścił tę pogłoskę?

— Będzie ich więcej, znacznie więcej. Zasiejemy nieufność pomiędzy miastami... to nasz długofalowy program propagandowy. Punktem zwrotnym stanie się nowa Eksplozja. Sam fakt, że ludzie są podatni na coś takiego, świadczy o ich wrodzonym braku zdolności

rządzenia. Coś takiego nie mogłoby mieć miejsca w świecie Łysych.

— Kolejny konflikt — zauważył McNey — oznaczałby rozwinięcie systemów

antykomunikacyjnych. To byłoby wam na rękę zgodnie ze starą zasadą: podzielić i ponieść klęskę. Dopóki radio, telewizja i transport powietrzny łączą ludzi, dopóty stanowią oni rasę scentralizowaną.

— No właśnie — przyznał Callahan. — Lecz kiedy ich status ulegnie obniżeniu, My scentralizujemy się i wkroczymy na arenę. Wiadomo, że liczba umysłów naprawdę twórczych w dziedzinie techniki jest ograniczona. I te właśnie umysły niszczymy... starannie. Ponadto, leży to w naszej mocy, ponieważ dzięki posiadanej Mocy możemy osiągnąć centralizację, nie wystawiając się na bezpośrednie ryzyko.

— Chyba że z Naszej strony — zauważył cicho Barton.

Callahan zaprzeczył.

— Nie jesteście w stanie wybić nas co do jednego. Gdybyście teraz mnie zabili, nie będzie to miało żadnego wpływu. Tak się składa, że jestem koordynatorem, ale nie jedynym.

Oczywiście, możecie wytropić kilku z Nas, lecz nie potraficie rozszyfrować naszego Kodu. W tym momencie przegrywacie i dlatego zawsze będziecie przegrywać.

Barton wściekłym gestem zgasił papierosa.

— Owszem. My możemy przegrać, ale wy nie zwyciężycie. Nie możecie. Od dłuższego czasu spodziewam się pogromu. Jeżeli do niego dojdzie, będzie to pogrom uzasadniony. Nie będę rozpaczał pod warunkiem, że rozprawi się z wami wszystkimi. My także zginiemy, za to wy będziecie mieli tę satysfakcję, iż wasz obłąkany egotyzm doprowadził do zagłady całego gatunku.

— Mnie to nie rusza... Zawsze twierdziłem, że tacy jak wy to nieudany szczep mutacji.

My zaś stanowimy grupę nadludzi, którzy nie boją się zająć należnego im miejsca we wszechświecie. Wy natomiast zadowalacie się okruchami, jakie wam ludzie zrzucają ze swojego stołu.

— Callahan — McNey wtrącił się niespodziewanie. — To jest samobójstwo. Nie możemy...

Barton zerwał się z miejsca, szeroko rozstawił nogi i przeszył go wściekłym spojrzeniem.

— Darryl! Nie poniżaj się przed tym bydlakiem! Nie chcę tego

dłużej słuchać!

— Proszę cię, zrozum... — zaczął McNey, czując swoją bezradność i niemoc. — Nie możemy zapominać o tym, że my też nie jesteśmy nadludźmi.

— Żadnych kompromisów — uciął Barton. — Żadnych ustępstw wobec tych wilków. To nie wilki, to hieny!

— Nie będzie kompromisu — oświadczył Callahan. Wstał. Jego lwia grzywa odcinała się na tle purpurowego nieba. — Przyszedłem na to spotkanie z tobą, McNey, z jednego powodu.

Obaj wiemy tak samo dobrze, iż ludzie nie mogą podejrzewać istnienia naszego planu.

Zostawcie nas w spokoju, a ludzie niczego się nie dowiedzą. Jeżeli będziecie usiłowali nam przeszkadzać, przyczynicie się tylko do tego, że wzrośnie niebezpieczeństwo wykrycia nas.

Podziemna wojna musi kiedyś wyjść na jaw.

— Więc jednak zdajecie sobie sprawę z niebezpieczeństwa — zauważył McNey.

— Idioto — powiedział Callahan z nutą wyrozumiałości. — Nie rozumiesz, że walczymy także dla ciebie? Dajcie nam spokój. Kiedy już zniszczymy ludzi, świat będzie należał do Łysych. Znajdzie się—w nim miejsce i dla was. Nie powiecie mi, że nigdy nie myśleliście o cywilizacji Łysych, kompletnej i idealnej.

— Myślałem o tym — przyznał McNey. — Ale nie osiągniemy tego waszymi metodami.

Rozwiązaniem jest stopniowa asymilacja.

— Uważasz, że mamy ponownie zasymilować się z ludzkim szczepem? Że nasze dzieci przyjmą poniżającą, włochatą ludzką postać? Nie, McNey. Nie znasz własnej siły,, ale też nie uświadamiasz sobie swoich słabości. Zostawcie nas w spokoju. Jeżeli będziecie się wtrącać, na was spadnie; odpowiedzialność za ewentualny pogrom.

McNey spojrzał na Bartona. Zgarbił się i zapadł w fotel.

— Jednak masz rację, Dave — szepnął. — Nie ma mowy o kompromisie. Oni są obłąkani.

Szydercza nuta w głosie Bartona przybrała na sile.

— Wyjdź — warknął. — Nie zabiję cię teraz. Ale już cię znam. Pamiętaj o tym. Nie

pożyjesz długo... masz na to moje słowo.

— Możesz zginąć pierwszy — odparł cicho Callahan.

— Wyjdź.

Callahan odwrócił się i wszedł do windy. Chwilę później ujrzeli go na dole, jak oddalał się ścieżką. Barton dolał sobie whisky i wypił jednym haustem.

— Czuję się brudny. Może w ten sposób pozbędę się ; tego niesmaku.

McNey siedział nieruchomo w swoim fotelu. Barton rzucił okiem na niewyraźną postać.

Pomyślał: Czym się gryziesz?

Chciałbym... chciałbym żyć już teraz w świecie Łysych. To nie musiałoby być na ziemi.

Mogłoby być na Wenus albo nawet na Marsie. Na Callisto... byle gdzie. Gdzieś, gdzie mielibyśmy spokój. Telepaci nie są stworzeni do walki, Dave.

Ale może to im służy.

Uważasz, że jestem słaby. To prawda. Nie jestem bohaterem ani krzyżowcem. Przecież najważniejszy jest mikrokosmos. Jak możemy liczyć na lojalność wobec rasy, jeżeli od rodziny i jednostki wymaga się poświęcenia tego wszystkiego, co jest ich domem?

Trzeba wytępić robactwo. Nasze dzieci będą żyły w lepszym świecie.

Nasi ojcowie też tak mówili. I co z tego?

Jeszcze nas nie zlinczowano, choćby tyle.

Barton położył rękę na ramieniu McNeya. Pracuj. Znajdź odpowiedź. Kod paranoidów musi zostać złamany. Wtedy będę mógł ich zniszczyć... wszystkich!

Myśli McNeya pociemniały. Czuję nadchodzący pogrom. Nie potrafię powiedzieć, kiedy to się stanie. Ale jako rasa jeszcze nie doświadczyliśmy największego kryzysu. Dojdzie to tego.

Jeszcze do tego dojdzie.

Znajdzie się także odpowiedź, pomyślał Barton. Odchodzę. Muszę odnaleźć tego Łysego wśród Leśnych Psów.

Żegnaj, Dave.

Patrzył za odchodzącym Bartonem. Potem na pustą ścieżkę. Oczekiwał teraz Marian i Alexy i po raz pierwszy w życiu stracił pewność, czy na pewno wrócą.

Otaczali ich teraz wrogowie, potencjalni wrogowie, którzy na jeden

znak mogą chwycić za pętle i wzniecić pożary. Poczucie bezpieczeństwa, o które pokojowymi metodami walczyło kilka pokoleń Łysych, wymykało się im z rąk. Już niedługo mogą zostać pozbawieni domu i przyjaciół, jak Leśne Psy…

Zbyt liberalna organizacja życia społecznego prowadzi do anarchii, za to społeczeństwa mało elastyczne padają pod huraganowymi wichrami zmian. Norma człowieczeństwa jest arbitralna, a co za tym idzie, takie same są granice. W cywilizacji zdecentralizowanej zwierzę społeczne ma większe szansę znaleźć odpowiednie dla siebie miejsce niż kiedykolwiek przedtem. System monetarny opiera się na barterze, który z kolei bazuje na kwalifikacjach, zdolnościach i roboczogodzinach. Ludzie, którzy wiedli prosty żywot rybaków na wybrzeżu kalifornijskim, dzięki swoim połowom mogli zdobyć telewizory skonstruowane przez inżynierów z Galileo parających się elektroniką i… gustujących w daniach rybnych.

Ta elastyczna organizacja miała też swoje ograniczenia. Nieprzystosowani stanowili poważny problem. Po Eksplozji te aspołeczne jednostki schroniły się przed siecią miast pokrywającą cały kontynent w lasach, gdzie swobodnie oddawały się indywidualizmom. Było ich wielu. Włóczęgi różnego autoramentu, zabijaki, przybłędy z Akadii, chłopstwo i inne męty: buntownicy, typy aspołeczne oraz ci, którzy nie pasowali do żadnej z cywilizowanych form życia zbiorowego, nawet do na wpół wiejskich warunków, jakie oferowały miasta. Jedni wędrowali autostradami, inni byli traperami i myśliwymi: w czasach Eksplozji północną część kontynentu pokrywały rozległe obszary leśne.

Tam znaleźli schronienie. Ci spośród nich, którzy wcześniej pracowali jako drwale, wiedzieli, jak przeżyć w lesie, umieli zastawiać pułapki na ptactwo, jelenie i zające, znali jadalne jagody i korzenie. Pozostali…

Albo zdobywali tę wiedzę, albo musieli umrzeć. Lecz na początku starali się znaleźć łatwiejsze wyjście. Zajęli się rozbojem, plądrowali jednoczące się miasta, zabierając ze sobą żywność, alkohol i kobiety. Pomylili odrodzenie cywilizacji z jej upadkiem. Powstawały zbójeckie bandy, lecz wówczas bomby atomowe znalazły swój cel i przyszła pora ich śmierci.

Po jakimś czasie duże grupy Leśnych Psów zniknęły. Jednoczenie się przestało być bezpieczne. Teraz liczyły najwyżej kilkadziesiąt osób,

które pędziły żywot w strefie umiarkowanego klimatu na północy lub, z dala od ludzkich siedzib, na obszarach o cieplejszym klimacie.

Ich życie było mieszaniną zwyczajów amerykańskich pionierów i Indian. Nieustannie przemieszczali się z miejsca na miejsce. Brak kontaktu z miastami i trudności w zdobyciu broni palnej zmusiły ich do ponownego opanowania sztuki posługiwania się łukiem i oszczepem. Ci zahartowani, ogorzali ludzie lasu i ich kobiety, dumni ze swojej niezależności i umiejętności przetrwania w dzikich ostępach, dryfowali na mieliznach rzeki postępu.

Pisali mało. Rozmawiali za to wiele, a w nocy, przy ognisku śpiewali stare piosenki: „Barbara Allen", „The Two Corbies", „Oh, Susanna", i ludowe ballady, które żyją dłużej niż senaty i parlamenty. Gdyby poruszali się konno, znaliby piosenki oparte na rytmie końskich kopyt. Lecz oni wędrowali pieszo i woleli rytm marsza.

Jesse James Hartwell, przywódca grupki Leśnych Psów, dogadał pieczenia niedźwiedziego mięsa nad ogniskiem. Jego basowy śpiew tłumiły sosny oddzielające obozowisko od strumienia. Wtórowała mu jego kobieta, Mary. Wkrótce przyłączyli się pozostali: myśliwi i ich żony, bowiem określenie „kobieta" już utraciło swoje dawne pogardliwe znaczenie.

Stosunek Leśnych Psów do ich żon stanowił bardziej realistyczną wersję średniowiecznej rycerskości.

„Podajcie mi złoty róg, towarzysze,
zaśpiewamy jeszcze raz..."

Nad potokiem panował mrok. Dzisiejszego wieczora późno rozbili obozowisko. Przyczyną było polowanie na niedźwiedzia i poszukiwanie wody. Ilekroć w grupie narastała nerwowość, naigrawano się, pół serio, z Lincolna Cody'ego. Zapewne każda grupa w sposób naturalny wyczuwała psychiczną odmienność — a, być może, wyższość — telepaty, i kompensowała ją sobie, naśmiewając się z jego rzucającej się w oczy odmienności fizycznej.

Nigdy jednak nie przyszło im do głowy łączyć Linca z Łysymi zamieszkującymi miasta.

Od wielu pokoleń Łysi nosili peruki. Ponadto, nawet sam Linc nie znał swoich możliwości.

Wiedział jedynie, że jest inny. Nie mógł pamiętać, że matka Jesse'a Jamesa Hartwella wydobyła go jako niemowlę z wraku helikoptera.

Przyjęty do grupy, wyrósł na Leśnego Psa, i za takiego go uważano. Lecz chociaż traktowano go jak swojego, bez żadnych oporów przezywano go skinheadem — i to nie tylko żartem.

„Zaśpiewajmy jak kiedyś, pięćdziesiąt tysięcy chłopa,
Gdy maszerowaliśmy przez Georgię…”

Banda Hartwella liczyła dwadzieścia trzy osoby. Wiele pokoleń wstecz jeden z jego pradziadów walczył w szeregach Wielkiej Armii Republikańskiej, pod dowództwem generała Shermana. Rówieśnik tego żołnierza, którego krew także płynęła w żyłach Jesse'a, nosił szary mundur Konfederacji i zginął nad Potomakiem. Teraz dwudziestu trzech wyrzutków, odtrąconych przez społeczeństwo, zebrało się przy ognisku, piekąc mięso niedźwiedzia upolowanego za pomocą oszczepów i strzał.

„Hura, hura! Niesiemy radość,
Hura, hura! Flagę, która uwolni wszystkich,
Śpiewamy tę pieśń od Atlanty aż nad oceanu brzeg,
Maszerując przez Georgię.”

Tam, gdzie kiedyś rozciągała się Atlanta, teraz szarzała blizna zniszczenia. W Georgii natomiast rozkwitały czyste, nowe miasta, a helikoptery znowu latały nad ocean i z powrotem. Straszna Wojna między stanami była już tylko wspomnieniem, usuniętym w cień przez jeszcze straszliwsze konflikty, które nastąpiły po niej. Lecz teraz, w uśpionym lesie energiczne głosy ponownie obudziły pamięć tamtych czasów.

Linc otarł się plecami o chropowaty pień drzewa i ziewnął. Żuł cybuch starej fajki i rozkoszował się chwilą samotności. Mimo to wyczuwał — czuł — rozumiał urwane fragmenty myśli docierające do niego od zebranych wokół ogniska. Nie podejrzewał, że są to myśli, ponieważ uważał, iż Hartwell i pozostali odczuwają dokładnie to samo. Tak, takie zbliżenia zawsze wprawiały go w nieprzyjemny nastrój i dlatego doznał uczucia ulgi, kiedy… coś… powiedziało mu, że nadchodzi Cassie.

Z ciemności wyłoniła się smukła, ładna dziewczyna i przysiadła obok niego. Była o rok od niego młodsza, miała szesnaście lat. Zostali małżeństwem niespełna rok temu. Linc nadal nie mógł przestać się dziwić, że Cassie potrafi kochać go pomimo łysej, błyszczącej czaszki.

Przeciągnął palcami po lśniących, czarnych włosach dziewczyny,

podziwiając ich falującą miękkość.

— Zmęczona?

— Nie. Co ci jest, Linc?

— Nic ważnego.

— Dziwnie się zachowujesz od czasu, kiedy napadliśmy na to miasto — Cassie zniżyła głos. Ujęła jego opaloną dłoń i wodziła palcem po stwardniałej skórze. — Czy myślisz, że nie powinniśmy tego robić?

— Sam nie wiem, Cassie — westchnął, obejmując ją. — To już trzeci taki rajd w tym roku…

— Podważasz racje Jesse'a Jamesa Harwella?

— A gdyby tak było?

— W takim razie — zauważyła z powagą — powinieneś liczyć się z tym, że będziemy musieli stąd odejść. Jesse nie zniesie żadnego sprzeciwu.

— Nie bardziej ode mnie. Może to na razie koniec z napadaniem, skoro rozpoczęliśmy wędrówkę na południe.

— Przynajmniej jesteśmy syci, a to już dużo więcej od tego, co mieliśmy w Kanadzie. Nie pamiętam takiej zimy jak ta, Linc.

— Zimno, to prawda — przyznał. — Przetrwamy. Rzecz w tym, że…

— Że co?

— Chciałbym, żebyś też chodziła na te wyprawy. Z kim innym nie mogę o tym

porozmawiać. Czułem się bardzo dziwnie. Miałem taki zamęt w głowie, jakbym słyszała jakieś głosy.

— To szaleństwo. Albo czary.

— Nie jestem czarownikiem. Przecież wiesz, Cassie.

— Nie paliłeś żadnego zielska? — miała na myśli marihuanę, która rosła dziko w ostępach. Patrzyła mu w oczy. — Opowiedz mi o tym, Linc. Czy to jest straszne?

— Ani straszne, ani przyjemne. Wszystko się plącze, nic poza tym. Trochę jak sen, ale na jawie. Widziałem różne obrazy.

— Jakie obrazy, Linc?

— Nie wiem — odparł wpatrzony w ciemność, w której bulgotał i szemrał potok. — Bo przez dużą część czasu to nie dotyczy mnie. Robi mi się zimno w środku. Czasami i mam w głowie muzykę. Ale podczas tego napadu było naprawdę okropnie.

Podniósł z ziemi kawałek drewna i odrzucił go. — Byłem jak ten

patyk miotany przez fale.

Szarpało mną na wszystkie strony. Cassie pocałowała go delikatnie.

— Nie przejmuj się tym. Każdy czasami traci rozeznanie. Jak będziemy już trochę dalej na południe i łatwiej będzie o zwierzynę, zapomnisz o tych niepokojach.

— Ale teraz nie mogę zapomnieć. Z tobą jest mi lepiej… przez to, że jesteś przy mnie.

Kocham zapach twoich włosów, skarbie. — Linc wtulił twarz w chłodną, mglistą czerń jej warkoczy.

— Wobec tego ich nie zetnę.

— Tylko spróbuj. Twoje włosy muszą wystarczyć dla nas obojga.

— Myślisz, że ja się tym przejmuję, Linc? Boone Curzon też jest łysy, a jaki przystojny.

— Boone jest stary, ma prawie czterdzieści lat. To naturalne. Miał włosy, jak był młodszy.

Cassie wydarła z ziemi kawałek mchu i przyklepała go na głowie Linca. Na jej twarzy ukazał się na wpół drwiący uśmiech.

— No i jak? Nikt nie ma zielonych włosów. Lepiej ci? Strącił mech z głowy, przyciągnął dziewczynę do siebie i pocałował.

— Chciałbym móc zawsze być z tobą. Nic mnie nie dręczy, kiedy przy mnie jesteś. Tylko te eskapady mnie męczą.

— Myślę, że już się więcej nie powtórzą.

Linc patrzył w mrok. Na jego młodej, choć zniszczonej i ogorzałej twarzy, malował się smutek. Zerwał się z miejsca.

— Mam przeczucie, że Jesse James Harwell planuje kolejny rajd.

— Przeczucie? — zaniepokoiła się. — Może się mylisz.

— Może. — Jego ton wyrażał powątpiewanie. — Z tym, że moje przeczucia najczęściej się sprawdzają. — Popatrzył na ognisko. Zgarbił się.

— Linc?

— On się nad tym zastanawia, Cassie. Siedzi tam i myśli o pożywieniu, jakie mamy z tego ostatniego miasta. Brzuch jest jego doradcą. Nie zamierzam pójść za nim.

— Lepiej siedź cicho.

— Chcę… z nim pogadać — odparł prawie bezgłośnie i zniknął w mroku panującym wśród drzew. Od kręgu blasku oderwało się czyjeś pytające wyzwanie: tajemniczy, żałosny krzyk sowy. Linc zrozumiał

znaczenie tej modulacji i odpowiedział krakaniem wrony. Na terenach niebezpiecznych Leśne Psy posługiwały się specjalnym językiem, ponieważ nie było jedności wśród różnych grup, a niektóre z nich zajmowały się zdobywaniem skalpów.

Nielicznych, znienawidzonych degeneratów uprawiających kanibalizm zabijano przy każdej nadarzającej się okazji.

Linc wszedł na teren obozowiska. Był mężczyzną silnej, muskularnej budowy, o wydatnej klatce piersiowej rysującej się pod skórzaną bluzą z frędzlami. Łysą czaszkę ukrył pod czapką z wiewiórczej skórki. Prowizoryczne szałasy kryte liśćmi zapewniały minimum prywatności.

Kilka kobiet zajęło się szyciem. Bethsheba Hartwell wydawała z kociołka porcje niedźwiedziego mięsa. Jesse James Hartwell, olbrzym z haczykowatym nosem i pociętym

bliznami policzkiem delektował się mięsem i sucharami, które popijał zdobyczną żółwiową zupą. Przed nim, nieskazitelnie biały obrus zastawiony był kawiorem, sardynkami, ślimakami, chow–chow, antipasto oraz innymi przysmakami, których kosztował srebrnym widelczykiem ginącym w jego olbrzymiej, owłosionej dłoni.

— Chodź, skinhead, zjedz coś — zagrzmiał tubalny głos. — Gdzie twoja squaw?

Zgłodnieje.

— Już idzie — odparł Linc. Nie wiedział, że Cassie z nożem w ręce przyczaiła się w zaroślach. Jego myśli skupiły się na wodzu. Ciągle czuł to, co wcześniej określił mianem przeczucia, a co w rzeczywistości było zalążkiem telepatii. Tak, Hartwell myśli o kolejnym napadzie.

Linc przyjął mięso z rąk Bethsheby. Nie parzyło stwardniałej skóry dłoni. Przykucnął nie opodal Hartwella i wbił zęby w soczyste mięso. Cały czas wpatrywał się w twarz brodacza.

— Opuściliśmy już Kanadę — odezwał się w końcu. — Robi się trochę cieplej. Idziemy dalej na południe?

Hartwell przytaknął: — Jasne. Nie zamierzam odmrozić sobie następnego palca u nogi.

Nawet tutaj jest za zimno.

— To znaczy, że będziemy polować. Poza tym niedługo dojrzeje dzika kukurydza.

Będziemy mieli jedzenia pod dostatkiem.

— Bethsheba, podaj nam suchary. Hep. Im bardziej się najemy, Linc, tym więcej będziemy mieli sadła na przyszłą zimę.

Linc wskazał na biały obrus.

— To wcale nie tuczy.

— Ale jest dobre. Skosztuj tej rybiej ikry.

— Mhm, tfu. Gdzie woda?!

Hartwell wybuchnął śmiechem.

— Czy w lecie pójdziemy na północ? — pytał Linc.

— Jeszcze nie było nad tym głosowania. Ja uważam, że nie. Wolałbym raczej iść na południe.

— Tam jest więcej miast. Jesse, te rajdy są niebezpieczne.

— Nikt nas nie znajdzie, jak tylko wrócimy do lasu.

— Oni mają broń palną.

— Boisz się?

— Niczego się nie boję. Ale chyba wiem, że obmyślasz kolejny napad. Na mnie nie licz.

Potężne ramiona Hartwella opadły. Sięgnął po sardynkę, po czym zwrócił się do chłopaka.

Patrzył na niego spode łba.

— Boisz się? — To było pytanie, a zatem nie wymagało podjęcia walki.

— Przecież sam widziałeś, jak walczyłem nożem z wielkim grizzli.

— Wiem — odrzekł Hartwell i pogładził siwy kosmyk brody. — Ale można stchórzyć. Nie mówię tego o tobie, nie zrozum mnie źle. Nikt inny nie próbuje się wykręcić.

— Za pierwszym razem przymieraliśmy głodem. Za drugim… to jeszcze rozumiem. Ale nie widzę żadnych korzyści z napadów, z których mamy rybią ikrę i różne takie robactwo.

— Nie tylko, Linc. Zdobyliśmy także koce, I inne potrzebne rzeczy. Jak tylko zdobędziemy parę karabinów…

— A napiąć łuk to już nie łaska?

— Jeżeli chcesz się bić… — wycedził Hartwell — … to bardzo proszę. Albo się zamknij.

— W porządku. Uprzedzam tylko, żebyś już na mniej nie liczył.

W mroku dłoń Cassie zacisnęła się na rękojeści noża. Lecz Hartwell niespodziewanie roześmiał się i wycelował' kością w głowę Linca. Chłopak uchylił się i rzucił mu groźne spojrzenie.

— Poczekaj, aż ci żołądek zacznie przyrastać do kręgosłupa. Wtedy będziesz myślał inaczej — zauważył Hartwell. — Nie mówmy już o tym. Przyprowadź swoją squaw, żeby się

najadła, bo jest za chuda. — Zwrócił się w stronę zarośli. — Cassie! Chodź tu i zjedz trochę tej zupy rybnej.

Linc poprawił czapkę. Jego twarz nieco się rozpogodziła, chociaż nadal malowała się na niej zaduma. Cassie schowała nóż i podeszła do ogniska. Hartwell przywołał ją gestem.

— Chodź jeść — zaproponował.

Znowu zapanował spokój. Nie było już więcej zatargów, lecz Cassie wiedziała, że Linc jest w wojowniczym nastroju. Natomiast dobry humor Hartwella świadczył, iż jedynie bezpośrednia obelga może wyprowadzić go z równowagi. Puścił w ruch zdobyczną butelkę whisky: szczególny rarytas, ponieważ mogli destylować bimber tylko podczas dłuższych postojów, co nie zdarzało się często. Linc pił niedużo. Dawno już zagaszono ognisko i z szałasów dobiegało chrapanie, lecz Linc, niespokojny i czujny, leżał nie zmrużywszy oczu.

Coś... ktoś... go wzywał.

Przeczucie czegoś podobnego. Czegoś podobnego do tego, co czuł podczas napadów.

Czegoś jak bliskość Cassie, ale dziwnie emocjonującego. Tak przyjaznego wezwania jeszcze nigdy nie słyszał.

W jego umyśle przebudził się jakiś nieznany, nieokreślony mieszkaniec i odpowiedział na apel pokrewnej istoty.

Linc oparł się na łokciu i popatrzył na Cassie. Czarne włosy zasłaniały częściowo jej twarz. Ostrożnie pogładził to delikatne, żywe ciepło. Bezszelestnie wyszedł z szałasu, wyprostował się i rozejrzał.

Usłyszał szelest liści i szmer wody. Nic więcej. Blask księżyca kładł się tu i ówdzie na ziemi. Jakiś gryzoń przebiegł wśród traw. Zimne, ostre powietrze szczypało Linca policzki i powieki.

Nagle poczuł, że się boi. Napawały go lękiem stare legendy. Przypomniał sobie opowieści swojej przybranej matki o ludziach, którzy potrafili zmieniać się w wilki, o Czarowniku, który jak huragan przelatywał nad lasami, o Kusym, który kupował dusze... Bezkształtne, mroczne lęki dzieciństwa urosły do rozmiarów rzeczywistości z koszmarnych snów.

Wprawdzie w pojedynkę zabił nożem niedźwiedzia, ale nigdy nie

znalazł się sam w ciemnym lesie. W jego myślach rozległo się ciche Wezwanie, budząc w nim zew krwi.

Bał się, lecz przynęta okazała się silniejsza. Odwrócił się na południe i wyszedł z obozu.

Instynkt kazał mu iść bezszelestnie. Przeszedł przez strumień, cicho stąpając po kamieniach, i wspiął się na wzgórze. Na pniaku siedział mężczyzna i oczekiwał go.

Siedział tyłem do niego, tak że widać było tylko pochylony tors i łysą, błyszczącą czaszkę.

Linc nagle przeraził się, że kiedy mężczyzna się odwróci, zobaczy swoją własną twarz. W jego niespokojnych myślach zapanował chaos.

— Witaj, Linc — odezwał się cichy głos.

Linc wiedział, że szedł bezszelestnie. Lecz ta pogrążona w mroku postać najwyraźniej wyczuła, że ktoś się do niej zbliża. Kusy…?

— Czy jestem do niego podobny? — zapytał głos. Nieznajomy wstał, zwracając się twarzą do Linca. Wyszczerzył zęby w grymasie… nie, on się uśmiechał. Miał opaloną i pooraną bruzdami twarz. Ubrany był jak człowiek z miasta.

To jednak nie Kusy. Nie miał kopyta. Ciepłe, szczere i przyjazne nastawienie delikatnie promieniujące z jego obecności uspokajało Linca, wbrew podejrzeniom.

— Wzywałeś mnie — wyjaśnił Linc. — Próbuję to sobie wytłumaczyć. — Wpatrywał się w nagą czaszkę.

— Nazywam się Barton — przedstawił się nieznajomy. — Dave Barton. — Podniósł coś szarego — może, skalp? — i starannie włożył na głowę. Ten grymas wyrażał rozbawienie.

— Bez peruki czuję się jak bez ubrania. Ale musiałem ci dowieść, że jestem… że jestem…

— Szukał odpowiednika symbolu telepatycznego. — Że ty jesteś jednym z nas — dokończył.

— Nie jestem…

— Jesteś jednym z Łysych — oznajmił mu Barton — ale o tym nie wiesz. Czytam to w twoich myślach.

— Czytasz w moich myślach? — Linc cofnął się o krok.

— Wiesz, kim są Łysi? Telepaci?

— Oczywiście — zawahał się Linc. — Słyszałem o nich. My tutaj niewiele wiemy o życiu w miastach. Zaraz… — znowu stał się

podejrzliwy — … a co ty tu robisz? Skąd…

— Szukałem ciebie.

— Mnie? Po co?

Barton nie tracił cierpliwości.

— Ponieważ jesteś jednym z Nas. Widzę, że będę musiał sporo ci wytłumaczyć. Może zacznę od początku. A zatem…

Mówił. Sprawa posuwałaby się znacznie wolniej, gdyby nie to, że byli telepatami. Pomimo braku treningu Linc potrafił odebrać tyle wsparcia w postaci fal myślowych, ile pozwalało wyjaśnić obecne w jego umyśle pytania. Barton mówił o Eksplozji i promieniowaniu twardym — terminach dla Linca bez znaczenia, dopóki nie zetknął się z symboliką telepatyczną — a przede wszystkim o tym, że Linc wcale nie jest jedynie łysym odmieńcem w swoim plemieniu. Na świecie są jeszcze inni Łysi, wielu Łysych.

To było ważne. Linc bowiem pojął w czym rzecz. Doświadczył tego serdecznego, głębokiego zrozumienia łączącego telepatów, zwartej jedności całej rasy oraz dotychczas mu nieznanego uczucia przynależności.

Okazał się bardzo pojętny. Zadawał pytania. Po pewnym czasie także i Barton zaczął pytać.

— Tymi napadami kieruje Jesse James Hartwell. Tak, ja też brałem w nich udział. Czy wy wszyscy nosicie peruki?

— Naturalnie. Należymy do wielkiej cywilizacji. Stanowimy część tego wszystkiego.

— I… nikt się nie śmieje z tego, że jesteście łysi?

— Czy ja wyglądam na łysego? — dopytywał się Barton — Owszem, są pewne ujemne strony. Ale też i mnóstwo korzyści.

— Niemożliwe?! — Linc nabrał powietrza w płuca. — Ludzie… tacy sami… jak ty… — Brakowało mu słów.

— Nie–telepaci nie zawsze przyznawali nam równe prawa. Trochę się nas obawiali. Od dziecka uczymy się nie wykorzystywać naszych telepatycznych zdolności wobec ludzi.

— Rozumiem. Słusznie.

— Wobec tego wiesz, po co tu przyszedłem?

— Chyba się domyślam — odparł z namysłem. — Z powodu tych najazdów… ponieważ ludzie mogą zacząć podejrzewać jakiegoś Łysego… a ja jestem Łysym!

Barton przytaknął.

— Leśne Psy nie stanowią problemu. Poradzimy sobie z tymi ich napadami. Ale to, że bierze w nich udział jeden z Nas, może nam tylko zaszkodzić.

— Powiedziałem dzisiaj Jesse'owi Jamesowi Hartwellowi, że nie zamierzam brać udziału w następnych wypadach — oznajmił Linc. — Nie naciskał.

— Rozumiem... To dobrze. Słuchaj, może byś poszedł ze mną, co?

Lata praktyki kazały się Lincowi zastanowić.

— Ja? Do miasta? My tam nie chodzimy.

— Wy?

— No... Leśne Psy. Ja nie jestem jednym z nich, prawda? Rety, to jest... — Potarł brodę.

— Nie wiem, co robić, Barton.

— Coś ci poradzę. Chodź teraz ze mną. Zobaczysz, czy ci się spodoba nasze życie. Nie umiesz korzystać ze swoich zdolności telepatycznych, więc zachowujesz się prawie jak ślepiec. Rozejrzysz się i zadecydujesz, co ci bardziej odpowiada.

Linc już, już chciał powiedzieć o Cassie, ale się powstrzymał. Obawiał się, że jeżeli o niej powie, Barton wycofa swoją propozycję. Poza tym przecież wcale nie zamierzał opuszczać Cassie na zawsze. Tylko na tydzień albo dwa, po czym wróci do grupy.

A może zabrać ją ze sobą..?

Nie. Wstydziłby się przyznać, że on, Łysy, ożenił się zkimś spośród Leśnych Psów.

Chociaż był naprawdę dumny z Cassie. Nigdy jej nie porzuci. To tylko...

Poczuł się osamotniony. Potwornie osamotniony, a to, co dostrzegł w myślach i słowach Bartona, pociągało go z niezwykłą siłą. Jego świat, w którym nikt nie nazwie go skinheadem, gdzie nie będzie czuł się gorszy od brodatych członków plemienia. Będzie miał własną perukę.

Tylko na kilka tygodni. Nie może zrezygnować z takiej szansy. Nie wolno mu! Cassie będzie na niego czekała.

— Idę z tobą — oświadczył. — Jestem gotowy, już teraz. Jednak Barton, który poznał jego myśli, zwlekał z odpowiedzią.

— Dobrze — zadecydował w końcu. — Chodźmy.

Trzy tygodnie później Barton siedział na werandzie u McNeya.

Zmęczonym gestem zasłonił oczy.

— Linc ma żonę — mówił. — Dziewczynę od Leśnych Psów. On nie wie, że my o tym wiemy.

— Czy to ważne? — Na twarzy McNeya malowało się zmęczenie i niepokój.

— Chyba nie. Ale wydawało mi się, że muszę o tym powiedzieć przez wzgląd na Alexę.

— Ona wie, co robi. I na pewno sama już się o tym dowiedziała. Od kilku tygodni uczy go telepatii.

— Zauważyłem to, wchodząc tutaj.

— No właśnie. I dlatego porozumiewamy się teraz za pomocą słów. Kilka połączeń telepatycznych prowadzonych na raz go rozprasza. Linc ciągle ćwiczy selektywność.

— Co o nim myślisz?

— Lubię go. Chociaż... spodziewałem się czegoś innego.

— Wychował się wśród Leśnych Psów.

— Jest jednym z Nas — oświadczył stanowczo McNey.

— Nie zauważyłeś żadnych objawów skłonności do urojeń?

— Żadnych. Alexa to potwierdza.

— Świetnie — powiedział Barton. — Odetchnąłem z ulgą. Tylko tego się obawiałem. Jak chodzi o tę jego dziewczynę, która nie jest jedną z Nas, nie stać nas na osłabianie rasy poprzez małżeństwa mieszane. Ta zasada obowiązuje niemal od Eksplozji. Wydaje mi się, że byłoby dobrze, gdyby Linc poślubił Alexę lub inną z naszych dziewcząt, a my moglibyśmy puścić w niepamięć jego wcześniejsze związki.

— To zależy od niej — zauważył McNey. — Czy są jakieś wiadomości o nowych wypadach Leśnych Psów?

— Nie. Ale tym przejmowałbym się najmniej. Sergei Callahan zszedł do podziemia i nie mogę go zlokalizować, a bardzo bym chciał.

— Żeby go zabić?

— Nie. Callahan zna nazwiska innych ważnych paranoidów. Chcę wydobyć od niego informacje. On może na stałe wymazać swoje myśli, więc jeżeli go zaskoczę, tam gdzie planuję to zrobić, niewiele będzie mógł ukryć przede mną.

— Znajdujemy się na straconych pozycjach.

— Czyżby?

— Jeszcze nie mogę o tym mówić — McNey z trudem panował nad

sobą. — Nie wolno mi o tym nawet pomyśleć. Tak... to wygląda. Należy rozwiązać jedno jedyne równanie, jedną zagadkę. Ale jeszcze nie teraz. Z chwilą gdy ją rozwiążę, będzie można wszystko wyczytać z moich myśli., Na razie muszę skoncentrować się na pewnych szczegółach i dopiero potem...

— No właśnie, co potem? McNey uśmiechnął się gorzko.

— Nie wiem. Będę miał odpowiedź. Na razie nie próżnuję.

— Gdyby udało się nam złamać ich Moc... — zastanawiał się Barton. — Gdybyśmy potrafili zniszczyć ich szyfr...

— Albo — przerwał mu McNey — gdybyśmy mieli swój własny kod...

— Nie do rozszyfrowania.

— To jest niewykonalne, z czysto technicznych powodów.Wszelkie zagłuszanie byłoby wykluczone, ponieważ to my musielibyśmy znać klucz, a paranoidzi potrafią czytać nasze myśli. Na razie nie chcę o tym myśleć, Dave. Szczegóły, owszem. Ale nie problem zasadniczy. Mógłbym wpaść na rozwiązanie... przed czasem.

— Paranoidzi nie próżnują — zauważył Barton. — Prowadzą kampanię propagandową zakrojoną na szeroką skalę. Nadal się mówi o tajnej broni w Galileo.

— Nie dementowano tej pogłoski?

— Z niewielkim powodzeniem. Trudno uciszyć szeptaną kampanię propagandową.

Właśnie to może spowodować kryzys, Darryl. Można walczyć z kimś lub z czymś, ale nie z wiatrem. Z szeptem wiatru.

— A bomby atomowe?! Przecież...

— Wiem. Ale i tak jakiś zapaleniec może przestraszyć się do tego stopnia, że pewnego dnia wkroczy do akcji i powie: „W Galileo mają tajną broń. Jesteśmy zagrożeni. Oni chcą nas zaatakować.” I zrobi ten pierwszy krok. Potem przyjdą kolejne incydenty.

— A My znajdziemy się w samym środku. Nie możemy zachować się neutralnie.

Obawiam się pogromu, prędzej czy później, Dave.

— Przeżyjemy ten pogrom.

— Tak uważasz? W sytuacji, kiedy każdy nie–telepata będzie gotowy zniszczyć Łysych: mężczyzn, kobiety i dzieci? Nikt nie ujdzie z życiem. Potrzebny jest nam inny świat, nowy świat...

— Z tym musimy poczekać na statki międzygwiezdne.

— A przez ten czas będziemy żyć na kredyt. Byłoby lepiej gdybyśmy pozwolili, żeby rasa ludzka nas wchłonęła.

— Retrogresja?

— Możliwe. Znaleźliśmy się w sytuacji jednorożca w stadzie koni. Nie mamy odwagi użyć rogu w obronie własnej. Musimy udawać, że jesteśmy końmi.

— Lew i jednorożec — zauważył Barton — walczyli o koronę. No cóż, Callahan i jego ludzie są lwem. A korona?

— Niechybnie idzie tu o władzę. Dwie dominujące rasy nie mogą współistnieć na jednej planecie, a nawet w obrębie jednego systemu. Ludzie i telepaci nie mogą równo podzielić się władzą. Na razie musimy ustąpić. Jednak ostatecznie osiągniemy cel Callahana, lecz innymi sposobami. Nie na drodze poniżenia lub zniewolenia rasy ludzkiej! Naszą bronią jest dobór naturalny. Biologia jest po naszej stronie. Gdybyśmy mogli pokojowo ułożyć nasze stosunki z ludźmi do czasu... — ...i przy dźwięku bębnów wyrzucić ich z miasta — dokończył Barton.

— Ludzie muszą pozostać nieświadomi walki jednorożca z lwem. I tego, o co obaj walczą.

Inaczej nie przeżyjemy pogromu. Nie będzie dla nas żadnego ratunku. Środowisko i procesy adapatacyjne odebrały nam kondycję.

— Niepokoi mnie ten Callahan — stwierdził nagle Barton. — Nie znam jego planów.

Zanim je poznam, może być za późno. Jeżeli uruchomi mechanizmy, których nie da siej powstrzymać...

— Będę pracował nadal — obiecał McNey. — Myślę, że już wkrótce będę coś miał dla ciebie.

— Mam nadzieję. Odlatuję wieczorem do St. Nick pod pretekstem inspekcji tamtejszego ogrodu zoologicznego. W rzeczywistości mam inne powody. Może uda mi się wpaść na trop Callahana.

— Odprowadzę cię do wsi.

Wsiedli razem do windy. Na zewnątrz owiało ich ciepłe wiosenne powietrze. Przez przezroczystą ścianę zajrzeli do Alexy, która wraz z Lincem siedziała przed telesetem.

— Nie wyglądają na zatroskanych — skomentował Barton.

McNey roześmiał się.

— Alexa właśnie przekazuje swoją kolumnę do Recordera. Jest tam specjalistką— od problemów sercowych. Mam nadzieję, że sama nie będzie musiała ich rozwiązywać! ...jeżeli go kochasz — mówiła do mikrofonu — wyjdź za niego. A jeżeli on cię kocha, nie będzie miał nic przeciwko testom psychkratycznym i porównaniu waszych wykresów id.

Podejmujecie decyzję o partnerstwie na całe życie i oboje powinniście zapoznać się z treścią kontraktów przed ich podpisaniem. — Na jej twarzy malował się błogi uśmiech. — Ale nie zapominajcie, iż w życiu najważniejsza jest miłość. Jeżeli ją znajdziecie, w waszych sercach zawsze będzie królowała wiosna. Powodzenia!

Nacisnęła wyłącznik.

— Trzydzieści, Linc. Na dzisiaj koniec. Oto rodzaj pracy dostępny dla Łysych: ekspert telegazety od spraw sercowych. Myślisz, że by ci to odpowiadało?

— Nie. To nie... nie znam się na tym.

Ubrany był w atłasową niebieską koszulkę i nieco ciemniejsze szorty, a na głowie miał krótko ostrzyżoną perukę. Nie zdążył się jeszcze do tego przyzwyczaić i ciągle jej dotykał.

— Wiem, co masz na myśli. Pouczymy się?

— Zróbmy przerwę. Łatwo się męczę. Rozmowa ciągle wydaje mi się bardziej naturalnym sposobem porozumiewania.

— W końcu zauważysz, że to bardzo niewygodne. Te końcówki osobowe: ja mówię, ty mówisz, parlons, parlez, parlent... w kontaktach telepatycznych nie stosuje się takich przeżytków.

— Przeżytków?

— Oczywiście — zapewniła go. — Z łaciny. Rzymianie nie używali zaimków. Mówili po prostu: amo, amas, amant — wyjaśniła, posługując się myślą — przy czym osobę określała końcówka. Obecnie mamy zaimki nous, vous oraz ils: my, wy, oni. Końcówki stały się zbyteczne. Chociaż porozumiewając się z telepatą szwajcarskim, można się zastanawiać, dlaczego mówiąc o dziewczynie, używa zaimka to. Ale i tak wiadomo, jakie owo to ma dla niego znaczenie. Takie zrozumienie nie byłoby możliwe podczas zwyczajnej rozmowy.

— Bardzo to trudne — wyznał Linc. — Ale zaczynam już coś łapać. Ćwiczenie, które robiliśmy wczoraj... — szukał słów, lecz Alexa pochwyciła jego myśli.

— Wiem. To wspaniałe poczucie bliskości. Nigdy nie martwiłam się tym, że jestem dzieckiem adoptowanym. Po prostu wiedziałam, kim jestem w życiu Marian i Darryla, i co oboje do mnie czują. Wiedziałam, że tu jest moje miejsce.

— To musi być przyjemne uczucie. Ale chyba też je poznaję.

— Oczywiście. Jesteś jednym z Nas. Kiedy już poznasz, tajniki funkcji telepatycznej, nie będziesz miał co do tego żadnych wątpliwości.

Linc przyglądał się promieniom słońca, które pobłyskiwały na jej kasztanowych włosach.

— Chyba jednak moje miejsce jest z wami.

— Czy jesteś zadowolony z tego, że posłuchałeś Dave'a?

Popatrzył na swoje dłonie.

— Trudno to wyrazić, Alexa. Brak mi słów, żeby powiedzieć, jak tu jest wspaniale. Tyle czasu nie miałem o tym pojęcia. Myślałem, że jestem jakimś dziwadłem i ciągle nie wiedziałem, kim jestem. I nagle… to wszystko… — Wskazał na teleset. — Po prostu czary… I w ogóle to wszystko.

Alexa wiedziała, co miał na myśli. Dzięki Lincowi poznała już radość wygnańca, który powraca do swoich. Nawet teleset, spowszedniały symbol jej pracy, stał się nagle bardziej atrakcyjny. Był to standardowy model z dwoma ekranami: górnym przeznaczonym dla serwisów informacyjnych oraz dolnym zarezerwowanym dla całodobowej telegazety odbieranej, a następnie nagrywanej do ewentualnego późniejszego wykorzystania jako źródło informacji. Przyciski służyły do wywoływania żądanych publikacji, a dzięki pokrętłom można było wybierać strony i koncentrować uwagę albo na obrazkach, albo na słowie drukowanym. Rozmiary były równie ważne jak jakość informacji. Wielkiego ekranu ukrytego w jednej ze ścian pokoju używano do projekcji sztuk teatralnych, koncertów, filmów i disneyows—kich kreskówek. Niemniej jednak takie dodatkowe atrakcje zmysłowe, jak zapachy, smaki i doznania dotykowe wymagały chodzenia do teatru, bowiem sprzęt tego typu nadal nie leżał w możliwościach finansowych przeciętnej rodziny.

— Oczywiście — zapewniała go — jesteś jednym z Nas. I dlatego musisz pamiętać o przyszłości naszej rasy. Jeżeli tu zostaniesz, nie wolno ci zrobić niczego, co mogłoby jej zaszkodzić.

— Pamiętam, co mi opowiadałaś o tych p... paranoidach. Trochę przypominają plemiona ludożerców wśród Leśnych Psów. Wszyscy na nich polują. — Dotknął peruki, podszedł do lustra i przygładził włosy.

— Nadchodzi Marian. Porozmawiam z nią, a ty tu poczekaj, Linc. Zaraz wracam.

Kiedy opuszczała pokój, Lincoln poddał ostrożnej próbie swoje nowo poznane możliwości i poczuł, jak jej myśli delikatnie posuwają się w kierunku pulchnej, ładnej kobiety, która zbrojna w rękawice i rozpylacz krzątała się wśród kwiatów.

Podszedł do klawiluxu i jednym palcem wybrał melodię. Śpiewał półgłosem.

W maju,
Gdy pękały pąki,
Młody Jemmy Grove umierał
Z miłości do Barbary Allen.

Wspomnienie Cassie wezbrało w jego sercu. Odsunął je w mrok wraz z pamięcią o Leśnych Psach i dotychczasowym życiu wędrowca. Takie życie już nie jest dla niego.

Cassie... na pewno się dostosuje. Niedługo pojedzie po nią, przywiezie tutaj i będą żyli wśród Łysych. Ale... ale ona nie jest telepatką. Nie jest taka jak, na przykład, Alexa. Owszem, jest ładna, lecz te wszystkie uwagi o przyszłości rasy... Jeżeli natomiast poślubi jakąś telepatkę i będą mieli synów i córki...

No tak, ale przecież już jest żonaty. No to co? Taki związek może nie mieć żadnego znaczenia w mieście, a poza tym cała ta sprawa z pokazywaniem swoich myśli na zasadzie każdy z każdym trąci poligamią.

Zajmie się tym w stosownej chwili, lecz najpierw musi nauczyć się tej telepatii. Robił postępy, chociaż niezbyt szybko, bo przecież nie był do tego przygotowywany od najmłodszych lat jak inni Łysi. Należało obudzić drzemiącą w nim sprawność i ukierunkować ją: jednak w sposobi inny niż w przypadku uczącego się dziecka. Należało uwzględnić jego dojrzały wiek oraz zdolność zrozumienia celu.

Marian weszła do pokoju w towarzystwie Alexy. Ściągnęła rękawiczki i starła kropelki potu z zaróżowionych policzków.

— Hej, Linc. Jak ci idzie?

— Średnio, Marian. Trzeba było powiedzieć, żebym ci pomógł.

— Wysiłek dobrze mi zrobi. Przybyło mi dzisiaj ze dwa kilo z powodu kłótni w sklepie tego badylarza Gatsona. Czy wiecie, ile on sobie liczy za świeże owoce chlebowca?

— Co to jest?

— Łap! — Marian formułowała myślowe pojęcia wzroku, dotyku i smaku. Alexa dorzuciła zapach nieznanego mu owocu, Linc posiadał własny zapas kryteriów porównawczych i w oka mgnieniu przyswoił sobie nowe znaczenie. Od tej pory zawsze rozpozna owoce chlebowca. Marian rzuciła pospiesznie pytającą myśl. Odpowiedział jej Linc.

Do miasta (Darryl McNey) przez okno (dziesięć minut po).

— Trochę koślawo — zauważyła Marian — ale zrozumiałam.

Powinien niedługo wrócić.

Mam ochotę popływać. Przygotuję kanapki, co wy na to?

— Kapitalnie — odezwała się Alexa. — Pomogę ci. Linę jak nikt inny zna się na łowieniu pstrągów, a jednocześnie nie ma pojęcia o sztucznej musze.

— Po prostu chwytam rybę — tłumaczył się chłopak. — Żeby było co jeść. Wiele razy, żeby zaspokoić głód, musiałem łowić ryby przez dziurę w lodzie.

Nieco później ogorzały i silny Linc wylegiwał się na piaszczystym brzegu rzeki powyżej basenu i delektował się ciepłymi promieniami słońca, obserwując Alexę, która w białych szortach i czepku kąpielowym niewprawnie ćwiczyła zarzucanie wędki. McNey, z fajką w zębach, przeszukiwał wybrane miejsce pod gałęziami sięgającymi samego lustra wody.

Marian spokojnie jadła kanapki i z dużym zainteresowaniem przyglądała się poczynaniom mrówek. Wyczuwało się nieuchwytną, silną więź, łącząca całą rodzinę z resztą rasy — więź, która dotykała, obejmowała i wciągała Linca do tego przyjaznego kręgu. To jest to, pomyślał.

Tu jest moje miejsce. Odpowiedziała mu spokojna i stanowcza myśl Alexy: Jesteś jednym z Nas.

Czas biegł bardzo szybko, odmierzany sporadycznymi wizytami Bartona, który wykazywał coraz większy niepokój. Wiosna okryła zielenią drzewa, krzewy, trawy i pnącza, przyszło lato, zbliżała się jesień. Linc rzadko teraz myślał o Leśnych Psach.

Sytuacja, w której znalazła się rodzina McNeya, spotkała się z milczącą akceptacją jej członków. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, Linc czuł, iż Alexa sporo wie o jego przeszłości i że pierwsza nie poruszy tematu Cassie. Nie miał wątpliwości co do tego, że zaczęła go kochać. On także ją pokochał. Przecież Alexa jest taka sama jak on, a Cassie nie.

Mimo to w swoich snach widział dziewczynę z lasu. Czasami czuł się samotny, nawet wśród swoich. W takich chwilach pragnął zakończyć naukę telepatii i razem z Bartonem walczyć przeciwko paranoidom. Ze swojej strony Dave chętnie by go zwerbował, ale jednocześnie ostrzegał przed ryzykiem przedwczesnego wkroczenia do akcji. — Paranoidzi nie są naiwni, Linc — mawiał. — Nie możemy ich

ignorować. Pamiętaj, że żyję tak długo, ponieważ jestem doświadczonym łowcą grubej zwierzyny. Moje reakcje są o ułamek sekundy szybsze od ich reakcji. Zawsze staram się wmanewrować ich tam, gdzie telepatia jest bezużyteczna. Jeżeli taki osobnik znajdzie się na dnie studni, będzie w stanie odczytać twój zamiar przywalenia go stertą cegieł... ale nie może temu zaradzić.

— Masz coś nowego o Callahanie? — zapytał McNey.

— Żadnej informacji przez cały miesiąc. Mają jakiś plan... być może wielkie pchnięcie w kampanii propagandowej, albo zamach na życie czołowych inżynierów. Nie znalazłem prawidłowych odpowiedzi w myślach, które czytałem. Ale podejrzewam, że niedługo coś się wydarzy. Tyle się dowiedziałem. Musimy być na to przygotowani. Musimy złamać ich kod... albo opracować nasz własny szyfr.

— Ciągle ta sama śpiewka, Darryl.

— Tak, wiem — McNey spojrzał na czyste niebo. — Na razie niewiele mogę powiedzieć, ani nawet pomyśleć. Ta sama śpiewka, oczywiście.

— Ale nie poniosłeś porażki? Za kilka tygodni powinieneś wracać do Niagary.

— W sprawie tego szyfru... — wtrącił się Linc. — Po—myślałem... że Leśne Psy mają też mają swój szyfr. Coś takiego. — Naśladował głosy ptaków i zwierząt. — Tylko my wiemy, co one znaczą.

— Leśne Psy nie są telepatami. Gdyby posiadali takie zdolności, ten szyfr długo by się nie ostał.

— Masz rację. Bardzo bym chciał się zmierzyć z tymi paranoidami.

— Przyjdzie na ciebie kolej — zapewnił go Barton. — Ale wcześniej Darryl musi wynaleźć dla nas nową broń.

McNey odezwał się znużonym głosem.

— Wszystko to wiem. Nie poganiaj mnie, Dave, bardzo cię proszę.

Barton wstał z ponurą miną.

— Muszę lecieć na południe w pewnej sprawie. W drodze powrotnej wpadnę do was, Darryl. Uważaj na siebie. Jeżeli to coś się wkrótce wydarzy... wszystko jedno co... nie ryzykuj. Jesteś niezbędny dla Naszej sprawy, w większym stopniu niż ja.

Skinął głową Lincowi na pożegnanie i wyszedł. McNey patrzył w przestrzeń. Linc zawahał się, przesłał pytanie, lecz w odpowiedzi spotkał się z automatyczną odprawą. Zszedł na dół.

Nie mógł znaleźć Alexy. W końcu udał się do ogrodu, kierując kroki nad strumyk.

Dostrzegł jaskrawą plamę i postanowił do niej dotrzeć.

Alexa siedziała na kamieniu. Rozpięła cienki dres, żeby ochłodzić się na wietrze. Straszny upał sprawił, że zdjęła perukę. Jej naga, lśniąca czaszka wyglądała niestosownie, nie pasowała do sztucznych rzęs i brwi. Po raz pierwszy zobaczył ją bez peruki.

Jego myśl kazała Alexie pospiesznie odwrócić się i nałożyć perukę. Lecz jej ramię zatrzymało się w połowie gestu. Rzuciła mu spojrzenie na wpół pytające, potem w jej oczach dało się wyczytać ból i rosnące zrozumienie.

— Włóż to, Alexa.

Patrzyła mu w oczy.

— Teraz… po co?

— Ja… nie…

Wzruszyła ramionami i włożyła perukę.

— To było… dziwne — rozmyślnie mówiła na głos, jakby starając się powstrzymać swoje myśli przed wejściem na tory telepatycznej poufałości, gdzie ciosy trafiają bezbłędnie do celu. — To dla mnie takie naturalne, że Łysi są… łysi. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że taki widok może być… — Nie dokończyła na głos. Po chwili jednak dodała — Musiałeś bardzo cierpieć wśród tych Leśnych Psów, Linc. Nawet bardziej niż myślisz. Jeżeli do tego stopnia byłeś uwarunkowany na widok łysiny…

— Wcale nie… — zaprzeczył słabo — Ja nie… nie myśl, że ja…

— To normalne. Trudno powstrzymać reakcje tak głęboko zakorzenione. Kiedyś kanony urody będą inne. Brak włosów będzie zaletą. Dzisiaj jeszcze nie jest, szczególnie dla jednostki twojej konstrukcji psychicznej. Wyobrażam sobie, jak brutalnie dawano ci odczuć, że jesteś gorszy z powodu tej łysiny…

Stał zmieszany. Nie mógł zaprzeczyć tamtej myśli, która tak gwałtownie przyszła mu do głowy. Palił go wstyd i przerażenie, bowiem pojął, że z równą jak on ostrością ujrzała w jego myślach swoją brzydotę. Jakby podsunął jej przed oczy krzywe zwierciadło i powiedział na glos: „Taką cię widzę.” Jakby wymierzył jej niczym nie uzasadniony policzek, szydząc z jej… nienormalności.

— Nic się nie stało — odpowiedziała lekko drżącym głosem i

uśmiechnęła się — To nie twoja wina, że widok nagiej czaszki jest dla ciebie odraża... nieprzyjemny. Nie mówmy o tym. Przecież nie jesteśmy małżeństwem, ani niczym takim.

Przyglądali się sobie nawzajem w milczeniu. Ich myśli spotkały się i odskoczyły od siebie, zbliżyły ponownie, tym razem ostrożnie, rzucając czujne hasła, które przeskakiwały z miejsca na miejsce tak uważnie, jakby poruszały się po krze lodowej, która może zatonąć pod ciężarem świadomości.

Myślałem, że cię kocham... chyba tak... ja też... ale teraz nie może być... (gwałtowny, buntowniczy protest)... nie, to prawda, nie ma mowy o prawidłowych układach między nami.

.. takich jak między normalnymi ludźmi... nigdy nie zapomnimy tego widoku... jak wyglądałam (błyskawiczne odcięcie pamięci)... (dramatyczne zaprzeczenie)... nie, nie ma na to rady... na zawsze między nami... zakorzeniona zbyt mocno... a poza tym, Cas... (równoczesne zamknięcie obu umysłów, wyprzedzające nawet powstanie tego myślowego obrazu.)

Dziewczyna wstała.

— Jadę do miasta — oświadczyła. — Marian jest u fryzjera. Może... może zrobię sobie trwałą.

Spoglądał na nią z poczuciem bezradności: nie chciał, żeby odchodziła, chociaż tak jak ona zdawał sobie sprawę z tego, jak wiele omówili, rozważyli i odrzucili podczas tej krótkiej, niemej wymiany myśli.

— Żegnaj, Alexo.

— Żegnaj, Linc.

Stał i patrzył na ścieżkę, nawet wtedy gdy Alexy już na niej nie było. Będzie musiał odejść. On tutaj nie pasuje. Nie może tu zostać, nawet jeżeli jest jeszcze jakaś szansa na zbliżenie z Alexą. Byli... odbiegali od normy. Od tej chwili brak włosów, ta wstrętna, śmieszna łysina, której sam u siebie nienawidził, będzie mu się rzucał w oczy jeszcze bardziej niż noszone przez nich peruki. Do tego momentu nie zdawał sobie z tego sprawy...

Nie mógł odejść bez wiedzy Darryla. Ociągając się, ruszył—powoli w kierunku domu.

Doszedłszy do trawnika wysłał niewprawnie pytającą myśl.

Odpowiedź, w postaci obcej, dziwnej i niepokojącej wibracji,

nadeszła z laboratorium mieszczącego się w piwnicy. To nie jest McNey. To jest… ktoś obcy.

Linc zszedł do piwnicy. Przystanął na dole i, porządkując chaos panujący w myślach, wystrzelił badawcze macki. Drzwi były otwarte. Na podłodze leżał McNey: jego myśli milczały, natomiast z czerwonej plamy w jego boku sączyła się krew.

Obcy?

Kto…

Sergei Callahan.

Gdzie…

Ukrył się. Ma broń.

Ja też mam, pomyślał Linc, chwytając za sztylet.

Twoje funkcje telepatyczne są niedostatecznie wyćwiczone. Nie możesz wygrać tej walki.

Być może było to zgodne z prawdą. Telepatia zastępowała przeczucie w przypadku Łysych. Każdy telepata potrafił rozszyfrować i pokonać nie–telepatę, a Linc jeszcze nie w pełni władał tą bronią.

Z trudem badał sytuację. Nagle zorientował się, gdzie jest Callahan.

Za drzwiami. Z tego miejsca może zaatakować od tyłu wchodzącego do laboratorium Linca. Callahan nie spodziewał się, że niewprawny Łysy odkryje zasadzkę tak szybko i postanowił wyskoczyć ze swojej kryjówki dopiero wtedy, kiedy Linc już objął sytuację.

Chłopak całym ciężarem runął na drzwi, dociskając je do ściany. Callahan znalazł się w potrzasku. Ściśnięty między dwoma metalowymi płaszczyznami — drzwi i ściany — usiłował zebrać siły, aby się stamtąd uwolnić. Wysunął rękę uzbrojoną w sztylet. Linc odrzucił swój nóż, przylgnął plecami do drzwi i jeszcze mocniej wbił się stopami w ziemię.

Odrzwia dawały dobry punkt oparcia. Z czołem pooranym żyłami napiął wszystkie mięśnie, pchnął i parł z całej siły.

Co takiego powiedział kiedyś Barton? „Zabijać ich za pomocą maszyn…”

To jest maszyna… jedna z najstarszych. Dźwignia.

Callahan zaczął krzyczeć. Jego przerażona myśl błagała o litość. Za moment straci siły, prosił.

— Nie… miażdż mnie!

Stracił przytomność.

Potężne ramiona Linca pchnęły jeszcze raz. Rozległ się przeraźliwy krzyk myśli

Callahana, straszniejszy od słyszalnego odgłosu, jaki wydała z siebie ofiara. Linc odsunął się od drzwi, które powoli odrywały się od ściany. Ciało intruza opadło na podłogę. Linc podniósł sztylet, użył go z wprawą i zajął się McNeyem.

Na podłodze rozlewała się kałuża krwi, lecz McNey żył. Callahan nie zdążył dokończyć swojego zadania.

Linc zajął się udzielaniem rannemu pierwszej pomocy.

To wszystko.

Minęła północ. Na dole, w laboratorium McNey wyprostował się w fotelu. Grymas bólu wykrzywił mu twarz z powodu bandaża uciskającego żebra. Przymknął oczy przed blaskiem świetlówki, westchnął i potarł czoło.

Trzymał rękę nad notatnikiem. Brakowało mu jednego równania. Jeszcze mu nie wolno pomyśleć o nim.

Mimo to praca dobiegała końca. Łysi nareszcie posiądą broń przeciwko paranoidom. Nie potrafią wprawdzie wyłączyć ich tajnej częstotliwości, ale za to mogą...

Jeszcze nie teraz. Jeszcze o tym nie myśl.

Okazało się, że nawet Linc ma w tym swój, nieświadomy, udział w postaci jednej sugestii.

Mimikra. Tak, to jedno z rozwiązań. Paranoidzi nawet nie będą podejrzewać...

Jeszcze nie teraz.

Linc powędrował z powrotem do swojego plemienia Leśnych Psów i swojej leśnej squaw.

Ostatecznie, wpojona mu fiksacja przezwyciężyła silne więzy rasowe. Szkoda, ponieważ posiadał coś, co posiadali tylko nieliczni Łysi: wrodzony hart, twórczą siłę, która może okazać się użyteczna w ciężkich czasach, jakie nadejdą.

Ciężkie czasy, których nadejście można by odwlec na jakiś czas, gdyby...

Marian spała. Z trudem odwrócił od niej swoje myśli. Po tylu latach małżeństwa panowała między nimi taka harmonia, że nawet błaha myśl może ją obudzić. McNey odważył się zaprząc umysł do ostatecznego rozwiązania problemu, dopiero gdy Marian zapadła w

głęboki sen. Łysi nie mają przed sobą żadnych tajemnic.

Tym razem będzie inaczej. Ten jedyny sekret stanie się dla Bartona orężem przeciwko paranoidom: szyfr nie do złamania, którego McNey szuka już od dwóch lat.

Łysi będą mieli swój tajny sposób porozumiewania się.

Teraz. Trzeba się spieszyć. Spiesz się!

Ploter McNeya poszedł w ruch. Naukowiec poprawił coś przy urządzeniu, które miał przed sobą, starannie umocował złącza, i obserwował przepływ mocy. Po chwili coś ukazało się w otworze z boku urządzenia: siateczka z drutu wyposażona w parę płaskich, zakrzywionych blaszek. Ściągnął perukę, na jej miejsce włożył drucianą czapeczkę i ponownie nakrył peruką.

Spojrzał w lustro i z aprobatą pokiwał głową.

Nastawił urządzenie tak, by cały czas produkowało komunikatory z dostarczanego mu surowca. Wraz z wbudowaną matrycą i światłokopią nowy aparat z łatwością mieścił się pod peruką. Prawdopodobnie za jakiś czas każdy normalny Łysy będzie korzystał z tego urządzenia. Zasada jego działania…

Problem polegał na wynalezieniu tajnego sposobu porozumiewania się, podobnego do niewykrywalnej częstotliwości używanej przez paranoidów. Telepatia polega na trójfazowej oscylacji energii elektro—magneto—grawitacyj—nej, wysyłanej przez wyspecjalizowany koloid ludzkiego mózgu. Lecz, per se, może ona być odbierana przez każdy wrażliwy umysł pozostający w kontakcie emocjonalnym z nadawcą.

Chodziło o… wynalezienie metody sztucznej transmisji. Mózg ludzki poddany odpowiedniej stymulacji produkuje energię elektromagnetograwitacyjną, z braku aparatury czułej na tego rodzaju emisję, wykrywaną wyłącznie przez telepatów. Lecz bez pomocy tego małego, porządkującego wynalazku McNeya paranoidzi nie zorientują się, iż fale te zawierają jakiś kod.

Usłyszą… wyczują jedynie zakłócenia.

Rzecz polegała na kamuflażu. Fale płynącej energii podszywały się pod pasmo, którego nikt nie używał, ponieważ było zbyt blisko częstotliwości zarezerwowanej dla radio— komunikatorów zamontowanych w tysiącach prywatnych helikopterów. Dla tych aparatów pięć tysięcy megacykli było częstotliwością normalną, a piętnaście tysięcy przejawiało się łagodnymi, harmonijnymi

zakłóceniami. Urządzenie McNeya dodawało jedynie kilka strumieni do tych melodyjnych interferencji.

Wprawdzie pelengatory wykrywają i lokalizują takie sygnały, lecz helikoptery, jak i sami Łysi, są rozproszeni po całym kraju, a cała rasa dużo podróżuje, zarówno z konieczności, jak i z wyboru. Paranoidzi są w stanie znaleźć źródło tych piętnastu tysięcy megacykli emitowanych przez druciane czapeczki McNeya… ale po co?

Pomysł polegał na adaptacji kodu Leśnych Psów naśladującego głosy ptaków i zwierzyny.

Tak jak mieszczuch nie doszuka się żadnego języka w pohukiwaniu sowy w lesie, tak i paranoidzi nie będą szukali zakodowanych informacji w czymś, co pozornie jest tylko zakłóceniem.

W ten sposób lekkie siatkowe hełmy, łatwe do ukrycia pod peruką, ostatecznie rozwiązały problem. Urządzenie będzie zasilane poprzez automatyczne pobieranie niedostrzegalnej dawki wolnej energii z najbliższego generatora. Sama instalacja składająca się na komunikator będzie zaspawana na stałe. Nikt, oprócz McNeya, nie miał najmniejszego pojęcia o zasadach funkcjonowania nowego systemu łączności. A ponieważ urządzenie będzie dobrze strzeżone, paranoidzi, a także Barton, nigdy nie dowiedzą się, na czym ono polega. Barton doceni jego skuteczność, i to wystarczy. Listę surowców wyryto na gnieździe przewodu zasilania: nic więcej nie było potrzebne. W ten sposób Barton nie będzie obciążony żadną tajemnicą, którą mógłby niechcący wyjawić paranoidom, ponieważ wszystkie sekrety zostały zamknięte wewnątrz urządzenia, i w jeszcze jednym miejscu.

McNey zdjął z głowy drucianą czapeczkę i ułożył ją na stole. Wyłączył urządzenie i w pośpiechu zaczął niszczyć wzory, notatki oraz wszelkie ślady materiałów. Napisał do Bartona krótki list, w którym zawarł konieczne wyjaśnienia.

Jego czas dobiegł końca. McNey opadł na oparcie fotela. Jego zmęczona, pospolita twarz nie wyrażała żadnych emocji. Nie wyglądał jak bohater. Nie myślał o przyszłości swojej rasy ani o tym, że tym drugim miejscem, gdzie zawarto całą tajemnicę, jest jego mózg.

Rozluźniając bandaż wokół żeber, myślał o Marian. Kiedy życie zaczęło w nim zamierać wraz z upływem krwi ze świeżo otwartej rany, myślał: Chciałbym móc się z tobą pożegnać, Marian. Ale nie wolno mi cię dotknąć, nawet w myślach. Jesteśmy sobie zbyt bliscy.

Obudzisz się i…

Mam nadzieję, kochanie, że nie będziesz samotna…

Wracał. Chociaż nie należy do Leśnych Psów, to przecież Cassie jest jego żoną. Zdradził zatem swoją rasę, zdradził być może nawet samą przyszłość, by przemierzyć aż trzy stany, idąc w ślad za wędrownym plemieniem. Teraz, gdy zimne, jesienne wiatry pędzą wśród suchych liści, jego poszukiwania dobiegły końca. Ona jest tam i czeka na niego. Cassie jest tam, za tymi wzgórzami. Czuł to, a na myśl o powitaniu jego serce zadrżało.

Zdrada. Jeden człowiek nic nie znaczy w życiu całej rasy. Na świat przyjdzie kilkoro dzieci mniej, niż gdyby ożenił się z Alexą. Łysi muszą sami zapracować na swoje ocalenie…

Przeskakując ostatnią przeszkodę i biegnąc do Cassie, która siedziała nie opodal ogniska, myślał już tylko o niej, o jej lśniących czarnych włosach i delikatnej krągłości policzka.

Zawołał ją kilkakrotnie.

Z początku nie wierzyła własnym oczom. W jej oczach i myślach dostrzegł

powątpiewanie, które zniknęło, gdy usiadł obok niej — dziwna postać w egzotycznym, miejskim przyodziewku — i wziął ją w ramiona.

— Linc, wróciłeś.

— Wróciłem — wykrztusił. Na jakiś czas stracił zdolność mówienia i myślenia. Po dłuższej chwili Cassie postanowiła pokazać mu coś, co jak się spodziewała, wzbudzi jego zainteresowanie.

Nie pomyliła się. Patrzył zdumiony, aż Cassie wybuchnęła śmiechem i zwróciła mu uwagę, iż nie jest to pierwsze niemowlę na świecie.

— To ja… my… czy…

— Oczywiście. My. Przedstawiam ci Linca Juniora. Podoba ci się? Jaki podobny do swojego taty…

— Co takiego?

— Weź go na ręce. — Kiedy Cassie układała mu dziecko w ramionach, zrozumiał, co miała na myśli. Główka syna była zupełnie pozbawiona włosów, nie było na niej ani śladu brwi i rzęs.

— Ale Cassie… przecież ty nie jesteś łysa… Dlaczego…

— Ty za to jesteś, Linc. To dlatego.

Linę objął ją i przyciągnął do siebie. Nie potrafił dojrzeć przyszłości,

nie zdawał ie sprawy ze skutków tej pierwszej próby mieszania ras. Czuł jedynie przejmującą i niewysłowioną ulgę, widząc, że jego dziecko jest takie jak on. Doznał uczucia głębszego niż normalne ludzkie pragnienie przedłużenia gatunku. Doświadczył ulgi, bowiem mimo wszystko nie zawiódł swoich pobratymców. I chociaż Alexa nigdy nie będzie matką jego dzieci, to nic nie stoi na przeszkodzie, aby jego dzieci mimo to należały do tej samej rasy.

Głębokie piętno, jakim naznaczyły go Leśne Psy nie przypadnie w udziale jego dziecku.

Nauczę go, pomyślał. Dowie się już w dzieciństwie... nauczy się być dumny z tego, że jest Łysym. I jeżeli będą go potrzebowali... nie, jeżeli będziemy go potrzebowali... on będzie na to przygotowany, chociaż ja nie dałem rady.

Rasa przetrwa. To dobrze i słusznie, że związek Łysego ze zwyczajnym śmiertelnikiem może zaowocować potomstwem o zdolnościach telepatycznych. Linia nie musi wygasnąć tylko dlatego, że ktoś połączył się z osobnikiem spoza własnego gatunku. Trzeba słuchać własnych instynktów, tak jak uczynił to Linc. Dobrze jest należeć do rasy, która pozwala nawet na tak ogromne odstępstwo od tradycji i nie skazuje winnego na wieczne potępienie.

Tej linii nie da się przerwać. Cecha dominująca przetrwa.

Być może wynalazek McNeya opóźni datę pogromu. Być może stanie się inaczej. Tak czy owak, Łysi przetrwają. Muszą przetrwać, czy to pod ziemią, w ukryciu, czy nękani prześladowaniami. Może się okazać, że to właśnie wśród Leśnych Psów znajdą najbezpieczniejsze schronienie. To tu; i teraz Łysi mają swojego wysłannika...

Może tak miało być, rozmyślał Linc, obejmując Cassie i dziecko. Kiedyś byłem jednym z nich. Teraz już nie jestem. Już nie będę taki, szczęśliwy jak kiedyś. Za dużo wiem... Ale stałem się łącznikiem między jawnym i sekretnym życiem uciekinierów. Może pewnego dnia ten łącznik okaże się im potrzebny...

W oddali nasilał się odgłos pieśni wojowników powracających z polowania. Linc z pewnym zdziwieniem spostrzegł, iż nie odczuwa wobec nich dawnej, głębokiej i niewytłumaczonej nieufności. Teraz to zrozumiał. Przecież poznał ich lepiej niż oni sami i dzięki temu, czego nauczył się podczas tych paru minionych miesięcy, potrafi tę wiedzę ocenić. Leśne Psy to nie buntownicy, wyrzutki, społeczne. Lata czystek

przedestylowały ich.

Sami Amerykanie są destylatem pionierów i awanturników Starego Świata. Leśne Psy stały się nomadami, tak. Ludźmi lasu. Wojownikami. Wojownikami od samego początku. Pierwsi Amerykanie byli nimi również. To ta sama wytrzymała rasa, która pewnego dnia może udzielić schronienia prześladowanym i ściganym.

Pieśń przedzierała się wśród drzew coraz bliżej obozu. Przewodził jej tubalny bas Jesse'a Jamesa Hartwella.

Hura! Hura! Niesiemy radość!

Hura! Hura! Sztandar wolnych ludzi.

ROZDZIAŁ 4

Nadciągnęła kolejna noc. Leżałem, wpatrując się w zimne, skrzące gwiazdy i czułem, jak mój umysł pogrąża się w bezgranicznej próżni wieczności.

Czułem wielką jasność myśli.

Od dłuższego czasu leżałem bez ruchu i patrzyłem w niebo. Śnieg przestał padać już jakiś czas temu i gwiezdną poświata oblewała niebieskawe kopce.

Dalsze czekanie nie miało sensu. Sięgnąłem po nóż, który miałem u pasa. Przyłożyłem ostrze do lewego nadgarstka i zastanowiłem się. To może potrwać zbyt długo. Są lepsze miejsca tam, gdzie skóra jest cieńsza.

Byłem jednak za bardzo zmęczony, żeby zmienić pozycję. Za chwilę mocnym, stanowczym ruchem użyję tego ostrza. Wówczas nastąpi koniec, bowiem czekanie na pomoc straciło sens. Tu, po drugiej stronie gór, jestem ślepy, głuchy i niemy. Życie kompletnie zamarło. Te iskierki pałające ciepłem, które rozgrzewa nawet owady, ten dziwny pulsujący rytm życia rwący w kosmosie niczym fala przypływu, być może emitowany przez mikroorganizmy istniejące zupełnie gdzie indziej, ten blask i ciepło… zgasły. Wydawało się, że to dusza odeszła zewsząd.

Prawdopodobnie całkiem nieświadomie nadałem myśl z wołaniem o ratunek, ponieważ usłyszałem odpowiedź. Niemal krzyknąłem, kiedy zrozumiałem, że ta reakcja pochodzi ode mnie samego, od jakichś wspomnień przywołanych skojarzeniem.

Jesteś jednym z nas, mówiła myśl.

Dlaczego akurat to wspomnienie? Przypomniało mi. Hobsona. Hobsona i Żebraków w

Aksamitach. Bowiem McNey nie rozwiązał problemu podstawowego.

Kolejna bitwa w tej wojnie rozegrała się w Sequoi.

Czy pamiętam?

Ostrze sztyletu chłodziło nadgarstek. Łatwo będzie umierać. Znacznie łatwiej, niż żyć dalej w zupełnej ciszy, ciemności i samotności.

Jesteś jednym z nas, powtarzała ta sama myśl.

Cofnąłem się wspomnieniami do pewnego słonecznego poranka w miasteczku nie opodal granicy z Kanadą, do zapachu chłodnego żywicznego powietrza i rytmicznego odgłosu męskich kroków na Redwood Street... sto lat wstecz.

* * *

ŻEBRACY W AKSAMITACH

I

Wydawało mu się, że nastąpił na węża. To coś, ukryte w świeżej, zielonej trawie, wiło się pod jego butem, sprężyło do skoku i ukąsiło. Lecz ta myśl nie należała ani do gada, ani do zwierzęcia: tylko istota ludzka zdolna jest do takiej perfidii, takiej przewrotności.

Burkhalter zachował kamienną twarz, nie przyspieszył kroku. Za to jego myśli, czujne i gotowe, błyskawicznie odskoczyły od tej ślepej wrogości. W tym samym momencie Łysi w całym miasteczku przerwali wszelkie zajęcia i rozmowy, aby połączyć się z nim myślami.

Nie–telepaci nie zauważyli niczego.

Redwood Street biegła przed nim radosna i przyjazna w pełnym blasku porannego słońca.

Lecz płynął nią także powiew niepewności, ten sam chłodny, groźny wiatr, który od wielu dni burzył myśli wszystkich telepatów w Sequoi. Burkhalter miał przed sobą kilku porannych przechodniów, dzieci w drodze do szkoły, parę osób pod zakładem fryzjerskim, lekarza ze

szpitala.

Gdzie on jest?

Odpowiedź nadeszła od razu. Nie mogę go zlokalizować.

Ale gdzieś blisko ciebie…

Ktoś, jakaś kobieta — na co wskazywała tonacja jej myśli — przekazała informację

zabarwioną emocjonalnym zamętem, niemal histeryczną. Jedna z pacjentek szpitala…

Myśli innych natychmiast otoczyły ją opiekuńczym ciepłem przyjaźni i otuchy. Nawet

Burkhalter dołączył swoją myśl o jedności. Rozpoznał wśród nich chłodną, konkretną osobowość Duke'a Heatha, kaznodziei i lekarza, której charakterystyczny delikatny odcień wyczuwali jedynie telepaci.

To Selfridge, tłumaczył jej Heath, a inni słuchali. Jest po prostu pijany. Zdaje się, że jestem najbliżej, Burkhalter.

Idę.

Nad jego głową helikopter zmieniał kurs, ciągnąc za sobą szybowce towarowe na żyrostabilizatorach. Maszyna zniknęła za zachodnią granią, by polecieć dalej w kierunku oceanu. Kiedy ucichł jej warkot, uszu Burkhaltera dobiegł stłumiony ryk wodospadu w dolinie. Widział w myślach jego pierzastą biel toczącą się po skałach, zbocza porośnięte sosną, świerkiem i sekwoją dokoła miasta, i odgłosy dobiegające— z odległej celulozowni.

Skoncentrował się na czymś czystym i znajomym, aby odciąć się od obrzydliwego plugastwa, jakie napływało do niego wraz z myślami Selfridge'a. Delikatność i wrażliwość zawsze towarzyszyły Łysym i dlatego Burkhalter już kilkakrotnie zastanawiał się, w jaki sposób Duke Heath zachowuje równowagę, pracując w szpitalu psychiatrycznym. Rasa Łysych pojawiła się przed czasem. Łysi nie są agresywni, chociaż zachowanie gatunku polega na rywalizacji.

Jest w tawernie, odezwała się myśl tamtej kobiety. Burkhalter instynktownie odskoczył od tej informacji: znał umysł, z którego przybywała. Logika od razu podpowiedziała mu, że to źródło jest nieistotne… na razie. Barbara Pali należała do paranoidów, czyli do wrogów. Lecz zarówno paranoidzi, jak i Łysi starannie unikali otwartego rozłamu. Chociaż cele, do których zmierzali, dzieliła przepaść, ich ścieżki czasami biegły obok siebie.

Za późno. Fred Selfridge wytoczył się z tawerny, zamrugał oślepiony słońcem, i spostrzegł Burkhaltera. Twarz handlarza, chuda, z zapadniętymi policzkami, wykrzywiła się w cierpkim grymasie. Zamazane szyderstwo zawarte w jego myśli wyprzedzało go, kiedy zbliżał się do Burkhaltera, trzymając dłoń nad sztyletem zawieszonym u pasa.

Stanął przez Burkhalterem, blokując mu przejście. Uśmiechał się jeszcze szerzej.

Burkhalter zatrzymał się. Poczuł, że strach ściska mu gardło. Bał się nie o siebie, ale o swoją rasę. Każdy Łysy w Sequoi wiedział o tym i zamarł w oczekiwaniu.

— Dzień dobry, Fred — odezwał się pierwszy. Selfridge nie ogolił się tego poranka.

Pocierał teraz zarośniętą brodę i patrzył spod spuszczonych powiek.

— Panie Burkhalter. Panie Konsulu Burkhalter. To dobrze, że nie zapomniał pan dzisiaj czapki. Łysonie łatwo się przeziębiają.

Graj na zwłokę, rozkazał Duke Heath. Idę. Ja to załatwię.

— Nie starałem się o tę pracę, Fred — mówił Burkhalter. — Zostałem mianowany konsulem przez Radę Miast. Dlaczego do mnie masz o to pretensje?

— Starałeś się, to jasne. Już ja się znam na przekupstwie. Byłeś nauczycielem w Modoc albo w jakimś innym prowincjonalnym miasteczku. Co ty możesz wiedzieć o Leśnych Psach?

— Na pewno mniej od ciebie — przyznał Burkhalter. — Ty masz spore doświadczenie.

— Mowa. Pewnie, że mam. Wybrali jakiegoś belfra i zrobili z niego konsula Leśnych Psów. Ciemniaka, który nawet nie ma pojęcia o tym, że wśród nich są ludożercy. Handluję z nimi od trzydziestu lat i wiem, jak z nimi postępować. Czy zamierzasz im czytać bajeczki?

— Postąpię zgodnie z poleceniami. To nie ode mnie zależy.

— Nie. Ale zapewne od twoich przyjaciół. Układy! Gdybym miał takie same układy jak ty, siedziałbym cicho i ciągnął korzyści ze swojej roboty. Ale byłbym lepszy… o wiele lepszy.

— Nie przeszkadzam ci w twojej pracy — mówił Burkhalter. — Nadal zajmujesz się handlem, prawda? A ja mam swoje zajęcie.

— Naprawdę? A skąd mam wiedzieć, co naopowiadasz Leśnym Psom?

— Moje akta są otwarte dla każdego.

— Czyżby?

— Oczywiście. Moim zadaniem jest popieranie przyjaznych stosunków z Leśnymi Psami, a nie handel z nimi. Chyba, że sami sobie tego zażyczą… wtedy odeślę ich do ciebie.

— W porządku — stwierdził Selfridge. — Jedno mi się nie podoba. Możesz czytać moje myśli i przekazywać im informacje o moich prywatnych interesach.

Burkhalter pozwolił sobie na chwilę nieuwagi. Nie potrafił temu zapobiec. Wytrzymał bliskość myśli tego człowieka tak długo, jak to było możliwe, chociaż było to dla niego jak oddychanie nieświeżym powietrzem.

— Boisz się tego? — zapytał i natychmiast pożałował tych słów. W jego myślach rozległ się ostrzegawczy krzyk: Ostrożnie!

Selfridge poczerwieniał.

— A jednak to robisz! Cała ta piękna gadanina o tym, jak to łysonie respektują prawo innych do prywatności… jasne! Nic dziwnego, że to ty zostałeś konsulem! Czytanie myśli…

— Chwileczkę — przerwał mu Burkhalter. — Nigdy w życiu nie czytałem ludzkich myśli.

Taka jest prawda.

— Na pewno? — szydził handlarz. — Skąd mam mieć pewność, że nie łżesz? Ale za to ty możesz przeczytać, co myślę i sprawdzić, czy ja nie kłamię. Warn Łysym trzeba dać nauczkę, żebyście się dowiedzieli, gdzie wasze miejsce.

— Nie będę się pojedynkował — Burkhalter mówił z trudem. — Nie chcę.

— Tchórz — powiedział Selfridge i czekał z ręką tuż nad rękojeścią sztyletu.

Znowu ten sam problem. Żaden telepata nie mógł przegrać pojedynku z nie–telepatą, chyba że chciał popełnić samobójstwo. Z drugiej strony nie ważył się wygrać. Łysi brali swoją lekcję pokory: tolerowana mniejszość nie może ujawniać swojej wyższości, inaczej nie przetrwa. Wystarczy jeden incydent, aby przerwać, tamę, jaką telepaci wznieśli przeciwko narastającej fali nietolerancji.

Tama była za długa, bowiem obejmowała wszystkich bez wyjątku. I chociaż od dzieciństwa wpajano telepatom podstawowe zasady,

obrona każdego metra tego szańca obyczajów, orientacji i propagandy była niemożliwa. Nadejdzie taka chwila, kiedy tama runie, lecz każda godzina opóźnienia będzie się wiązała z nieznacznym przyrostem siły…

Rozległ się głos Duke'a Heatha.

— Taki facet jak ty, Selfridge, miałby się lepiej w grobie.

Silny wstrząs targnął Burkhalterem. Pomny ledwie wyczuwalnego napięcia, jakie dostrzegł niedawno pod maską wielkiego spokoju kaznodziei, przeniósł na niego wzrok, zastanawiając się, czy należy spodziewać się wybuchu. Pochwycił jednak pewną myśl Heatha, która pozwoliła mu na odprężenie.

Obok telepaty stał Ralf Selfridge, pomniejszona kopia Freda. Uśmiechał się głupkowato.

Fred Selfridge wyszczerzył zęby.

— Heath — warknął. — Nie popisuj się tak swoją pozycją, bo jej nie masz. Jesteś zwyczajną namiastką. Żaden łysoń nie może być prawdziwym księdzem ani lekarzem.

— Oczywiście, że może. Ale nie chce. — Jego okrągła, młodzieńcza twarz przybrała groźny wyraz. — Posłuchaj…

— Nie zamierzam słuchać takiego…

— Zamknij się!

Selfridge oniemiał. Zaskoczony, nie wiedział, czy ma użyć sztyletu, czy pięści. Heath tymczasem ciągnął gniewnie.

— Powiedziałem, że tacy jak wy mieliby się lepiej w grobie i nadal tak uważam! Twój braciszek ma cię za takiego ważniaka, że we wszystkim cię naśladuje. Przyjrzyj mu się! Jeżeli epidemia dotrze do Sequoi, on będzie za słaby, żeby wytworzyć potrzebne przeciwciała. Ten głupi smarkacz nie chce się poddać szczepieniom. Myśli chyba, że mu wystarczy sama whisky, jak tobie!

Fred spojrzał na Heatha spode łba, zerknął na swojego młodszego brata i ponownie przeniósł wzrok na kaznodzieję–lekarza. Potrząsnął głową, żeby odzyskać jasność myślenia.

— Zostaw Ralfa w spokoju. Nic mu nie jest.

— Dobrze, zacznij zbierać na jego pogrzeb — Heath nie znał litości. — Jako namiastka lekarza już mogę postawić diagnozę: rigor mortis.

Starszy Selfridge zwilżył wargi.

— Chwileczkę… Czy on jest chory?

— Epidemia opanowała już Columbia Crossing — oświadczył

Heath. — Jej przyczyną jest jedna z nowych mutacji wirusowych. Jeżeli dotrze do nas, będzie źle. Choroba trochę przypomina tężec, ale awertyna jest nieskuteczna. Z chwilą kiedy zaatakuje ośrodki nerwowe, sytuacja jest beznadziejna. Szczepienia ochronne odgrywają wielką rolę, szczególnie w przypadku osobników z taką podatną grupą krwi… a taką ma Ralf.

Burkhalter odebrał polecenie nadane przez myśl Heatha.

— Tobie, Fred, też by się przydała seria zastrzyków — ciągnął lekarz. — Masz grupę B, prawda? Prawdopodobnie jesteś wystarczająco silny, żeby się nie poddać chorobie. Ale to jest nowy wirus… jakaś mutacja wirusa grypy…

Kaznodzieja rozprawiał dalej. Ktoś po drugiej stronie ulicy zawołał Burkhaltera. Konsul wymknął się niepostrzeżenie, żegnany jedynie złym spojrzeniem Selfridge'a.

Pod drzewem, na rogu ulicy czekała szczupła, rudowłosa dziewczyna. Burkhalter poczuł niechęć, widząc, że nie uda mu się uniknąć tego spotkania. Widok Barbary Pell lub myśl o niej nieodmiennie wywoływały w nim trudną do opanowania burzę uczuć. Patrzył w jej bystre, wąskie, roziskrzone oczy. Widział kształtne, szczupłe ciało sprawiające wrażenie kruchości, a przy tym niedostępne w taki sam sposób, w jaki jej umysł okazywał się nieczuły na docierające myśli. Płomiennorude loki niewiarygodnie obfitej peruki okalały kwadratową twarz dziewczyny. Kiedy odwracała głowę pełzały po jej ramionach niczym macki czerwonej

Meduzy. Dziwnym zbiegiem okoliczności jej twarz cechowały typowe dla rudowłosych wydatne kości policzkowe, nadające jej niebezpieczną wyrazistość. Jest w rudych coś takiego, co sięga znacznie głębiej niż włosy, a przecież Barbara Pell przyszła na świat łysa, jak wszyscy telepaci.

— Głupi jesteś — szepnęła, kiedy znalazł się przy niej. — Przecież możesz się pozbyć Selfridge'a.

Zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Nie waż się niczego robić.

— To ja dałam ci cynk, że on jest w tawernie. I to ja byłam tu przed innymi. Zaraz po Duke'u. Moglibyśmy działać razem…

— Nie możemy.

— Tyle razy oszczędziliśmy was, zdrajców… — zauważyła z goryczą.

— Chcecie czekać, aż ludzie przeleją waszą krew…

Minął ją i skręcił na drogę, która prowadziła poza miasto, wspinając się stromo pod górę..

Czuł na sobie wzrok młodej kobiety. Widział wyraźnie, tak wyraźnie jakby miał oczy z tyłu głowy, jej bystrą, niebezpieczną twarz, jej piękne ciało, jej wspaniałe, piękne, obłąkane myśli… Bowiem za nienawiścią paranoidów kryła się wizja równie cudowna i pociągająca jak uroda Barbary Pell. Zabójczo pociągająca. Przedstawiała wolny świat, gdzie Łysi będą żyli i myśleli w poczuciu bezpieczeństwa, bez krępowania możliwości swoich umysłów sztucznymi, ciasnymi ograniczeniami, jak to miało miejsce kiedyś, gdy ludzie niewolniczo uginali kark przed swoimi panami i władcami. Uginanie karku jest niewątpliwie poniżające, ale nawet myśli niewolnika mogą bujać wolno. Natomiast ograniczanie myśli jest równoznaczne z uwięzieniem duszy, a nie istnieje nic bardziej hańbiącego.

Lecz świat wymarzony przez paranoidów nie istnieje. Wymaga zbyt wielkich kosztów.

Jaki to zysk, ponuro rozważał Burkhalter, zdobyć cały świat za cenę utraty duszy? Jego pytanie tak idealnie pasowało do sytuacji, iż właśnie teraz mogło paść po raz pierwszy. Ceną musi stać się morderstwo i ten, kto ją zapłaci, automatycznie skala nowo zdobyty świat do tego stopnia, że — jeżeli jest istotą normalną — nigdy nie będzie w stanie cieszyć się tym, co zdobył tak wielkim kosztem. Burkhalter sięgnął pamięcią po kilka linijek wiersza i delektował się zawartą w nich gorzką melancholią — prawdopodobnie jeszcze pełniej niż poeta, który je ułożył.

Widzę odległą krainę,
Do której nigdy nie dotrę.
Moje serce wyrywa się tam,
gdzie stopom iść nie dane
Do ziemi obiecanej.

Wściekła myśl Barbary Pell dźgnęła go ostrzem drwiny i nienawiści.

— Ty głupcze… wy wszyscy jesteście głupcami. Ci, co godzą się na okiełznanie telepatii, nie zasługują na nią. Ale wystarczy, żebyście się do nas przyłączyli… — Myśl przestała być czytelna i niespodziewanie, przybrała czerwoną barwę rozlanej krwi, rozsiewając jej słonawą woń,

jakby cały umysł nadawczym z upodobaniem nurzał się w krwi całej ludzkości.

Obrzydzenie kazało Burkhalterowi natychmiast przerwać kontakt z myślami dziewczyny.

Nagle zrozumiał, że wolność przestała być celem paranoidów, że teraz pociąga ich sama metoda. Stracili z oczu wizję wolnego świata. Pałają wyłącznie żądzą krwi.

— Głupiec! Głupiec! Głupiec! — prześladował go wrzask myśli Barbary Pell. — Jeszcze zobaczysz! Poczekaj aż... jeden razy dwa jest dwa, dwa razy dwa jest cztery, trzy razy dwa...

Burkhalter zamyślił się ponuro.

— Coś knują. — Delikatnie sondował sztuczną barierę wyciszającą myśl, którą nawet sama dziewczyna uznała za niestosowną. Zaciekle odpierała jego próby przebicia się przez zasłonę. Wyczuł tam jedynie niewyraźnie majaczące krwawe obrazy. Zaśmiała się bezgłośnie i cisnęła w niego przejrzystą, straszliwą, oszalałą myślą: obrazem odrażająco wyraźnym, który niemal chlusnął mu w twarz wszechogarniającą czerwienią.

Instynkt kazał mu natychmiast wycofać się. Jej myśli są równie niebezpieczne jak igranie z ogniem. Bowiem Barbara Pell uciekła się do jednego ze sposobów wykorzystywanych przez paranoidów na wypadek konieczności odcięcia myśli innych telepatów. W normalnej sytuacji żaden Łysy nie ważył się na takie wtargnięcie bez przyzwolenia drugiej osoby. Burkhalterem targnął dreszcz.

Oni niewątpliwie coś knują. Trzeba zawiadomić o tym wydarzeniu tych, którzy zajmują się śledzeniem poczynań paranoidów, chociaż zapewne nie należy brać pod uwagę umysłu Barbary Pell jako źródła informacji o tajnych planach. Barbara jest wykonawcą, a nie strategiem. Odsunął się od jej myśli, starannie strzepując wszelkie brudy — jak kot, który zamoczył łapy.

Wspinał się na zbocze, którym biegła droga z Sequoi do jego domu, skrzętnie osłaniając swoje myśli od wszystkiego, co za sobą zostawił. Po .kwadransie dotarł do budynku w wiejskim stylu wzniesionego z bali i plastiku tuż pod West Canadian Forest. Tu mieścił się konsulat i tylko chata braci Selfridge'ów stała jeszcze dalej na odludziu ciągnącym się na północ aż do Morza Beauforta, którego wody mieszają się z wodami Morza Arktycznego.

Czerwone światełko nad biurkiem sygnalizowało nadejście komunikatu do końcówki poczty pneumatycznej sięgającej dziesięć kilometrów w głąb lasu. Czytał uważnie. Wkrótce przybędzie delegacja Leśnych Psów złożona z przedstawicieli trzech grup plemiennych.

Trzeba...

Sprawdził zapasy, rzucił okiem na monitor połączony ze sklepem i usiadł przy biurku.

Niedługo zjawi się Heath. Tymczasem można przymknąć oczy i upajać się wonią sosnowego lasu, która napływała przez otwarte okna. Niestety, błąkające się tu i ówdzie pasma myśli psuły ten orzeźwiający i czysty zapach.

Burkhalter zadrżał.

II

Sequoia leżała przy dawnej granicy Kanady — była rozległą i bezludną krainą, zarastającą lasami. W miasteczku przerabiano produkty uboczne z celulozowni. Znajdował się tam także wielki szpital psychiatryczny, co tłumaczyło wysoki procent Łysych wśród mieszkańców.

Jedyna różnica między Sequoią a setkami tysięcy miasteczek rozsianych po całej Ameryce polegała na tym, iż niedawno otwarto tu placówkę dyplomatyczną — konsulat — dla nawiązania oficjalnych kontaktów z wędrownymi plemionami, które skryły się w lasach przed naporem cywilizacji. Miasteczko otaczały strome zbocza gór porośnięte olbrzymimi drzewami iglastymi i poprzecinane spienionymi wodospadami, które spływały spod śnieżnych czap na szczytach. Nieco dalej w kierunku zachodnim, za Cieśniną Georgia i Wyspą Vancouver rozciągał się Pacyfik. Nieliczne połączenia drogowe uzupełniała komunikacja powietrzna. Kontakt ze światem utrzymywano głównie za pomocą teleradia.

Czterystu mieszkańców Sequoi, tej niewielkiej, zwartej i na wpół samowystarczalnej osady, wymieniało swoje wyroby na krewetki i rybę z Lafitte, na książki z Modoc, sztylety z ostrzem z berylu i mechaniczne pługi z American Gun, na odzież z Dempsey i Gee Eye.

Bostońskie fabryki włókiennicze zniknęły z powierzchni ziemi wraz z całym miastem, po którym została pustynia, od czasu Eksplozji

nieodmiennie spowita płaszczem szarego dymu.

Lecz w Ameryce pozostało jeszcze dużo wolnego miejsca, którego wystarczy dla wszystkich bez względu na to, jak wysoki może okazać się przyrost naturalny, bowiem ludność została zdziesiątkowana przez wojnę. Równolegle z postępem techniki rozwijały się metody odzyskiwania nieużytków. Już w tej chwili bardziej wytrzymałe odmiany rośliny kudzu otworzyły przed rolnictwem nowe możliwości. Uprawa ziemi nie była jedynym zajęciem.

Miasta specjalizowały się, a ponieważ nie wolno im było rozrastać się, produkowały zarodniki, z których wyrastały nowe wsie. Bardziej może przypominały krzaki truskawek, które wypuszczają we wszystkich kierunkach szybko ukorzeniające się pędy.

Kiedy Duke Heath wszedł do pokoju, Burkhalter z premedytacją odepchnął wszelkie myśli o rudowłosej. Kaznodzieja jednak dostrzegł ten wymuszony, ciemny obraz jego myśli i pokiwał głową.

— Barbara Pell. Widziałem ją — Obaj wytłumili myśli. Takie posunięcie nie maskowało niczego, lecz gdyby ktokolwiek—zechciał wysondować ich umysły, natychmiast odbiorą ostrzeżenie i podejmą należyte środki ostrożności. Sytuacja wymagała, aby trzymali się wymiany słów.

— Oni się zorientują, że coś się święci — mówił Burkhalter. — Zdaje się, że ostatnio infiltrują Sequoię.

— Tak. Kiedy tylko ty objąłeś konsulat, zaczęli tu zjeżdżać — Heath skubał zębami kłykcie palców. — Przez te czterdzieści lat zbudowali niezłą organizację.

— Przez sześćdziesiąt lat — poprawił go Burkhalter. — Mój dziadek przewidział to już w osiemdziesiątym drugim. Mieszkał wtedy w Modoc jeden taki… wtedy działał jeszcze sam, ale to był pierwszy sygnał. Od tej pory…

— Rozrośli się z jakościowego punktu widzenia, ale nie ilościowo. Aktualnie żyje więcej dorosłych, prawdziwych telepatów niż paranoidów. Oni są upośledzeni umysłowo. Nie chcą zawierać małżeństw z nie–telepatami. My natomiast nie mamy nic przeciwko temu i w ten sposób cecha dominująca rozprzestrzenia się…

— Do czasu — uciął Burkhalter. Heath ściągnął brwi.'

— Nie ma żadnej epidemii w Columbia Crossing. Musiałem jakoś odciągnąć od ciebie Selfridge'a i wykorzystałem jego silny instynkt

ojcowski wobec brata. Udało się, ale nie na długo. Ten typ utożsamia część z całością. Objąłeś stanowisko konsula, a on prowadził ciemne interesy z Leśnymi Psami i dlatego teraz cię nienawidzi. Postanowił uderzyć w twój najsłabszy punkt. Poza tym, ten facet racjonalizuje. Wmówił sobie, iż gdybyś nie posiadał tego niezasłużonego atutu, jakim są zdolności telepatyczne, nie zostałbyś konsulem.

— Bo to jest niesprawiedliwe.

— Musieliśmy tak postąpić — tłumaczył Heath. — Nie–telepaci nie mogą się dowiedzieć, co robimy wśród Leśnych Psów. Pewnego dnia może się okazać, że ci z lasu jako jedyni dadzą nam schronienie. Gdyby konsulem został nie–telepata.

— Działam po omacku — stwierdził Burkhalter. — Wiem tylko, że mam wykonywać polecenia Niemych.

— Nie wiem więcej od ciebie. Paranoidzi mają swoją Moc… tajne pasmo, którego nie możemy zamknąć. Tylko Niemi wiedzą, jak z tym walczyć. Zauważ, że chociaż nie potrafimy czytać myśli Niemych, paranoidzi też tego nie potrafią. Gdybyś poznał tajemnice Niemych, twój umysł stanowiłby otwartą księgę… każdy mógłby w nim czytać.

Burkhalter milczał. Heath westchnął i odwrócił wzrok na sosnowe szpilki pobłyskujące w słońcu za oknem.

— Ja też nie mam łatwego życia — odezwał się. — Jako surogat. Żaden nie–telepata nie musi łączyć funkcji kaznodziei z funkcjami lekarza. A ja muszę. Lekarze w szpitalu odczuwają to jeszcze bardziej. Wiedzą, ile przypadków udało się wyleczyć dzięki temu, że potrafimy czytać myśli. Tymczasem…

Burkhalter zerknął na północ.

— Potrzebujemy nowych terenów.

— Powiedziałbym raczej, że potrzebny jest nam nowy świat. Kiedyś to się ziści.

Na progu zamajaczył czyjś cień. Obaj mężczyźni odwrócili się i ujrzeli tęgiego człowieczka, który miał krótkie, kędzierzawe włosy i łagodne, niebieskie oczy. Przy jego wzroście sztylet u pasa wyglądał wręcz niestosownie, jakby te pulchne palce nie nadawały się do chwytania rękojeści.

Łysi nie mają zwyczaju czytać myśli nie–telepatów, lecz między sobą rozpoznają się instynktownie. Burkhalter i Heath natychmiast wiedzieli, iż nieznajomy jest jednym z nich.

Lecz informacji tej deptała po piętach zaskakująca świadomość pustki w miejscu spodziewanych myśli. Poczuli się tak, jakby postawili stopę na lodowej tafli, która okazała się taflą wody. Tylko nieliczni umieli tak dobrze strzec swoich myśli. Niemi.

— Witajcie — odezwał się nieznajomy, przysiadając na brzegu biurka. — Widzę, że wiecie, kim jestem. Będziemy porozumiewali się słownie, jeżeli pozwolicie. Potrafię czytać wasze myśli, ale wy moich nie możecie poznać — uśmiechnął się. — Nie warto się zastanawiać, dlaczego tak jest, Burkhalter. Gdybyście posiadali tę wiedzę, paranoidzi też by ją mieli. Ale do rzeczy. Nazywam się Ben Hobson — przerwał. — Jakieś kłopoty, co?

Zajmiemy się nimi później. Najpierw pozwólcie, że coś wam powiem. Burkhalter rzucił szybkie spojrzenie Heathowi.

— W mieście są paranoidzi, więc nie mów mi za dużo, chyba że...

— Nie martw się, nie powiem — zarechotał Hobson. — Co wiesz o Leśnych Psach?

— Są potomkami wędrownych plemion, które po Eksplozji odmówiły osiedlenia się na wsi. Tacy Cyganie. Leśni ludzie o raczej przyjaznym nastawieniu.

— Zgadza się. To co zamierzam wam przekazać, dla nikogo nie jest tajemnicą, nawet dla paranoidów. Powinniście p tym wiedzieć. Zaobserwowaliśmy wśród Leśnych Psów kilka ogniw... telepatów. Zaczęło się to przypadkiem, czterdzieści lat temu, kiedy Leśne Psy przygarnęły telepatę, Linca Cody'ego, i wychowywały, go, nic nie wiedząc o jego pochodzeniu. Cody sam dokonał tego odkrycia. Nadal żyje wśród Leśnych Psów, wraz z synami.

— Cody? — powtórzył Burkhalter w zamyśleniu. Słyszałem coś o...

— Propaganda psychologiczna. Leśne Psy to barbarzyńcy, ale pragniemy zdobyć ich zaufanie i na wszelki wypadek przygotować grunt pod ewentualne połączenie się; z nimi.

Dwadzieścia lat temu zaczęliśmy wprowadzać do lasów pewien żywy symbol, który pozornie był szamanem, a w rzeczywistości naszym delegatem. Wykorzystaliśmy ich fetyszyzm.

Przebraliśmy Linca Cody'ego w barwny strój, daliśmy mu różne świecidełka, i ostatecznie Leśne Psy rozpowszechniły legendę o Codym: przychylnym, leśnym duchu, który jest łącznikiem ze światem sił nadprzyrodzonych. Lubią go, są mu posłuszni i czują przed nim

respekt. Przede wszystkim dlatego, że potrafi ukazywać się czterech różnych miejscach w tym samym czasie.

— Co takiego? — dziwił się Burkhalter.

— Cody miał trzech synów — Hobson uśmiechnął się. — Jednego z nich dzisiaj poznacie.

Twój przyjaciel Selfridge zorganizował niewielki spisek. Masz zostać zamordowany przez jednego z wodzów Leśnych Psów podczas wizyty delegacji. Ja sam nie mogę się w to angażować, ale zrobi to Cody. Chodzi o to, że musisz z nami współdziałać. Nie pokazuj po sobie, że czegoś się spodziewasz. Pojawienie się Cody'ego wywrze wielkie wrażenie na wodzach.

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby Burkhalter o niczym nie wiedział? — Heath miał wątpliwości.

— Nie. Z dwóch powodów. Potrafi czytać myśli Leśnych Psów… daję mu tutaj wolną rękę… i musi współdziałać z Codym. Jasne, Burkhalter?

— Tak jest — odparł konsul.

— Wobec tego mogę już odejść. — Hobson wstał, nie przestając się uśmiechać. —

Powodzenia.

— Zaraz — powstrzymał go Heath. — A co będzie z Selfridge'em?

— Nie zabijajcie go. Przecież wiecie, że Łysym nie wolno pojedynkować się z nie–telepatami.

Burkhalter nie słuchał. Wiedział, że musi powiedzieć o myśli, którą zaskoczył w umyśle Barbary Pell, ale opóźniał chwilę, w jakiej przyjdzie mu wymówić to obrzydliwe imię, otworzyć bramy swoich myśli na tyle szeroko, aby ponownie wywołać w nich jej obraz — jakże ponętny — jej wspaniałe, smukłe ciało i inteligentne, niebezpieczne i szalone wnętrze…

— Niedawno spotkałem w mieście jednego z nich — wyznał. — Barbarę Pell. Ponura sprawa. Wymknęło się jej coś na temat ich planów. Ukryła to zbyt szybko, żebym mógł wszystko zrozumieć, ale powinniście się nad tym zastanowić. Zorientowałem się, że oni coś szykują i to już wkrótce.

Hobson uśmiechnął się do niego.

— Dziękuję. Obserwujemy ich. Tę kobietę też będziemy mieli na oku. Tak jest.

Powodzenia.

Wyszedł. Mężczyźni wymienili spojrzenia.

Niemy powoli schodził drogą wiodącą do miasteczka. Gwizdał przez ściśnięte wargi, aż mu drgały pulchne policzki. Mijając wysoką sosnę, gwałtownym ruchem wyrwał z pochwy sztylet i rzucił się za pień. Atak zaskoczył czającego się tam mężczyznę. Stal bezbłędnie dosięgła celu. Konający paranoida wydał w myślach krótki, rozpaczliwy krzyk.

Hobson otarł ostrze i podjął wędrówkę. Pod jego krótko przystrzyżoną kasztanową peruką rozpoczął pracę mechanizm w kształcie czapeczki. Ani Łysi, ani telepaci nie rejestrowali sygnałów, które teraz odbierał i wysyłał.

— Paranoidzi wiedzą, że tu jestem.

— To się czasami zdarza — padła bezgłośna odpowiedź. — Nie odbierają tych modulowanych częstotliwości, na których działają kaski, ale mogą zauważyć ekran. Dopóki jednak żaden z nich nie wie dlaczego...

— Właśnie jednego zabiłem.

— Jednego gada mniej — rozmówca chłodno i z zadowoleniem skwitował informację.

— Uważam, że powinienem tu zostać nieco dłużej. Paranoidzi infiltrują okolicę. Tak twierdzą Burkhalter i Heath Powstał jakiś dodatkowy plan, ale jeszcze go nie odczytałem.

Paranoidzi myślą o nim tylko na swoim własnym paśmie.

— Zostań tam i kontaktuj się z nami. A Burkhalter?

— Tak jak podejrzewaliśmy. Kocha się w Barbarze Pell, ale o tym nie wie.

Myśl, która nadeszła, zawierała podświadome współczu cie, a zarazem głębokie obrzydzenie.

— Coś podobnego chyba się jeszcze nigdy nie zdarzyło. Przecież on czyta w jej myślach i wie, że to umysł chory...

Hobson uśmiechnął się.

— Kiedy sobie zda sprawę ze swoich prawdziwych uczuć, może się poważnie załamać.

Obawiam się, że wybrałeś do tej roboty niewłaściwego człowieka, Jerry.

— To nie wynika z jego akt. Burkhalter zawsze trzymał się nieco na

uboczu, a jego charakter jest bez skazy. Ma wysoki współczynnik empatii i przez sześć lat uczył socjologii w New Yale.

— Owszem, uczył, ale obawiam się, że to już przeszłość. Zna ją od sześciu tygodni.

Zakochał się w niej.

— Jak to jest możliwe… a podświadomość? Przecież Łysi instynktownie nienawidzą paranoidów i nie ufają im.

Hobson dotarł do Sequoi. Szedł dalej, mijając tarasowy plac, na którym rozłożyła się potężna, izolowana elektrownia. — Taka przewrotność — tłumaczył swojemu rozmówcy. —

Niektórych mężczyzn pociągają tylko brzydkie kobiety. Nic na to nie poradzisz. Burkhalter zakochał się w paranoidce i miejmy nadzieję, że nigdy się o tym nie dowie. Mógłby popełnić samobójstwo. Nie wiadomo, jak by się zachował. To jest… — Jego myśl nabierała dobitności. — To jest najbardziej niebezpieczna sytuacja, w jakiej Łysi mogli się znaleźć.

Wygląda na to, że nikt nie zwracał uwagi na słowa Selfridge'a, ale zło już się stało. Usłyszeli to ludzie. Trzeba pamiętać, że nigdy nie darzyli nas zaufaniem. Jeżeli coś się wydarzy, automatycznie staniemy się kozłami ofiarnymi.

— Co się może wydarzyć, Ben?

— Na przykład pogrom w Sequoi.

Raz rozpoczętej partii szachów nie da się zatrzymać. Problem przybierał na sile.

Paranoidzi, ta zwichrowana bliźniacza gałąź równoległej mutacji telepatycznej, nie byli szaleńcami. Cechowała ich pewna patologia natury psychonetirologicznej. Ulegali jednemu, podstawowemu urojeniu. Uważali się za rasę nadludzi i na tych fundamentach wznosili swoją konstrukcję światowego sabotażu.

Nie–telepaci przewyższali ich liczebnością. Ponadto nie byli w stanie pokonać techniki, która rozkwitła w dobie decentralizacji. Gdyby jednak udało się osłabić, zniszczyć cywilizację nie–telepatów…

Zabójstwa, sprytnie upozorowane na pojedynki lub wypadki, potajemny sabotaż we wszystkich dziedzinach: od techniki po wydawnictwa; propaganda starannie szerzona we właściwych miejscach… to wystarczy, aby cywilizacja zaczęła chylić się ku upadkowi. Był tylko jeden hamulec.

Ci Łysi, którzy reprezentowali autentyczną mutację bez urojeń, stanęli po stronie starszej rasy. Nie mieli innego wyjścia. W odróżnieniu od zaślepionych paranoidów zdawali sobie sprawę z tego, iż nie–telepaci w końcu dowiedzą się o tej grze i wówczas nic ich nie powstrzyma przed pogromem na światową skalę.

Na razie paranoidzi mieli pewną przewagę — pasmo, w którym porozumiewali się za pomocą telepatii, częstotliwość nie do zamknięcia. Pewnego dnia telepata–technik udoskonalił kaski zagłuszające, wyposażając je w modulacje o wysokiej częstotliwości, także niezniszczalne. Taki kask umieszczony pod peruką dawał Łysym gwarancję, że ich myśli są czytelne wyłącznie dla innych Niemych.

Tak nazwano tę nieliczną, zwartą grupę niszczycieli, którzy poprzysięgli całkowitą eksterminację paranoidów. W rezultacie stanowili oddział tajnej policji, którego członkowie nigdy nie zdejmowali kasków odcinających ich od empatii odgrywającej tak ważną rolę w emocjonalnym życiu całej rasy telepatów.

Ci ludzie dobrowolnie wyrzekli się części swojego dziedzictwa. Paradoks polegał na tym, iż ta garstka Łysych mogła użyć swojej broni przeciwko paranoidom tylko na drodze drastycznego ograniczenia swoich zdolności telepatycznych. Ich celem była ostateczna unifikacja, kiedy mutacja dominująca osiągnie taką przewagę liczebną na całym globie, że bariery myślowe czy duchowe embargo nie będą nikomu potrzebne.

Na razie grupa najsilniejszych spośród Łysych mogła w bardzo ograniczonym zakresie kosztować subtelnego zadowolenia, jakie płynie z wielokierunkowych kontaktów myśli, kiedy sto albo nawet tysiąc umysłów spotyka się i splata w głęboki, trwały spokój znany tylko telepatom.

Oni także byli żebrakami w aksamitach.

III

Burkhalter nagle przerwał panującą ciszę.

— Co się z tobą dzieje, Duke?

Heath trwał w bezruchu.

— Nic.

— Nie udawaj. Masz zamęt w myślach.

— Możliwe. Chyba powinienem odpocząć. Kocham tę pracę, ale czasami mam

wszystkiego dosyć.

— W takim razie weź urlop.

— Nie mogę. Mamy za dużo roboty. Cieszymy się tak dobrą reputacją, że przywożą nam pacjentów ze wszystkich stron. Nasze sanatorium psychiatryczne jest jednym z pierwszych, które wprowadziło psychoanalizę telepatyczną. Stosowano ją już dawno, ale sub rosa. Ludzie nie lubią, żeby Łysi grzebali w myślach ich krewnych. Ale od kiedy ogłaszamy nasze wyniki… — W jego oczach zamigotały iskierki. — Możemy dużo pomóc nawet w przypadku chorób psychosomatycznych, a zaburzenia nastroju to nasza specjalność. Największy problem to wiedzieć dlaczego. Dlaczego w jedzeniu pacjenta jest trucizna, dlaczego ktoś go śledzi… i tak dalej. Z chwilą, kiedy znajdujemy pełną odpowiedź, —otrzymujemy także potrzebne wskazówki. Przeciętny pacjent zamyka się jak ślimak przed pytaniami psychiatry. To jest…

— Heath ciągnął z rosnącym zapałem — … największe osiągnięcie w historii medycyny.

Łysi pojawili się już po Eksplozji, a lekarze docenili nas dopiero teraz. Empatia absolutna.

Chory zamyka się w swoich myślach i dlatego trudno mu pomóc. Ale my mamy do nich klucz…

— Czego się boisz? — zapytał cicho Burkhalter.

Heath nagle umilkł. Oglądał paznokcie.

— To nie jest strach — ociągał się z odpowiedzią. — To jest zawodowy niepokój.

Cholera. W rzeczywistości to nie jest aż tak skomplikowane. Można posłużyć się pewnikiem.

Nie ma dymu bez ognia.

— Rozumiem.

— Naprawdę, Harry? Nic ponadto. Moja praca polega na wizytowaniu umysłów

nienormalnych. W inny sposób niż zwyczajny psychiatra. Zagłębiam się w ich myśli. Widzę i czuję ich poglądy. Znam wszystkie lęki. Niewidzialny strach, który czai się w ciemnościach, jest dla mnie czymś więcej niż tylko słowem. Jako człowiek psychicznie zdrowy

muszę patrzeć na świat oczami setek chorych. Czy możesz na chwilę zostawić w spokoju moje myśli? — Heath odwrócił się, wprawiając Burkhaltera w zakłopotanie.

— Oczywiście. — Lekarz rozejrzał się dokoła. — Dobrze, że poruszyłeś ten temat. Bardzo często zdarza mi się osiągnąć zbyt wysoki stopień empatii. Wówczas albo wsiadam do helikoptera, albo pozwalam myślom na kontakty z innymi telepatami. Zobaczymy, czy potrafię dzisiaj wieczorem doprowadzić do połączenia transmisji. Słuchasz?

— Jasne.

Heath skinął głową na pożegnanie i wyszedł. Jego myśl zawróciła.

Lepiej żeby mnie tu nie było, kiedy przyjdą Leśne Psy. Chyba, że wolałbyś...

Nie, nie trzeba, pomyślał Burkhalter. Poradzę sobie.

O.K. Przyjechał dostawca.

Burkhalter w ostatniej chwili otworzył drzwi przed posłańcem ze sklepu spożywczego, który nadjechał samochodem dostawczym. Pomógł przenieść rzeczy, sprawdził, czy piwo ma odpowiednią temperaturę, i wcisnął kilka włączników, aby przygotować ciepłe przekąski.

Leśne Psy są znane z wielkiego apetytu.

Następnie, pozostawiając drzwi otwarte, rozsiadł się wygodnie za biurkiem i czekał. W pokoju panował upał. Burkhalter rozpiął kołnierzyk i włączył przezroczyste ściany. Proces chłodzenia powietrza już się rozpoczął, a widok rozległej doliny poniżej był równie odświeżający. W konarach wysokich sosen szumiał wiatr.

Sequoia nie przypominała New Yale, które należało do większych miast specjalizujących się w edukacji. Duży szpital i przemysł celulozowy czyniły z niej miejscowość zwartą, bardziej kompletną. Sequoia utrzymywała kontakt ze światem wyłącznie drogą powietrzną i dzięki telewizji. To czyste i przyjemne miasteczko ciągnęło się plamami białego i zielonego plastiku wzdłuż rzeki rwącej w kierunku morza.

Burkhalter splótł dłonie na karku i ziewnął. Czuł dziwne zmęczenie, które nękało go już od kilku tygodni. Jego przyczyny nie należało upatrywać w wyczerpującej pracy. To raczej dostosowanie się do iłowego zajęcia Okazało się trudniejsze, niż przewidywał. Nie zdawał sobie sprawy, że czeka go tyle niespodziewanych splotów okoliczności.

Weźmy na przykład Barbarę Pell. Ta kobieta jest niebezpieczna. Może się okazać, że W większym stopniu niż ktokolwiek inny, Barbara jest duchowym przywódcą tutejszych paranoidów. Nikt tego nie zaplanował, nie. Lecz ona sypie iskrami, jak pochodnia. Jest urodzonym przywódcą. Aktualnie liczba paranoidów w Sequoi osiągnęła niepokojąco wysoki pułap. Infiltrowali miasto, obejmując różne stanowiska, usługi i zastępstwa. Można zaryzykować stwierdzenie, że rozsadzają miasto, chociaż nie–telepaci nadal przewyższają liczebnością Łysych i paranoidów, jak wszędzie na świecie.

Przywołał na pamięć swojego dziada, Eda Burkhaltera. Jeżeli jakiś Łysy nienawidził paranoidów, to był nim Ed. Miał swoje powody, bowiem jeden z pierwszych spisków paranoidów — wówczas przypadek odosobniony — pośrednio dotyczył jego syna, a ojca Harry'ego Burkhaltera, którego umysł usiłowano poddać indoktrynacji. Może to dziwne, ale Burkhalter lepiej pamiętał pociągłe i surowe oblicze dziadka, niż łagodniejszą twarz ojca.

Ziewnął ponownie, usiłując zanurzyć się w kojącym krajobrazie za oknem. Inny świat?

Być może prawdziwe wyzwolenie od natarczywych strzępów myśli, które słyszy nawet teraz, jest możliwe dopiero w odległej przestrzeni międzygwiezdnej. Nie będzie tam tego nieustannego rozgardiaszu, a myśli będą przepływały swobodnie… Przeciągnął się leniwie.

Starał się wyobrazić sobie uczucie nieważkości obejmujące umysł. Nie potrafił.

To jasne, że Łysi pojawili się na świecie przedwcześnie, jako sztucznie sprowokowana mutacja, powstała na skutek działania radioaktywności na ludzkie geny i chromosomy. I dlatego ich środowisko nie było odpowiednie. Burkhalter bawił się pomysłem rasy kosmicznej, gdzie każdy umysł będzie dostrojony tak subtelnie, że wystarczy sama bliskość obcej osobowości, aby zburzyć sprawnie przebiegający proces doskonałego myślenia.

Przyjemne, ale niepraktyczne. To ślepy zaułek. Telepaci nie są nadludźmi wbrew temu, co twierdzą paranoidzi. W najlepszym razie dysponują tylko jednym, zabójczo cudownym zmysłem — zabójczym, bo wymieszanym z pospolitą gliną. W przypadku prawdziwego nadczłowieka telepatia stanowiłaby zaledwie jeden z kilkunastu

niewyobrażalnych zmysłów.

Barbara Pell… powróciły myśli o niej i jej pięknym ciele, tak pięknym i urzekającym jak ogień… taka Barbara Pell, na przykład, bez wątpienia uważa się za kogoś niepospolitego, jak cała reszta tych opętanych telepatów jej pokroju.

Pomyślał o jej bystrym spojrzeniu spod przymkniętych powiek, o czerwonych ustach wykrzywionych szyderczym uśmiechem, o jej rudych lokach sunących jak węże po ramionach i krwawych myślach, które pełzają niczym gad w jej myślach. Przestał o niej myśleć.

Był bardzo zmęczony. To uczucie, nieproporcjonalnie silne do włożonej energii, narastało i przytłaczało go. Gdyby nie wizyta wodzów Leśnych Psów, mógłby zasiąść za sterami helikoptera i wznieść się ku spokojnemu błękitowi ponad zboczami gór, wyżej i wyżej, aż zawiśnie nad niewyraźnym, nijakim krajobrazem, słabo widocznym poprzez błądzące obłoki.

Wyobraził sobie Ziemię jak na ilustracji Sime'a i, nadal pogrążony w marzeniach, sięgnął do sterów. Maszyna zniżała lot, sunąc pod coraz to ostrzejszym kątem, aż zaczęła pikować samobójczym ślizgiem ku sennej Ziemi, która przypominała cudownie rozrastający się kobierzec.

Ktoś nadchodzi. Burkhalter natychmiast zamazał swoje myśli i wstał z fotela. Przez drzwi ujrzał tylko spokojny las, lecz jego uszu dobiegł niewyraźny, narastający odgłos pieśni. Leśne Psy, ci koczownicy, mieli zwyczaj wędrowania, śpiewając. Śpiewali stare, łatwo wpadające w ucho melodie i ballady, które przetrwały od czasów poprzedzających Eksplozję, chociaż już nikt nie pamięta ich pierwotnego znaczenia.

Zielenią się bzy w porannej rosie skąpane,
Tęskni do ciebie moje serce zakochane…

Ich przodkowie śpiewali tę piosenkę jeszcze na granicy ze Starym Meksykiem, na długo zanim wojnę osnuły romantyczne legendy. Dziad jednego z nadchodzących był

Meksykaninem, który wywędrował na wybrzeże kalifornijskie, a potem, gnany ciekawością, dalej aż do kanadyjskich borów. Nazywał się Ramon Avarez. Teraz jego wnuk, Kit Carson Alvers, śpiewał co sił w płucach.

Będę ci wierny, aż się spotkamy znów
Wśród niebieskich i białych bzów.

Leśnym Psom nie byli potrzebni minstrele — śpiewali wszyscy i w ten sposób zachowali ludowe pieśni dla potomności. Wyszli z lasu z pieśnią na ustach, lecz umilkli na widok domu konsula.

Burkhalter patrzył. Jego oczom ukazał się żywy obraz przeszłości. Czytał o nich, ale dopiero sześć tygodni temu zetknął się z tymi nowymi pionierami. Nadal fascynowały go ich niezwykłe stroje łączące funkcje użytkowe i ozdobne. Bluzy z kozłowej skóry, które tak dobrze wtapiają się w leśne tło, ozdabiały plecione frędzle. Alvers okrył głowę czapką z futra szopa. Trzej mężczyźni stąpali w sandałach z miękkiej, trwałej koźlej skóry. U pasa mieli pochwy z myśliwskimi nożami — skromniejszymi i krótszymi niż sztylety mieszkańców miast. Ich pełne wigoru twarze były świadectwem chwackiej niezależności ducha, która czyniła ich braćmi. Leśne Psy już od kilku pokoleń radzą sobie z siłami natury za pomocą tak prymitywnych środków jak łuk przewieszony przez ramię jednego z nadchodzących gości.

Idea pojedynków nigdy się wśród nich nie przyjęła. Oni się nie pojedynkowali: zabijali, kiedy zachodziła konieczność… żeby przetrwać. Stanął na progu.

— Proszę do środka. Jestem konsulem… Harry Burkhalter.

— Czy dostał pan od nas wiadomość? — upewnił się wysoki wódz z rozwichrzoną rudą brodą, podobny do Szkota. — To, co kazał pan ustawić w lesie, było takie rozgniewane.

— Poczta pneumatyczna? Działa świetnie.

— To dobrze. Nazywam się Cobb Mattoon. To jest Kit Carson Alvers, a to Umpire Vine.

— Gładko ogolony, brzuchaty Vine wyglądał jak niedźwiedź. Jego bystre, brązowe oczy rozglądały się dokoła. Mruknął coś cicho i wymienił uścisk dłoni z konsulem. Za nim poszli inni. Ujmując dłoń Alversa, Burkhalter rozpoznał w nim tego, który ma go zabić.

Nie dał tego po sobie poznać.

— Cieszę się, że zechcieliście przybyć. Siadajcie. Czego się napijecie?

— Whisky — mruknął Vine. Szklanka utonęła w jego ogromnych łapskach. Uśmiechnął się na widok syfonu, potrząsnął głową i jednym haustem wypił taką ilość whisky, że Burkhalter poczuł we własnym gardle współczujące drapanie.

Alvers także poprosił o whisky, natomiast Mattoon wolał gin z

cytryną.

— Sporo pan ma tych drinków — zauważył, spoglądając na otwarty barek Burkhaltera —

Potrafię przeczytać parę nalepek, ale… co to jest?

— Drambuie. Nalać?

— Oczywiście — skwapliwie zgodził się Mattoon. Jego rudo owłosiona grdyka pracowała.

— Dobre. Lepsze od żyta, jakie pędzimy w lesie.

— Skoro przybyliście z daleka, musicie być głodni. — Burkhalter wyciągnął owalny stolik, na którym ustawiał dania przygotowane na pasie transmisyjnym i zaprosił gości, aby się częstowali. Bez wahania przyjęli propozycję.

Alvers rzucił mu nad stołem spojrzenie.

— Pan jest z tych Łysych? — zapytał wprost.

Burkhalter skinął głową.

— Tak. A dlaczego pytacie?

— Więc jest pan jednym z nich — Mattoon nie ukrywał zaciekawienia. — Nigdy nie widziałem Łysego z bliska. Może nawet widziałem, ale przez te peruki, to nic nie wiadomo.

Konsul uśmiechnął się, tłumiąc jednocześnie– znane sobie, mdlące uczucie odrazy. Już kiedyś tak na niego patrzono, z tego samego powodu.

— Panie Mattoon, czy wyglądam jak dziwadło?

— Jak długo jest pan konsulem? — dopytywał się Mattoon.

— Sześć tygodni.

— W porządku. — Jego głos brzmiał przyjaźnie, chociaż ostro. — Powinien pan pamiętać, że u nas się nie „panuje”. Nazywam się Cobb Mattoon. Dla przyjaciół jestem Cobb, dla reszty Mattoon. Nie, nie wyglądasz jak dziwadło. A ludzie tak uważają?

— Wielu tak myśli.

— Przede wszystkim… — Mattoon ogryzał kość — …w lesie nie zwracamy uwagi na takie rzeczy. Jak się ktoś urodzi jakiś inny, to my się z niego nie śmiejemy. Wystarczy, że trzyma się szczepu i jest uczciwy. Nie ma wśród nas Łysych, ale myślę, że byłoby im u nas lepiej niż tutaj.

Vine chrząknął i dolał sobie whisky. Alvers nie spuszczał czarnych oczu z konsula.

— Czytasz moje myśli? — dopytywał się Mattoon. Al—vers ze świstem złapał oddech.

Burkhalter nie patrzył w jego stronę.

— Nie. Łysi tego nie robią. To niezdrowe.

— Prawda. Pilnować swoich spraw… to bardzo dobra zasada. Wiem, jak będziesz to musiał rozegrać. Słuchaj. Przyszliśmy tu po raz pierwszy: Alvers, Vine i ja.1 Nigdy przedtem nas nie widziałeś. Słyszeliśmy różne rzeczy o tym konsulacie… — zająknął się przy nieznanym słowie. — Do tej pory handlowaliśmy czasem z Selfridge'em, ale nie spotykaliśmy ludzi z miasta. Sam wiesz dlaczego.

Wiedział1. Leśne Psy to wyrzutki unikające wsi, choć czasami na nie napadające. To banici.

— Ale przyszły nowe czasy. Nie możemy mieszkać w miastach, bo nie chcemy. Ale miejsca wystarczy dla wszystkich. Nie bardzo wiemy, po co te kon… konsulaty, ale się dostosujemy. Otrzymaliśmy wiadomość.

Burkhalter wiedział także i o tym. Chodziło o Cody'ego, jego słowa powtarzano we wszystkich plemionach… nie odważyli się nie posłuchać.

— Niektóre plemiona należy zniszczyć — powiedział. — Jest ich mało. Sami ich zabijacie przy każdej sposobności…

— To kanibale… — przyznał Mattoon. — Tak. Zabijamy ich.

— Lecz oni należą do mniejszości. Większość Leśnych Psów nie ma pretensji do miast i na odwrót. Chcemy położyć kres napadom.

— Jak to zamierzacie osiągnąć?

— Podczas ostrej zimy szczep nie musi głodować. Mamy różne sposoby produkowania żywności. Tanie sposoby. Stać nas na to, żeby was nakarmić, kiedy będziecie głodni.

Vine głośno odstawił szklankę i coś warknął pod nosem. Mattoon zamachał wielką dłonią w powietrzu.

— Spokojnie, Umpire. On nie wie… Słuchaj, Burkhalter. Leśne Psy czasami robią wypady na miasta, tak. Polują i walczą o zdobycz, ale nie żebrzą.

— Mam na myśli wymianę towarów. Uczciwą wymianę. Nie możemy otoczyć wszystkich miejscowości strażami. Nie możemy także zrzucić bomb na nomadów. Chodzi tylko o to, że duża ilość takich napaści jest nam nie na rękę. Na razie nie ma ich wiele, ich liczba

maleje z każdym rokiem. Ale czy w ogóle musicie napadać? Jak zabraknie przyczyny, to i skutków nie będzie.

Podświadomie sondował myśli Alversa. Znalazł tam myśl przebiegłą i złą: czujną myśl drapieżnika, a także symbol ukrytej broni. Burkhalter wycofał się pospiesznie. Nie chciał .wiedzieć. Musiał czekać na ruch Cody'ego, chociaż czuł nieodpartą chęć sprowokowania otwartej walki z Alversem. Jednak zdawał sobie sprawę z tego, iż taki krok zantagonizuje pozostałych przybyszów, którzy nie mieli takiego jak on dostępu do myśli Vine'a.

— A czym moglibyśmy się wymieniać? — warknął Vine. Burkhalter miał gotową odpowiedź.

— Skórami. Jest na nie duży popyt. Stały się modne. — Nie powiedział, że ta moda została sztucznie wywołana. — Po pierwsze, futra. Poza tym...

— Nie jesteśmy Indianami! — przerwał mu Mattoon. — Sam wiesz, co się z nimi stało!

Niczego od miast nie chcemy, chyba że nas głód przyciśnie. Wtedy... wtedy może się na to zgodzimy.

— Gdyby Leśne Psy się zjednoczyły...

Alvers uśmiechnął się drwiąco.

— Dawno temu, te zjednoczone szczepy zostały zmiecione z powierzchni ziemi przez bomby. Nie będziemy się jednoczyć, bracie!

— On dobrze mówi — odezwał się Mattoon. — Ma rację. To nasi dziadkowie żyli w niezgodzie z miastami. Nam się wiedzie całkiem nieźle. Moi ludzie już przez siedem zim nie zaznali głodu. Wędrujemy tam, gdzie są dobre zbiory i dajemy sobie radę.

— Moi ludzie nie napadają na miasta — mruknął Vine i dolał sobie whisky.

Mattoon i Alvers wypili tylko po dwie szklanki, za to Vine pił dużo, ale wyglądał na człowieka o nieograniczonych możliwościach.

Alvers zabrał głos.

— W porządku. Jedno mi się nie podoba... że ten facet jest Łysym.

Vine obrócił swój beczkowaty tors, aby przyjrzeć się Alversowi.

— Co masz przeciwko Łysym? — zapytał.

— Nic o nich nie wiemy. Słyszałem, że...

Vine rzucił jakąś sprośność. Mattoon wybuchnął śmiechem.

— Nie jesteś uprzejmy, Kit Carson. Burkhalter jest naszym

gospodarzem. Nie gadaj głupot.

Alvers wzruszył ramionami, odwrócił wzrok i przeciągnął się. Wsunął dłoń pod bluzę, podrapał się… i nagle myśl o morderstwie ugodziła konsula niczym kamień z procy. Kiedy ponownie zobaczył rękę Alversa, a wraz z nią pistolet, użył całej siły woli, aby nie wykonać żadnego ruchu.

Jego towarzysze spostrzegli to, lecz zabrakło im czasu na interwencję. Mordercza myśl poprzedziła strzał. Oślepiający, czerwony błysk rozświetlił pokój. Niewidoczny wir zakłębił się między nimi. Kiedy ich wzrok oswoił się, zamarli w bezruchu tam, gdzie znaleźli się odskakując od stołu, i wpatrywali się w stojącą przed nimi postać.

Nowo przybyły ubrany był w obcisły, szkarłatny strój z szerokim, czarnym pasem i srebrną, pozbawioną wyrazu maskę na twarzy, którą okalała falista, kruczoczarna broda opadająca na klatkę piersiową. Obcisłe odzienie uwydatniało wspaniałą muskulaturę.

Wytrącił Alversowi pistolet i przechwycił go. Po czym z gardłowym, cichym śmiechem zmiażdżył go w dłoniach na garść bezużytecznego metalu.

— Chcesz zerwać rozejm, co? Ty śmieciu, zasługujesz na to, żeby cię zgnieść jak wesz, Alvers.

Postąpił krok naprzód i otwartą dłonią wymierzył Alversowi cios w bok. Odgłos tego razu zadudnił w pokoju. Alvers wyskoczył w powietrze i runął na przeciwległą ścianę. Krzyknął, skulił się i opadł bezwładnie na ziemię.

— Wstawaj — rozkazał mu Cody. — Nic ci nie jest. Najwyżej masz pęknięte jedno żebro.

Gdybym ci przyłożył w głowę, miałbyś złamany kark. Wstawaj.

Alvers podnosił się z trudem. Po jego bladej twarzy ściekał pot. Dwaj wodzowie przyglądali się biernie, lecz czujnie.

— Później się z tobą rozprawię. Mattoon, Vine — macie z tym coś wspólnego?

— Nic — odpowiedział Mattoon. — Nic, Cody. Wiesz dobrze, że nic.

Srebrna maska ani drgnęła.

— Wasze szczęście, że wiem. Teraz słuchajcie. To rozkaz. Zawiadomcie jego ludzi, że będą musieli wybrać sobie nowego szefa. To tyle.

Podszedł do Alversa. Kiedy go oplótł ramionami, Alvers wydał

okrzyk przerażenia.

Czerwony błysk ponownie skąpał cały pokój. Kiedy zgasł, obie postaci zniknęły.

— Masz jeszcze whisky, Burkhalter? — zapytał Vine.

IV

Cody utrzymywał kontakt telepatyczny z Niemym Hobsonem. Tak jak pozostali trzej Cody'owie, nosił taki sam jak Niemi modulator częstotliwości. Ani Łysi, ani paranoidzi nie mogli wejść na tę zagłuszaną, tajną częstotliwość. Od zapadnięcia mroku upłynęły dwie godziny.

Hobson, Alvhers nie żyje. Telepatia nie zna wyrażeń potocznych, przetłumaczalnych na symbole językowe.

Czy to było konieczne?

Tak. Absolutne posłuszeństwo Codym — skomplikowane pojęcie czwórni w jedni — jest niezbędne. Nie wolno dopuścić do tego, by wymówienie posłuszeństwa Cody'emu uszło komukolwiek na sucho.

Są jakieś reperkusje?

Żadnych. Mattoon i Vine są grzeczni. Dogadali się z Burkhalterem. Co mu jest, Hobson?

Zanim dokończył pytanie, znał już odpowiedź. Jeżeli telepata ma jakieś tajemnice, to tylko w podświadomości, lecz kaski umożliwiają pewien wgląd w najsekretniejsze nawet zakątki umysłu.

Zakochał się w kimś spośród paranoidów?! — To odkrycie wstrząsnęło Codym.

On o tym nie wie. I jeszcze przez jakiś czas nie powinien zdawać sobie z tego sprawy. Będzie musiał się przeorientować. Trochę to potrwa. Na razie nie możemy go odsunąć.

Musimy być przygotowani na komplikacje.

Jakie?

Fred Selfridge. Jest pijany. Dowiedział się, że wódz Leśnych Psów odwiedził dzisiaj Burkhaltera. Boi się, że nadszedł koniec jego ciemnych interesów. Kazałem Burkhalterowi zniknąć.

Wobec tego będę w pobliżu. Na wszelki wypadek. Nie pojadę jeszcze do domu. Hobson ujrzał skrawek tego, co dla Cody'ego było równoznaczne z pojęciem domu: odległą dolinę na kanadyjskim

odludziu. Jej położenie znane jest tylko posiadaczom kasków, którzy nie mogą go przez nierozwagę ujawnić. Tam właśnie, za pośrednictwem Niemych, inżynierowie– telepaci wysyłali swoją specjalistyczną produkcję. Dzięki niej w sercu puszczy wzniesiono kwaterę główną, wyposażoną we wszystkie urządzenia. Coś w rodzaju centrali, to prawda, lecz jej współrzędne były skrzętnie chronione przed przyjaciółmi i wrogami. Z tego właśnie leśnego laboratorium pochodziły środki, które przyczyniły się do powstania wśród Leśnych Psów legendy Cody'ego — postaci łączącej niewiarygodną siłę fizyczną z czystą magią.

Tylko ktoś taki mógł zdobyć szacunek i posłuszeństwo leśnych wędrowców.

Czy Burkhalter jest bezpieczny, Hobson? Może powinienem…

Ukrył się. Zrobiliśmy zamieszanie w eterze. Selfridge go nie znajdzie.

Dobrze. Będę czekał.

Cody wyłączył się. Hobson natomiast wysłał sondę, która pokonując mroczne odległości, dotarła do kilku innych Niemych rozsianych na całym kontynencie, od Niagary aż po Salton.

Każdy z nich był przygotowany do podziemnej mobilizacji, która lada moment może okazać się niezbędna.

Przez dziewięćdziesiąt lat zbierało się na tę burzę: kiedy się rozszaleje, nad światem zawiśnie groźba katastrofy.

W centrum zakłóceń panował kompletny spokój, doświadczany jedynie przez telepatów.

Zamykając się w tym telepatycznym obwodzie zamkniętym, Burkhalter pozwolił swoim myślom przyłączyć się do pozostałych: spotykał je, rozpoznawał przyjaciół. Odebrał trochę niespokojny impuls od Duke'a Heatha. Po chwili otoczył ich głęboki spokój zrozumienia.

Początkowo, na obrzeżach tego morza uczuć, znalazły się odpryski i prądy drobnych zakłóceń, zwyczajnych zmartwień, nieuniknionych w społecznościach grupowych, szczególnie wśród nadwrażliwych Łysych. Wkrótce jednak, dzięki staremu obyczajowi spowiedzi, nadeszło ukojenie. Między Łysymi nie ma żadnych barier. Podstawowa komórka rodzinna telepatów jest jednostką znacznie bardziej doskonałą niż w przypadku innych ludzi.

Na tej samej zasadzie, więzy łączące wszystkich Łysych są nie mniej silne pomimo swojej nieuchwytnej subtelności.

Zaufanie i przyjaźń: na tym można polegać. Nieufność, nie istnieje tam, gdzie wyeliminowano barierę celną języka. Odwieczną samotność każdego wyspecjalizowanego i inteligentnego organizmu łagodzi jedno jedyne remedium: bliskość większa niż między małżonkami, wykraczająca poza te ramy.

Dopóki mniejszość utrzymuje swoją specyficzną odrębność, dopóty będzie na straconych pozycjach. Musi wzbudzać podejrzenia. W całej historii jedynie Łysym udało się wymieszać na równych prawach z grupą większościową przy jednoczesnym zachowaniu ścisłych więzów pokrewieństwa. „To paradoks, lecz chyba tylko Łysym zależało na asymilacji rasowej. Stać ich na to było, ponieważ mutacja telepatyczna okazała się dominująca: dzieci ojca–telepaty i matki nie posiadającej takiej właściwości, lub vice versa, zawsze rodzą się telepatami.

Niemniej jednak poczucie bezpieczeństwa, jakiego dostarczały karuzele myśli, było nieodzowne. Stały się symbolem biernej walki, jaką Łysi toczyli od wielu pokoleń. Dzięki nim odczuwali pełnię jedności, która nie niszczy tak istotnego instynktu rywalizacji. Wręcz przeciwnie, dzięki nim ten instynkt przybierał na sile. Układ wymagał wzajemnych ustępstw.

Poza tym, była to religia w swojej najczystszej formie.

Na początku, delikatnie i czule dotykamy myśli przyjaciół. Znajdujemy tam miejsce dla siebie, jesteśmy mile widziani. Powoli, w miarę narastania spokoju, zbliżamy się do centrum: tego wymykającego się wszelkiemu opisowi miejsca w czasoprzestrzeni, które jest syntezą umysłów inteligentnych i żywotnych. Wyobrażenie o tym miejscu można sobie przybliżyć jedynie przez analogię.

Stan półsnu. Przypomina to tę jedyną, szczególną chwilę, kiedy świadomość wraca na tyle, że możemy się zorientować, iż jeszcze się nie obudziliśmy, i docenić całkowite odprężenie, jakie niesie sen. Gdyby można było zachować świadomość podczas snu… może wówczas dałoby się oddać ten stan.

To nie jest trans narkotyczny. Nastrojony na najwyższe diapazony szósty zmysł miesza się i czerpie z pozostałych. Każdy Łysy ma w tym swój udział. Jako pierwsze do tego morza wpadają kłopoty i nieszczęścia, emocjonalne zaburzenia i problemy. Poddane

oględzinom, rozpuszczają się w krystalicznej toni zrozumienia. Następnie Łysi, oczyszczeni i wzmocnieni, wkraczają do centrum, gdzie ich umysły łączą się w jedną symfonię. Niuanse barw, dźwięków, światła i uczuć pełnią rolę ozdobników w tej instrumentacji, a każda nuta jest trójwymiarowa, ponieważ niesie z sobą intymne, indywidualne reakcje.

Oto jakaś kobieta wspomina zmysłową miękkość aksamitu w swojej dłoni, wyposażając myśli w odpowiednie przeżycie intelektualne. Mężczyzna przekazuje niezwykłą przyjemność, jakiej doznał, rozwiązując trudne równanie matematyczne: intelektualny kontrapunkt dla spokojniejszej miękkości aksamitu. Poczucie bliskości narasta stopniowo, aż do osiągnięcia stanu, w którym wszystko zdaje się łączyć się w jedną całość, jeden umysł, działający idealnie spójnie. Efektem końcowym jest pełna harmonia, wolna od fałszywych nut.

Ten jeden umysł rozrasta się. Zaczyna myśleć. Psychiczny koloid: intelektualny olbrzym obdarzony siłą i rozsądkiem, na które złożyły się bardzo ludzkie uczucia, zmysły i pragnienia.

Nagle w tej przejrzystej jedności wybucha myśl–informacja, która sprawia, iż na moment wszystkie umysły łączą się w pożegnalnym, rozpaczliwym uścisku pełnym lęku, nadziei i przyjaźni. Karuzela stanęła. Wszyscy czekali, rozpamiętując słowa Hobsona: Pogrom właśnie się zaczął.

Hobson nie przekazał tej informacji bezpośrednio do wszystkich. Umysł Niemego w kasku jest czytelny wyłącznie dla Niemych. Słowa ostrzeżenia zostały nadane przez Duke'a Heatha, który siedział obok Hobsona w zalanym księżycowym blaskiem szpitalnym ogrodzie. Jego myśli błyskawicznie rozchodziły się po mieście.

Zbierajcie się w szpitalu. Unikajcie nie–telepatów. Jeżeli was zobaczą, mogą was zlinczować.

W wielu mieszkaniach wymieniano spojrzenia, w których nagle zakwitł strach. W tej samej chwili niewiarygodnie naładowana iskra przeskakiwała między wrażliwymi umysłami na całym świecie. Nikt prócz Łysych tego nie zauważył. Lecz wiadomość okrążyła świat lotem błyskawicy.

Tysiące Łysych w miastach, helikopterach, pojazdach połączyła krzepiąca myśl: Jesteśmy razem. Jesteśmy z wami.

Tyle Łysi. Natomiast paranoidzi, których było mniej, .

odpowiedzieli okrzykiem tryumfu i nienawiści: Zabić włochatych!

Nie–telepaci poza Sequoią nie mieli pojęcia o tym, co się dzieje.

Na obrzeżach miasta stał stary dom, w którym ukrywał się Burkhalter. Wymknął się teraz bocznym wyjściem i pogrążył w spokojnej, chłodnej nocy. Na niebie stał żółty księżyc w pełni. Łuna rozproszonego światła jaśniała nad odległą Redwood Street, bledsze pasma wyznaczały mniej ważne uliczki. Burkhalter czuł napięcie mięśni i chwytający za gardło strach. Wyczekiwanie, przekazywane z pokolenia na pokolenie, wytworzyło w każdym Łysym gwałtowną fobię. Aż nadszedł ten dzień…

Barbara Pell wtargnęła do jego myśli. Gdy zaczął ją wspominać, ich umysły spotkały się.

Burkhalter poczuł jej dziki, drapieżny nastrój, triumfujące uniesienie, od którego musiał się natychmiast odwrócić. Jednocześnie, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, jakaś siła kazała mu jej wysłuchać. On nie żyje, Burkhalter, on nie żyje! Zabiłam Freda Selfridge'a! Chociaż słowo „zabijać" istnieje, w umyśle paranoida funkcjonuje wyłącznie odurzające, ociekające krwią doznanie tryumfu: wycie myśli, które przyprawia zdrowe umysły o mdłości.

Głupia! Odpowiedział jej ponad miastem, czując, że udziela mu się jej szaleństwo i że nie panuje w pełni nad sobą. Wariatko, czy to ty wszystko zaczęłaś?!

Chciał się z tobą rozprawić. Był niebezpieczny. To co wygadywał i tak by ten pogrom rozpętało… ludzie zaczęli się domyślać…

Trzeba to powstrzymać!

Tak będzie! Jej myśli wyrażały okrutną pewność. Poczyniliśmy pewne plany.

Jak do tego doszło?

Ktoś widział, jak zabijam Selfridge'a. To jego brat, Ralph, zaczął… prawo linczu. Słuchaj.

Jej myśli wirowały w tryumfalnym szale.

Usłyszał głuche wycie tłumu, odległe na razie, ale narastające. Myśli Barbary Pell

rozniecały pożogę. Udzielił mu się jej strach, przewrotny strach, który każe pożądać tego, co przeraża. W ryku tłumu wyczuwał tę samą żądzę krwi, co w czerwonych płomieniach obłąkanego umysłu Barbary Pell. Zbliżali się do niej…

Przez ułamek sekundy Burkhalter był kobietą, która biegnie mroczną ulicą, potyka się, podnosi, ucieka przed żądnym krwi tłumem.

Jakiś mężczyzna, jakiś Łysy, przeciął im drogę. Zerwał z głowy perukę i zaczął nią wymachiwać. Wówczas Ralph Selfridge, po którego młodzieńczej, szczupłej twarzy pot ściekał strumieniami, bezgłośnie rzucił hasło nienawiści i skierował falę prześladowców w pogoń za nową ofiarą. Kobieta zniknęła w ciemnościach.

Dopadli go. Kiedy umiera Łysy, w eterze zapada cisza, powstaje pustka, której telepaci nie odważają się dotykać. Zanim istnienie wchłonęło tę próżnię, myśl telepaty wystrzeliła w miasto z impetem, który na moment przed agonią zachwiał tysiącem umysłów.

Zabić włochatych! wrzeszczały drapieżne, obłąkane myśli Barbary Pell. Prawdziwy atak furii. Gdy umysł kobiety przestaje funkcjonować, wpada w otchłań szału, do jakiego nie jest zdolny umysł mężczyzny. Od zarania dziejów kobiety żyją bliżej tej przepaści, muszą tak żyć dla bezpieczeństwa swoich dzieci. Kobieta pierwotna nie może sobie pozwolić na wyrzuty sumienia. Szaleństwo Barbary Pell to paląca wściekłość sił natury. Ta iskra rozpalała coś w każdym napotkanym umyśle. Burkhalter poczuł języki ognia liżące krawędzie myśli.

Wszystko, co składało się na jego tożsamość, zadrżało i poczęło się wycofywać. Słyszał, jak w eterze inne umysły, obłąkane umysły paranoidów, doganiają Barbarę Pell i w ekstazie rzucają się w wir zagłady.

Zabijać ich, zabijać... zabijać! krzyczały jej myśli.

Wszędzie? — zdziwił się Burkhalter, oszołomiony siłą, jaka wciągała go do leja kipiącej nienawiści. Na całym świecie, dzisiaj? Czy paranoidzi powstali wszędzie, czy tylko w Sequoi?

I wówczas pojął, jak bezgranicznie odrażająca jest Barbara Pell. Odpowiedziała mu.

Sposób, w jaki to uczyniła, pozwolił mu zrozumieć w pełni ogrom zła ukrytego w tej kobiecie. Pomyślał, że gdyby zatraciła się zupełnie w tym palącym upojeniu tłumu, też by jej nienawidził, lecz nie musiałby nią gardzić.

Odpowiedź, jaką otrzymał, była cyniczna: pochodziła z tych regionów jej umysłu, które nie poddały się niszczącej sile rozpalanej wrzaskiem tłumu. Rzuciła tę myśl, aby pozostali paranoidzi mogli od niej rozniecić swą nienawiść.

Barbara Pell to zdumiewająca i złożona osobowość. Nosiła w sobie dziwną, zaraźliwą moc, jakiej żadna kobieta —być może od czasów Joanny d'Arc — nie potrafiła wykorzystać w tak pełnym stopniu. Jednak nie ulegała całkowicie płomieniom, jakie rozpalała w niej myśl o krwi i jej zapach. Z premedytacją skoczyła w wir masakry, z premedytacją pławiła się w swoim obłędzie, a jednocześnie potrafiła odpowiedzieć z cynizmem straszniejszym niż jej żarliwość.

Nie, tylko w Sequoi, odparł umysł, który jeszcze ułamek sekundy wcześniej, zaślepiony szałem, nawoływał do rzezi. Nie przeżyje ani jeden człowiek, który mógłby o tym opowiadać, odparła, posługując się obrazami, które ociekały jadem bardziej piekącym niż żądza krwi w nadawanych przez, nią myślach. Opanowaliśmy Sequoię. Mamy lotniska i elektrownię.

Jesteśmy uzbrojeni. Miasto jest odcięte od reszty świata. Pogrom wybuchł tutaj... tylko tutaj.

Jak rak. I tutaj trzeba go zatrzymać. Jak?

Jak niszczy się raka? Myśl nabrzmiała jadem. Rad, pomyślał Burkhalter. Radioaktywność.

Bomby atomowe...

Niwelacja? — zastanawiał się.

Odpowiedziało mu porażająco lodowate potwierdzenie. Nie przeżyje ani jeden człowiek, który mógłby o tym opowiadać. Przecież pewne miasta były już niwelowane... przez inne miasta. Tym razem można winić za to Pinewood... które rywalizuje z Sequoią.

To niemożliwe. Jeżeli zamilkły telenadajniki Sequoi... Nadajemy fałszywe informacje.

Wszystkie helikoptery, jakie mogą nadlecieć, zostaną zatrzymane. Ale musimy z tym szybko skończyć. Jeżeli wymknie się choć jeden człowiek... Jej myśli rozpłynęły się w nieludzki, niewyraźny bełkot skwapliwie podchwycony i spotęgowany przez chór innych umysłów.

Burkhalter zdecydowanie przerwał wszelki kontakt. Zdziwił się nieco spostrzegłszy, iż przez cały czas tej wymiany myśli podąża w kierunku szpitala, klucząc po przedmieściach Sequoi. Uświadomił sobie, że odbiera wrzask, który to nasila się, to znów prawie zamiera, by ponownie przybrać na sile. Nawet nie–telepata mógł dzisiaj wyczuć tę bezrozumną bestię szalejącą na ulicach.

Burkhalter przedzierał się przez mrok. Kontakt z chorym umysłem

paranoidy oraz groźba tego, co już się stało i co jeszcze może się wydarzyć, wstrząsnęły nim i napawały odrazą.

Joanna d'Arc, pomyślał. Ona także posiadała moc rozpalania umysłów. Ona także słyszała… „głosy"? Czyżby miało się" okazać, że posiadała zmysł telepatii, że przyszła na świat przed czasem? Lecz za jej władzą kryła się świętość. Zaś Barbara Pell…

Wraz z jej obrazem dotarła do niego jej myśl: nagląca, odrażająco zimna i opanowana wśród krwawego zamętu, który rozmyślnie sprowokowała. Najwyraźniej zaszło coś, co pokrzyżowało ich plany…

Burkhalter. Burkhalter, posłuchaj. Będziemy z wami współpracować.

Nie mieliśmy takiego zamiaru, lecz… Gdzie jest ten Niemy, Hobson?

Nie wiem.

Zniknęły zapasy bomb. Nie możemy ich znaleźć. Trzeba kilku godzin na sprowadzenie nowych z najbliższego miasta. Już są w drodze, lecz z każdą sekundą zwłoki rośnie ryzyko, że zostaniemy odkryci. Znajdź Hobsona. Jest jedyną istotą w Sequoi, której myśli są dla nas niedostępne. Wiemy, że nikt inny nie mógł ukryć tych bomb. Każ mu ujawnić, gdzie one są.

Przekonaj go, Burkhalter. To dotyczy nie tylko nas. Jeżeli wieść się rozejdzie, telepaci na całym świecie znajdą się w niebezpieczeństwie. Tę zrakowaciałą komórkę należy usunąć, zanim choroba się rozprzestrzeni.

Burkhalter poczuł straszliwy napór myśli. Skręcił za pogrążony w ciemnościach dom i ukrył się za krzakiem, aby przeczekać walący ulicą tłum z zapalonymi pochodniami. Szarpało nim uczucie odrazy i bezradności. To, co ujrzał na twarzach tych ludzi, wstrząsnęło nim. Czy ta nienawiść i wściekłość kryły się tuż pod powierzchnią przez tyle pokoleń? Skąd tyle obłąkańczego, zbiorowego okrucieństwa skierowanego przeciwko Łysym w odpowiedzi na tak drobną prowokację?

Zdrowy rozsądek podpowiadał, że taka prowokacja wystarczy. Kiedy telepata zabija nie–telepatę, to już nie jest pojedynek, lecz morderstwo. Kości były przygotowane. Od kilku tygodni w Sequoi prowadzono psychologiczną propagandę.

W przypadku nie–telepatów szło o coś więcej niż samo

wyniszczenie obcej rasy.

Postanowili rozprawić się z diabłem. Byli przekonani, iż Łysi mogą podbić świat. Na razie jeszcze nikt nie twierdzi, że telepaci pożerają niemowlęta, ale zapewne wkrótce do tego dojdzie, pomyślał Burkhalter z goryczą.

Próba generalna. Decentralizacja sprzyjała Łysym, ponieważ umożliwiała tymczasowe embargo na informacje. Włókna nerwowe łączące Sequoię ze światem zostały zablokowane, lecz to nie mogło trwać wiecznie.

Przebiegł przez podwórko, przesadził płot i znalazł się w sosnowym lesie. Chciał iść dalej, prosto na północ, ku terenom nie zamieszkanym, gdzie nie dotrze zamęt i nienawiść. Mimo to skierował kroki na południe, w stronę oddalonego szpitala. Dobrze się składa, że nie trzeba przechodzić przez rzekę, bo mosty są na pewno dobrze strzeżone.

Usłyszał nowy dźwięk, chaotyczny i histeryczny. Szczekanie psów. Zwierzęta zasadniczo nie odbierają ludzkich myśli, lecz telepatyczna burza szalejąca nad Sequoią podniosła częstotliwość — lub moc — do znacznie wyższego poziomu. Przecież na tym niewielkim miasteczku skupiły się myśli tysięcy telepatów z całego świata.

Hau! Hau! Psy szczekają!

Do miasta żebracy się zbliżają…

Usiłował przypomnieć sobie inny wiersz, który jeszcze lepiej pasował do sytuacji. Jak to szło…

Wszystkie nasze nadzieje i lęki…

V

To bezmyślne szczekanie było najgorsze, ponieważ sprawiało, że natężenie jazgoczącej, szalonej furii, która rozlewała się dokoła szpitala, rosło i opadało niczym fale przypływu.

Nastrój udzielił się także pacjentom: w ruch poszły okłady, hydroterapia, a w paru przypadkach nawet kaftany bezpieczeństwa.

Hobson patrzył przez półprzeźroczystą szybę na leżące niżej miasteczko.

— Tutaj się nie dostaną — powiedział.

Oczy Heatha jaśniały nowym blaskiem, chociaż na jego twarzy

malowała się bladość i zmęczenie. Powitał Burkhaltera skinieniem głowy.

— Zjawiasz się jako jeden z ostatnich. Siedmiu naszych nie żyje. W tym jedno dziecko.

Dziesięć osób jeszcze jest w drodze. Reszta już tutaj… są bezpieczni.

— Bezpieczni? Na ile? — pytał Burkhalter, popijając kawę, którą podał mu Heath.

— Na tyle, na ile to możliwe. Zbudowano ten szpital tak, aby nieodpowiedzialni pacjenci nie mogli się stąd wydostać. W oknach są nietłukące szyby. Ten tłum się tutaj nie wedrze. Nie od razu, przynajmniej. Pozą tym, jesteśmy zabezpieczeni przed pożarem.

— A personel? Mam na myśli nie–telepatów.

Siwowłosy mężczyzna, który siedział przy sąsiednim biurku, przerwał wypisywanie karty i posłał Burkhalterowi wymuszony uśmiech. Konsul rozpoznał dr. Waylanda, naczelnego psychiatrę.

— Lekarze od dawna współpracują z Łysymi — zauważył Wayland. — Przede wszystkim psychologowie. Jeżeli ktoś potrafi zrozumieć telepatów, to właśnie my. Jesteśmy poza linią frontu.

— Szpital musi funkcjonować nadal — tłumaczył Heath. — Nawet w tej sytuacji.

Zrobiliśmy jednak pewien wyłom w naszej pracy. Mianowicie, poznaliśmy myśli każdego nie–telepaty w obrębie tych murów. Okazało się, że trzy osoby podświadomie nie lubią Łysych i są po strome linczujących. Poprosiliśmy ich, żeby opuścili teren. Niebezpieczeństwo Piątej Kolumny już nam nie zagraża.

— Jeden z lekarzy… — Hobson mówił z namysłem — dr Wilson… Udał się do miasta, żeby przekonać tłum…

— Mamy go z powrotem — pospieszył Heath. — Aktualnie przetaczają mu plazmę.

Burkhalter odstawił filiżankę.

— W porządku. Hobson, możesz przeczytać moje myśli.

Dobrze? Szeroka twarz Niemego pozostała bez wyrazu.

— Mieliśmy swoje własne plany. Jasne, że to ja usunąłem bomby. Paranoidzi już ich teraz nie znajdą.

— Nowy ładunek bomb jest już w drodze. Sequoia ma ulec zagładzie. Nie możemy temu zapobiec.

Zadźwięczał brzęczyk. Dr Wayland wysłuchał informacji, zebrał

kilka kart i opuścił pokój.

Burkhalter gestem kciuka wskazał na wychodzącego.

— Co z nim? I z resztą personelu? Teraz już wszystko wiedzą.

Heath wykrzywił usta.

— Wiedzą więcej, niż byśmy chcieli. Do dzisiaj nikt z nich nawet się nie domyślał istnienia paranoidów. Nie należy się spodziewać, że Wayland będzie milczał. Przecież paranoidzi stanowią istotne zagrożenie dla nie–telepatów. Kłopot w tym, że przeciętny śmiertelnik nie odróżnia paranoidów od Łysych. Czy ci tam... — spojrzał w kierunku okna — ...czy oni potrafią się zatrzymać?

— Tak, to jest problem — przyznał Hobson. — Logika nakazuje zniszczyć wszystkich nie–telepatów, żeby nikt nie mógł o tym opowiadać. Ale czy to jest rozwiązanie?

— Nie widzę innego wyjścia — ponuro odparł Burkhalter. Pomyślał o Barbarze Pell, a Niemy rzucił mu w tej samej chwili baczne spojrzenie.

— Heath, co o tym myślisz?

Kaznodzieja podszedł do biurka, żeby przełożyć karty historii choroby.

— Ty tu rządzisz, Hobson. Ja nie wiem. Myślę o swoich pacjentach. Andy Pell, na przykład. Cierpi na chorobę Alzheimera: wczesna demencja starcza. Wszystko mu się miesza.

Ma kłopoty z pamięcią. Taki miły staruszek. Brzydko je, gada jak najęty i podrywa pielęgniarki. Zapewne świat by się o niego nie upomniał. Po co, wobec tego, wyznaczać jakieś granice? Jeżeli mamy się zabijać, to bez żadnych wyjątków. Nie–telepatyczny personel szpitala też nie ma prawa przeżyć.

— Naprawdę tak uważasz?

Rozzłoszczony Heath żachnął się.

— Nie! Wcale tak nie uważam! Masowe morderstwo zniszczy dorobek dziewięćdziesięciu lat starań, od chwili przyjścia na świat pierwszego telepaty. W ten sposób zniżymy się do poziomu paranoidów. Łysi nie zabijają.

— Zabijają paranoidów.

— To co innego. Paranoidzi są nam równi. Poza tym... sam już nie wiem, Hobson.

Motywacja pozostaje ta sama... ocalenie rasy. Ale przecież nie

wypada nam zabijać nie–telepatów.

— Nawet jeżeli szykują lincz?

— Oni nie odpowiadają za siebie — ciągnął prawie szeptem Heath. — Zapewne podział na paranoidów i nie–telepatów trąci kazuistyką, ale jest pewna różnica… dla nas bardzo ważna.

My nie jesteśmy mordercami.

Burkhalter opuścił głowę. Ogarnęło go obezwładniające uczucie zmęczenia. Zmusił się, aby odwzajemnić stanowcze spojrzenie Hobsona.

— Czy ty znasz jakiś inny powód? — zapytał.

— Nie — oświadczył Niemy. — Zajmuję się łącznością. Szukamy jakiegoś rozwiązania.

— Doszło jeszcze sześć osób — przerwał im Heath — Jedna zginęła. Ciągle czekamy na trzy osoby.

— Motłoch jeszcze się nie zorientował, że jesteśmy w szpitalu — zauważył Hobson. —

Posłuchajmy. Paranoidzi, którzy infiltrowali miasto, stanowią poważną siłę, na dodatek dobrze uzbrojoną. Zajęli lotniska i elektrownię. Wysyłają fałszywe informacje, żeby nie budzić podejrzeń. Przyczaili się. Z chwilą gdy nadejdzie nowy ładunek bomb, wymkną się z miasta i zniszczą Sequoię. Nas, oczywiście, też.

— Czy nie możemy wybić paranoidów? Duke, czy masz jakieś wątpliwości w kwestii rozprawienia się z paranoidami?

Heath zaprzeczył z uśmiechem.

— To niczego nie rozwiąże — odezwał się Hobson — Problem pozostanie nie rozstrzygnięty. Możemy wprawdzie przechwycić helikopter z bombami, lecz to jedynie opóźni akcję. Sto innych maszyn załadowanych bombami nadleci nad Sequoię: część z nich dotrze do miasta. Nawet pięćdziesiąt jednostek to już wielkie zagrożenie. Wiemy, co te bomby potrafią.

Burkhalter świetnie sobie z tego zdawał sprawę. Jedna bomba wystarczy, aby zmieść Sequoię z powierzchni Ziemi.

— Nie przejmowałbym się sprawiedliwym morderstwem — rozważał Heath. — Ale zabijać nie–telepatów… gdyby mi przyszło brać w tym udział… piętno Kaina przestałoby być jedynie symbolem. Nosiłbym je na czole… a raczej w głowie, tam gdzie widziałby je każdy Łysy. A gdyby tak posłużyć się propagandą wobec tego tłumu…

Burkhalter zaprzeczył.

— Nie mamy na to czasu. Nawet gdyby się nam udało ostudzić ich zapał, nie damy rady zapobiec rozprzestrzenianiu się plotek na ten temat. Czy nasłuchiwałeś haseł?

— Haseł tłumu?

— Tak. Mają już wyobrażenie tego demona. Nigdy nie kryliśmy się z wzajemnymi kontaktami naszych myśli i wobec tego ktoś wpadł na kapitalny pomysł. Uprawiamy poligamię. Wprawdzie czysto intelektualną, ale już się o tym krzyczy na mieście.

— Hm — zastanowił się Heat. — Może mają rację. Norma to pojęcie arbitralne… narzucane przez grupę rządzącą, prawda? Zatem Łysi odbiegają od tej normy.

— Normy się zmieniają.

— Wyłącznie w sytuacjach kryzysowych. Eksplozja doprowadziła do decentralizacji. A poza tym, co jest prawdziwą miarą wartości? To, co jest słuszne dla nie–telepatów, nie zawsze służy telepatom.

— Istnieją pewne podstawy moralności…

— Semantyka. — Heath ponownie zajął się przekładaniem kart. — Ktoś kiedyś powiedział, że szpitale psychiatryczne spełnią swoją prawdziwą funkcję dopiero wtedy, kiedy zwariuje dziewięćdziesiąt procent ludności. Wówczas ci zdrowi na umyśle będą mogli odpocząć w sanatoriach. — Zaśmiał się chrapliwie. — Nawet w psychozach nie da się ustalić żadnych norm. Od czasu Eksplozji znacznie zmalała ilość przypadków schizofrenii, a przypadki otępienia umysłowego pochodzą głównie z miast. Im dłużej tu pracuję, tym trudniej mi uznać wszelkie arbitralne normy za prawdziwe. Na przykład, ten facet … — wskazał na kartę — cierpi na dobrze nam znane urojenie. Twierdzi, że kiedy umrze, nastąpi koniec świata. No cóż… może to prawda… w tym jednym przypadku.

— Przemawiasz jak pacjent — Burkhalter skwitował wypowiedź Duke'a.

Hobson uniósł dłoń.

— Heath, proponuję, żebyś rozdał środki uspokajające Łysym, obecnym w szpitalu. Nam także. Czujecie tę napiętą atmosferę?

Zamilkli na chwilę, aby wsłuchać się w myśli. Po chwili Burkhalter wyłowił poszczególne akordy w nieharmonijnej melodii myśli o szpitalu.

— Pacjenci?

Heath ściągnął gniewnie brwi i nacisnął przycisk. — Fernald? Rozdaj środki uspokajające… — Rzucił nazwy specyfików, wyłączył interkom i wstał z fotela. — Za dużo nadwrażliwych psychotyków — poinformował Hobsona.

— Musimy się liczyć z możliwością wybuchu paniki. Czy złapałeś tę depresyjną myśl…

— Przekazał myślowy obraz.

— Chyba zrobię mu zastrzyk i przejdę się do tych agresywnych... — Czekał.

Hobson nieruchomo wpatrywał się w okno. Po chwili kiwnął głową.

— To już ostatni. Wszyscy jesteśmy w szpitalu. W Sequoi zostali tylko paranoidzi i nie– telepaci.

Burkhalter niepewnie wzruszył ramionami.

— Czy masz już odpowiedź?

— Nawet gdybym miał, nie mógłbym ci powiedzieć. Przecież paranoidzi mogą czytać twoje myśli.

Prawda. Burkhalter pomyślał o Barbarze Pell, gdzieś tam w mieście... Może zabarykadowała się w elektrowni albo na lotnisku. Poczuł, że wzbiera w nim niespokojne, niejasne uczucie. Pochwycił czujne spojrzenie Hobsona.

— Nie ma wielu ochotników wśród Nas — oświadczył Niemy. — Ty nie prosiłeś się o ten konflikt. Ja też nie. Ale już w chwili swoich narodzin stajemy się ochotnikami do tego niebezpiecznego zadania i trwamy w gotowości do natychmiastowej mobilizacji. To tylko przypadek, że kryzys wybuchł w Sequoi.

— Doszłoby do tego gdzie indziej. I kiedy indziej.

— Oczywiście. Rola Niemego też nie jest łatwa. Jesteśmy odcięci od reszty. Nigdy nie mamy okazji zaznać pełni kontaktów telepatycznych. Całkowitą łączność mamy tylko z Niemymi. Nie możemy się z tego wycofać. Posiadanie hełmu musi pozostać tajemnicą nawet dla reszty Łysych.

— Wygląda na to, że nasza mutacja miała się pojawić dopiero za tysiąc lat — stwierdził Burkhalter. — Przybyliśmy przed czasem.

— Niekoniecznie. Ale ponosimy konsekwencje. W pewnym sensie bomby atomowe były owocem wiedzy. Gdyby .człowiek nie pospieszył się z użyciem energii atomowej, mutacje telepatyczne przeszłyby kompletny cykl rozwoju płodowego. Zjawiłyby się dopiero na planecie gotowej na ich przyjęcie. Może nie całkowicie — zastrzegł się — ale przynajmniej nie musielibyśmy pokonywać tylu trudności.

— Uważam, że to wina paranoidów — oświadczył Burkhalter. — I... i moja także.

— To nie twoja wina. Konsul skrzywił się.

— Chyba jednak tak, Hobson. Kto sprowokował ten konflikt?

— Selfridge... — Hobson obserwował Burkhaltera.

— Barbara Pell. To ona zabiła Selfridge'a. Ta kobieta mnie prześladuje, od kiedy przyjechałem do Sequoi.

— I zabiła Selfridge'a, żeby cię zirytować? To bez sensu. :— Myślę, że to było w planach paranoidów. Ale ona też tego chciała. Nie mogła mnie ruszyć, bo byłem konsulem. Gdzie jest teraz konsulat?

Twarz Hobsona przybrała poważny wyraz. Do pokoju wszedł lekarz, podał im środki uspokajające i wodę. Dwaj mężczyźni w milczeniu zażyli tabletki. Hobson podszedł do okna i obserwował błyski pochodni. Mówił z trudem.

— Zbliżają się. Posłuchaj.

W ciszy pokoju odległy ryk tłumu przybierał na sile. Przybliżał się i narastał. Burkhalter stanął u boku Hobsona. Miasto płonęło tysiącem pochodni, a rzeka ognia sunęła krętą drogą w kierunku szpitala.

— Czy oni tu wejdą? — rozległo się ciche pytanie.

Heath drgnął.

— Prędzej czy później…

W głosie młodego lekarza zabrzmiała nuta histerii.

— Co my możemy zrobić?

— Bez wątpienia liczą na swoją przewagę liczebną — mówił Hobson. — Tego im nie brak. Myślę, że ich jedyną bronią są sztylety… ale do tego, co zamierzają zrobić, nie potrzeba żadnej broni.

Zapadła głucha cisza, którą przerwał słaby głos Heatha.

— Czy oni myślą..?

Niemy skinął głową w stronę okna.

— Zobacz.

Przed szybą zrobiło się małe zamieszanie. Patrząc przez ramię, mężczyźni ujrzeli stromą drogę i czoło pochodu. Tłum zbliżył się już na tyle, że można było rozróżnić pojedyncze pochodnie i pierwsze wykrzywione krzykiem twarze: ohydne, zaślepione nienawiścią i żądzą krwi.

Hobson mówił obojętnym tonem jakby nieunikniona tragedia należała już do przeszłości.

— Mamy odpowiedź… wiemy o tym. Jest jednak jeszcze jeden problem, którego nie mogę rozwiązać. Być może najważniejszy. — Przeniósł wzrok na kark Burkhaltera. Konsul obserwował drogę. Nagle wychylił się do przodu i krzyknął.

— Patrzcie! Tam, w lesie… co to jest? Coś się rusza… ludzie?

Słuchajcie… co to jest?

Tylko pierwsze słowa przykuły ich uwagę, bowiem po chwili wszyscy już widzieli sami.

Sprawy przybrały błyskawiczny obrót. W pierwszej chwili tłum bezładnie parł drogą, w następnej — spomiędzy drzew wyłoniły się niewyraźnej postacie, które sunęły zorganizowanym, zwartym i równym szykiem. I nagle ponad wrzaskiem tłumu rozległ się

straszliwy okrzyk ścinający krew w żyłach.

Ten sam przenikliwy, falsetowy okrzyk, który kiedyś był zawołaniem rebeliantów.

Dwieście lat temu to zawołanie rozbrzmiewało nad polami bitewnymi Wojny Domowej.

Wraz z pokonanymi buntownikami przesuwało się na zachód, aż stało się zawołaniem kowbojów. Po Eksplozji wędrowało z ludźmi z Zachodu: z tym wysokim, nieokiełznanym ludem, który nie potrafił pogodzić się ze skoszarowanym życiem miast. Teraz zawołanie rebeliantów stało się okrzykiem Leśnych Psów.

Z okna szpitala obserwowali całą akcję, która rozegrała się pod nimi niczym na oświetlonej pochodniami scenie.

Z mroku wyskoczyli mężczyźni odziani w skóry. Płomienne błyski tańczyły na długich ostrzach ich noży i na grotach strzał w napiętych łukach. Ich dziki, przenikliwy i złowrogi okrzyk unosił się i opadał, zagłuszając chaotyczne wrzaski tłumu.

Napastnicy zaszli tłum od tyłu, okrążyli go. Ludzie z miasta zaczęli zbijać się w nieco ciaśniejszą grupę, aż ten długi, niezorganizowany pochód zamienił się w zwarty krąg.

Rozległy się okrzyki: — Zabić ich! Wszystkich! — Sporadyczne hasła mieszczuchów wybijały się ponad falujące zawołanie Leśnych Psów, lecz już pierwsze minuty pokazały, kto jest górą.

Nie obyło się bez walki. Ludzie na czele pochodu musieli jakoś zareagować. I zareagowali, a przynajmniej chcieli coś zrobić. Pod naporem Leśnych Psów zdobyli się zaledwie na coś nieco większego od szarpaniny.

— To typowe mieszczuchy — mówił spokojnie Hobson, jak wykładowca, który objaśnia kadr starej kroniki filmowej. — Czy zastanawialiście się kiedykolwiek nad tym, że od czasów Eksplozji nie ma już prawdziwych wojowników. Na całym świecie zostali tylko oni.

—

Wskazał na szeregi Leśnych Psów, chociaż nikt na niego nie patrzył. Z niedowierzaniem i zapałem ludzi, którym odroczono wyrok, obserwowali, jak Leśne Psy rozprawiają się z napastnikami. Zwarty tłum szybko rozpraszał się opuszczony w magiczny sposób przez tego anonimowego, drapieżnego i potężnego ducha, który wcześniej go zespolił.

Aby to osiągnąć, wystarczyła przewaga sił, większa wiara w siebie… groźba oręża w bardziej wprawnych rękach. Od czterech pokoleń ludzie z miasta nie wiedzieli, co to jest wojna. Od czterech pokoleń Leśne Psy utrzymywały się przy życiu dzięki nieustannej walce: z puszczą i z ludźmi. Bez trudu otoczyli tłum.

— To niczego nie rozwiąże — stwierdził Burkhalter bez entuzjazmu i odsunął się od okna.

Zamilkł, aby posłużyć się szybko formułowanymi myślami, adresowanymi wyłącznie do telepatów. Czy nie powinniśmy tego zatuszować? Czy musimy podejmować decyzję w sprawie… zabicia ich wszystkich? Jesteśmy ocaleni, to prawda, ale co z resztą świata?

Ponury uśmieszek, na jaki zdobył się Hobson, nie pasował do jego pucołowatej twarzy.

Zwrócił się do zebranych w pokoju.

— Zbierajcie się. Opuszczamy szpital. Wszyscy. Nie–telepaci także.

Spocony i przygnębiony Heath z trudem dobierał słowa.

— Chwileczkę… Wiem, że ty tu rządzisz, ale… ja nie zostawię moich pacjentów!

— Ich też zabieramy. — Głos Hobsona wyrażał pewność siebie, której nie było w jego oczach. Patrzył na Burkhaltera. Należało rozwiązać jeszcze jeden próbie ostatni i najtrudniejszy.

Myśl Cody’ego dotarła do Hobsona. Wszystko przygotowane.

Czy masz pod sobą odpowiednią siłę Leśnych Psów?

Cztery szczepy. Wszyscy byli w pobliżu Fraser Run. Przyciągnął ich z północy pomysł konsulatu. Ciekawość.

Zgłoś się do grupy.

Niemi, rozproszeni po całym kontynencie, nasłuchiwali. Oczyściliśmy Sequoię. Nie ma ofiar śmiertelnych. Jest sporo i porządnie poturbowanych, ale wszyscy mogą podróżować.

(Myśl wyrażająca rozbawienie). Te wasze mieszczuchy nie są zbyt

wojownicze.

Gotowi do marszu?

Gotowi. Mamy wszystkich: mężczyzn, kobiety i dzieci w dolinie północnej. Dowódcą tego sektora jest Umpire Vine.

Ruszajcie. Co z paranoidami? Robią jakieś problemy?

Żadnych. Jeszcze wszystkiego nie wiedzą. Nadal siedzą cicho w mieście. Ale trzeba się spieszyć. Jeżeli paranoidzi zechcą opuścić Sequoię, moi ludzie ich zabiją. Krótka pauza. I…

Marsz rozpoczęty.

Dobrze. W razie konieczności, zasłonić im oczy.

Pod ziemią nie ma gwiazd, nadeszła ponura odpowiedź Cody'ego.

Wszyscy nie–telepaci muszą dotrzeć tam żywi. Pamiętaj, to jest punkt honoru. Może to nie jest najlepsze rozwiązanie, ale…

Nikt nie zginie.

Ewakuujemy szpital. Czy Mattoon jest gotowy?

Gotowy. Wyprowadzajcie szpital.

Burkhalter tarł zadrapanie na szczęce.

— Co się dzieje? — zapytał stłumionym głosem, rozglądając się w ciemnym, szumiącym lesie.

Jakiś cień przemknął wśród sosen.

— Przygotowywaliśmy pacjentów do transportu… pamiętasz? Jesteś oszołomiony. Ten agresywny pacjent…

— Pamiętam — odpowiedział zakłopotanym tonem. — Powinienem był uważniej czytać jego myśli. Ale nie mogłem, bo on nie myślał… — Wstrząsnął nim dreszcz. Podniósł się do pozycji siedzącej. — Gdzie jesteśmy?

— Spory kawałek na północ od Sequoi.

— W głowie mi się kręci. — Burkhalter poprawił perukę. Wstał, opierając się o drzewo, i zamrugał. Po chwili odzyskał orientację. To musi być Mount Nichols, jeden z wysokich szczytów górujących nad Sequoią. Daleko, poza parawanem niższych gór, majaczyły światła miasta.

Trzysta metrów niżej, wąwozem sunął pochód. Na moment ukazał się w blasku księżyca i natychmiast zniknął w ciemnościach.

Burkhalter widział noszowych i nieruchome, leżące postacie; ludzi prowadzących się nawzajem; wysokich mężczyzn w skórach i futrzanych czapach, z łukami przewieszonymi przez ramię, którzy

także pomagali. Milcząca procesja podążała ku nie zamieszkanym terenom.

— Łysi z Sequoi — wyjaśniał Hobson. — Nie–telepatyczny personel… oraz pacjenci. Nie mogliśmy ich zostawić.

— Lecz…

— Nie mieliśmy innego wyjścia, Burkhalter. Zrozum to. Od dwudziestu lat przygotowujemy się… nie do tego, ale do pogromu. W sercu puszczy, w miejscu, o którym wiedzą tylko Niemi, znajduje się ciąg połączonych ze sobą jaskiń. Powstało tam miasto. Na razie bez mieszkańców. Cody, a jest ich w rzeczywistości czterech, mają tam swoje laboratorium i kryjówkę. Są tam warunki do upraw hydroponicznych, sztuczne światło słoneczne… a więc to, czego trzeba do życia. Jaskinie nie pomieszczą wszystkich Łysych, ale wystarczy w nich miejsca dla mieszkańców Sequoi.

— Nie–telepatów? — Burkhalter nie wierzył uszom.

— Tak. Będą odseparowani, dopóki nie pogodzą się z losem. Będą więźniami: nie da się tego ukryć. Mieliśmy do wyboru albo ich zabić, albo trzymać w odosobnieniu. Zaadaptują się do życia w jaskiniach. Sequoia stanowiła zwartą, niezależną społeczność. Rodziny pozostaną w całości i będą mogły żyć w tych samych układach społecznych. Z tą tylko różnicą, że pod ziemią, w sztucznych warunkach.

— Czy paranoidzi ich nie znajdą?

— Pod ziemią nie ma gwiazd. Paranoidzi będą mogli czytać myśli mieszkańców Sequoi, ale nikt nie jest w stanie zlokalizować ich źródła za pomocą triangulacji telepatycznej. Tylko Niemi wiedzą, gdzie są te jaskinie, a paranoidzi nie mają dostępu do ich myśli. Niemi już wyruszyli nam na spotkanie. Poprowadzą pochód przez ostatni etap. Nawet Leśne Psy nie będą wiedziały, dokąd idą.

— To znaczy, że telepaci będą strzegli tej tajemnicy. Ą Leśne Psy? Co będzie, jeżeli zaczną mówić?

— Oni nic nie powiedzą. Istnieją po temu liczne powody. Po pierwsze, ich kontakt ze światem jest znikomy. Po drugie, funkcjonują w systemie autokratycznym. Cody umieją ich zmusić do przestrzegania zasad. A poza tym, czy wyobrażasz sobie reakcję innych miast na wieść, że to Leśne Psy oczyściły całą Sequoię? Będą milczeć, żeby ratować własną skórę.

Jasne, że może być jakiś przeciek. W przypadku tak licznej grupy

nie można mieć absolutnej pewności. Myślę, że jak na taki prowizoryczny plan, to wszystko będzie działało całkiem nieźle. — Hobson zamilkł i omiótł myśli Burkhaltera uważnym spojrzeniem. — O co chodzi,

Burk? Nadal coś cię trapi?

— Chyba ci ludzie — wyznał Burkhalter. — Ci zwyczajni ludzie. To jest niesprawiedliwe.

Ja też nie chciałbym zostać na zawsze odcięty od reszty świata. Oni…

Hobson użył w myślach mocnego epitetu. Znacznie ostrzejszego niż to, co powiedział.

— Sprawiedliwość?! Oczywiście, że to nie jest sprawiedliwe! Widziałeś ten tłum podchodzący pod szpital, prawda? Czy im chodziło o sprawiedliwość?! Jeżeli ktokolwiek zasłużył na karę, to właśnie ten motłoch! — Uspokajał się. — Tego jesteśmy skłonni nie zauważać. Od dziecka tak skutecznie wpaja się nam wyrozumiałość dla ludzi, że zapominamy, iż są to istoty odpowiedzialne. Pogrom jest najbardziej niewybaczalną akcją zbiorową, jakiej może się dopuścić grupa. Pogrom jest zawsze atakiem dużej większości na bezbronną mniejszość. Ci ludzie, gdyby mogli, wymordowaliby nas bez najmniejszych skrupułów. Uważam, że zasłużyli na coś bardziej okrutnego niż to, co ich czeka. My nie chcieliśmy się znaleźć w takim miejscu. Niesprawiedliwość, znajdziesz wszędzie, ale myślę, że w tej sytuacji takie rozwiązanie jest najlepszym z możliwych.

Patrzyli na pochód sunący dołem w blasku księżyca. Hobson mówił dalej.

— Kiedy to wszystko ruszyło, ukazał się nam jeszcze jeden, całkiem nowy aspekt. Wręcz kapitalny. Czysty przypadek sprawił, że będziemy mieli okazję przeprowadzić wspaniałe, laboratoryjne doświadczenie z zakresu stosunków międzyludzkich. To nie będzie przypadek społeczności jaskiniowej w sytuacji bez wyjścia. Jesteśmy zdania, że dojdzie kiedyś do wymieszania obu ras. Pracownicy szpitala mogą odegrać rolę ambasadorów dobrej woli.

Trzeba do tego podejść bardzo ostrożnie, ale wydaje się, iż nasza zdolność czytania myśli w połączeniu ze stosownie zmodyfikowaną akcją propagandową przyczynią się do pomyślnego osiągnięcia tego celu. W ten sposób uzyskamy podwaliny pod ostateczne rozwiązanie

problemu stosunków między Łysymi i nie–telepatami.

— Otrzymamy w ten sposób model tego, jak powinien wyglądać świat... jak wyglądałby, gdyby Eksplozja nie powołała nas przedwcześnie do życia. Powstanie społeczeństwo zdominowane przez telepatów, w którym ludzie znajdą się pod ich przychylną kontrolą.

Niczym nie ryzykując, nauczymy się regulować stosunki z ludźmi. Będzie to metoda prób i błędów, gdzie te ostatnie nie będą karane. Może to być trochę nieprzyjemne dla ludzi, lecz nie bardziej przykre niż to, co przeżywały pokolenia Łysych na całym świecie. Możemy nawet mieć nadzieję, że za parę lat ten eksperyment okaże się tak udany, iż nawet gdyby jakieś informacje przedostały się do świata, to członkowie nowej społeczności nie zechcą jej opuszczać. Poczekamy, zobaczymy... Nie istnieje inne rozwiązanie niż wzajemne dostosowanie tych ras. Nawet gdyby wszyscy Łysi dobrowolnie zdecydowali się popełnić samobójstwo, telepaci nadal przychodziliby na świat. Nie da się temu zapobiec. To wina Eksplozji, nie nasza. My... zaczekaj.

Hobson gwałtownie odwrócił głowę. Z szemrzącej ciszy pogrążonego w mroku lasu, zakłócanej jedynie przytłumionymi odgłosami akcji prowadzonej w niższych partiach, obaj mężczyźni starali się wyłowić niesłyszalny dźwięk.

Burkhalter niczego nie usłyszał, lecz Hobson po chwili kiwnął głową.

— Zaraz nastąpi koniec Sequoi — oświadczył. Burkhalter ściągnął brwi.

— Jest jeszcze jedna nie rozwiązana sprawa. Co się stanie, jeżeli oskarżą Pinewood o zniwelowanie Sequoi?

— Nie będzie na to żadnych dowodów. Zadecydowaliśmy, że można rozpuścić pogłoskę wskazującą na kilka innych miast oprócz Pinewood, żeby zaciemnić obraz. A może powiemy, iż nastąpił wypadek w składzie amunicji. Były już takie przypadki. Pinewood i inne miasta będą musiały sobie poradzić. Znajdą się pod obserwacją i jeżeli zostaną wykryte kolejne oznaki agresji... ale przecież nic się nie stanie! Myślę... patrz! Już po Sequoi!

Daleko w dole rozciągało się wśród gór jezioro światła, które kiedyś było Sequoią. Na ich oczach zmieniało kształt. Wykwitła z niego pysznie rozżarzona nova, oblewając białym blaskiem twarze mężczyzn i uwydatniając czarne sylwetki sosen.

Przerażający, nieludzki krzyk rozdarł ciszę eteru, atakując mózg każdego telepaty w swoim zasięgu. Ułamek sekundy później zapanowała w przestrzeni owa przerażająca próżnia, owa pustka, do której żaden telepata nie odważa się zajrzeć. Tym razem utworzyła olbrzymi lej, bowiem narodziny novej pochłonęły wiele telepatycznych umysłów. Ten lej sprawił, iż myśli zaczęły się kłębić niebezpiecznie blisko jego ogromnej, stromej krawędzi. Wprawdzie byli paranoidami, lecz także telepatami i ich śmierć wstrząsnęła każdym, kto potrafił ją wyczuć.

* * *

Myśli Burkhaltera poraziła oszałamiająca pustka. Barbara, Barbara...

Ten okrzyk wyrwał mu się zupełnie bezwiednie. Nie starał się ukryć go przed Hobsonem.

Niemy odezwał się obojętnym tonem.

— Już po wszystkim. Bomby zostały zrzucone z helikoptera przez dwóch Niemych. Teraz obserwują to miejsce. Nikt nie ocalał. Burkhalter...

Czekał.

Burkhalter stopniowo wynurzał się z otchłani, która pochłonęła piękny, lecz zarazem straszny i przerażający obraz Barbary Pell. Stopniowo wracał do otaczającej go rzeczywistości.

— Słucham?

— Zobacz tam. Przechodzą już ostatni mieszkańcy miasta. Nie jesteśmy już tutaj potrzebni, Burk.

W tym stwierdzeniu kryło się jeszcze jakieś znaczenie. Burkhalter przywołał swoje myśli do porządku i odezwał się głosem pełnym bolesnego zaskoczenia.

— Nie... nie rozumiem. Po co mnie tu przyprowadziłeś? Czy... — zawahał się — Nie mam do nich dołączyć?

— Nie możesz pójść z nimi — łagodnie tłumaczył mu Hobson. Zapadła chwila milczenia, w której rozlegał się szept wiatru wśród sosnowych igieł. Odurzający zapach i chłód nocy otoczyły obu telepatów.

— Myśl, Burkhalter. Myśl.

— Kochałem ją. Teraz to wiem. — Odraza do samego siebie wstrząsała jego myślami, lecz był zbyt oszołomiony tamtym odkryciem, aby uświadomić sobie ten stan.

— Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy? Nie jesteś prawdziwym Łysym. Nie do końca — zawiesił głos. — Jesteś utajonym paranoidem, Burk.

Przez długą chwilę nie wymienili ani jednego słowa, ani jednej myśli. Burkhalter usiadł na ziemi pokrytej dywanem sosnowych igieł.

— To nieprawda — oświadczył. Drzewa tańczyły wokół niego.

— To prawda. — Głos i myśli Hobsona przybrały ton nieskończenie delikatny. — Sam pomyśl. Czy... czy mógłbyś...— czy mógłbyś pokochać kogoś takiego, obłąkanego do tego stopnia, gdybyś był normalnym telepatą?

Burkhalter przytaknął bezmyślnie. Wiedział, że to prawda. Uczucie miłości łączące telepatów jest bardziej nieomylne niż miłość zaślepionych, kroczących po omacku ludzi.

Telepata nie myli się w ocenie charakteru swojej wybranki. Nie może się pomylić, nawet gdyby chciał. Normalny telepata darzyłby coś takiego jak Barbara Pell wyłącznie wstrętem.

Żaden normalny telepata...

— Powinieneś był jej nienawidzić. Nienawidziłeś jej, ale było to coś więcej niż nienawiść.

Paranoidzi charakteryzują się tym, Burk, że fascynuje ich to, do czego czują odrazę. Gdybyś był normalny, pokochałbyś jakąś normalną telepatkę, równą sobie. Ale nigdy tego nie zrobiłeś. Szukałeś kobiety, na którą mógłbyś patrzeć z góry. Gardząc nią, czułeś się dowartościowany. Żaden paranoida nie przyzna, że ktoś mu dorównuje. Przykro mi, Burk.

Przykro mi to mówić.

Słowa Hobsona sprawiały ból jak bezlitosny skalpel usuwający chorą tkankę. Burkhalter słuchał i tłumił tę utajoną nienawiść, którą prawda — znał tę prawdę — wydobyła z głębin jego chwiejnego umysłu.

— Twój ojciec także nie miał jasnego umysłu — ciągnął Hobson. — Był za bardzo podatny na indoktrynację paranoidów...

— Próbowali na nim swoich numerów, kiedy był jeszcze dzieckiem. Przypominam to sobie.

— Początkowo nie wiedzieliśmy, co ci dolega. Nie zaobserwowaliśmy żadnych symptomów, dopóki nie objąłeś konsulatu. Wtedy dopiero zaczęliśmy formułować diagnozę.

Nie zależało ci na tym stanowisku, Burkhalter. Nie pragnąłeś go podświadomie. Znużenie było twoją obroną. Przechwyciłem dzisiaj twoje marzenie… nie pierwsze zresztą. Myślałeś o samobójstwie, a to kolejny objaw i kolejny sposób ucieczki. Barbara Pell… miała być zapłatą.

Nie mogłeś dopuścić do poznania swoich prawdziwych uczuć, więc ujawniłeś uczucie przeciwne: nienawiść. Uwierzyłeś, że Barbara Pell cię prześladuje i nie hamowałeś już swojej nienawiści. Z tym, że to nie była nienawiść, Burk.

— Nie, to nie była nienawiść. Hobson… ona była potworna! Po prostu potworna!

— Wiem.

W myślach Burkhaltera kłębiły się tak gwałtowne emocje, że nie sposób było je uporządkować. Nienawiść, piekący ból, jaskrawe migawki ze świata paranoidów, wspomnienie szalonych myśli Barbary Pell niczym płomień szarpany wiatrem.

— Masz rację, Hobson — mówił z trudem — musisz mnie zabić. Za dużo wiem. Jeżeli rzeczywiście jestem utajonym paranoidem, pewnego dnia mogę Nas zdradzić.

— Utajony… a to wielka różnica… jeżeli stać cię na szczerość wobec siebie samego.

— Mogę stać się niebezpieczny, jeżeli będę żył. Czuję… tę chorobę… w tej chwili. Nie… nienawidzę cię, Hobson. Nienawidzę cię, bo pokazałeś mi, czym jestem. Kiedyś ta nienawiść może objąć wszystkich Niemych i Łysych. Od dzisiaj nie mogę mieć do siebie zaufania.

— Dotknij swojej peruki, Burk — przerwał mu Hobson.

Zaskoczony, położył drżącą dłoń na głowie. Nie poczuł niczego niezwykłego.

Zdezorientowany, zwrócił spojrzenie na Hobsona.

— Zdejmij ją, Burk.

Wykonał polecenie z pewnym trudem, ponieważ specjalne przyssawki trzymały ją mocno na swoim miejscu. Kiedy ją w końcu zdjął, ku swojemu zdziwieniu poczuł, że ma na głowie coś jeszcze. Uniósł wolną rękę i niepewnymi palcami wymacał czepek z cienkiego

jak jedwab drutu, otulający czaszkę. Podniósł wzrok i w świetle księżyca spotkał oczy Hobsona. Widział delikatne zmarszczki dokoła oczu Niemego i dobroć oraz współczucie malujące się na jego twarzy. Na chwilę zapomniał nawet o dziwnym czepku. Jego myśli krzyczały.

Pomóż mi, Hobson! Nie pozwól, abym cię znienawidził! Natychmiast poczuł, jak silne i empatyczne myśli wielu, wielu telepatów łączą się w jego umyśle. Nigdy przedtem nie doznał uczucia tak głębokiej i jakościowo niezwykłej duchowej bliskości. Dla umysłu była ona tym samym, czym objęcia wielu pomocnych ramion dla umęczonego ciała, szukającego oparcia.

Teraz jesteś jednym z nas, Burkhalter. Nosisz Hełm. Stałeś się Niemym. Twoje myśli pozostaną nieczytelne dla paranoidów.

To była myśl Hobsona, lecz za nią rozlegały się myśli setek wyszkolonych umysłów należących do Niemych. Echo tego chóru wzmacniało znaczenie słów Hobsona. Ale ja… jestem utajonym…

Sto umysłów utworzyło spójną całość, emocjonalny koloid karuzeli myśli. Lecz hełmy filtrujące każdą myśl nadały tej jedności nową, głębszą jakość. W ten sposób powstał jeden umysł: silny, zdrowy i przyjazny, który witał nowego przybysza. Burkhalter znalazł w nim nie cudowne uzdrowienie, lecz coś jeszcze ważniejszego. Prawdę i szczerość.

W tym świetle paranoidalne wypaczenie, jego symptomy i bezsens przybrały na ostrości.

Umysł Burkhaltera poddany został psychoanalizie na najwyższym poziomie, dostępnym wyłącznie dla telepatów. ‘Na to potrzeba czasu. Leczenie potrwa… Hobson stał tuż obok.

Będę przy tobie. Dopóki nie staniesz się samodzielny. Nawet wówczas… wszyscy będziemy przy tobie. Jesteś jednym z nas. Żaden Łysy nigdy nie jest sam…

ROZDZIAŁ 5

Myślę, że nadchodzi śmierć.

Leżę tu już bardzo długo. Od czasu do czasu wraca mi świadomość, ale nieczęsto. Nie mogę się w ogóle ruszać.

Chciałem przeciąć arterię i umrzeć, lecz teraz nie mam siły nawet na to i już nie muszę tego robić. Zesztywniały mi palce. Nie ruszam się

i nie czuję zimna. Światło i ciepło pulsują, za każdym razem coraz bardziej przygasając. Myślę, że tak Wygląda umieranie. Wiem, że to śmierć.

Nade mną jest helikopter. Nie zdąży. Robi się coraz większy, lecz ja zapadam się szybciej, niż on zniża się nad moim wąwozem między szczytami. Znaleźli mnie, ale za późno.

Życie i śmierć nie są ważne.

Czarny wir wciąga myśli. Pójdę tam samotnie i nastąpi koniec.

Jedna myśl mnie nie opuszcza. Dziwna to myśl w chwili śmierci.

Humpty Dumpty siadł na murze.

To chyba myśl Jeffa Cody'ego.

Gdybym mógł się skupić na Jeffie Codym, może udałoby mi się…

Jest już na to zdecydowanie za późno.

Cody i operacja „Apokalipsa", w Jaskiniach… przypominam sobie… przypominam… …umieram samotnie…

HUMPTY DUMPTY

I rzekł Bóg do Noego: Koniec wszelkiego ciała przyszedł przed oblicze moje, bo napełniona jest ziemia nieprawością od oblicza ich…

Jeff Cody stał pod kamiennym niebem z ramionami założonymi do tyłu i starał się poznać myśli elektronicznego kalkulatora. Jednocześnie osłaniał przed innymi własne myśli, pełne okrucieństwa. Odciął barierami rozpacz ze wszystkich sił, odpychając od siebie obraz, któremu nie odważył się stawiać czoła. Tłumił go, usiłował zepchnąć z powierzchni burzy panującej w umyśle. Kalkulator miał szerokie, łagodne, lśniące czoło, na którym mrugały rozmaite światełka i refleksy. Gdzieś w jego środku znajdowała się cienka, kryształowa płytka, zdolna zdmuchnąć ludzkość z powierzchni ziemi. Nie tylko Jeffa Cody'ego i jego ludzi, lecz całą ludzkość, wszystkich nie–telepatów. Odpowiedzialność za ten kryształ spoczywała na jednym człowieku. Na Jeffie Codym.

Allenby stojący za nim przestąpił z nogi na nogę. Jego odbicie rozmazywało się na gładkiej powierzchni pulpitu sterowniczego. Cody odezwał się, nie zmieniając pozycji.

— Jeżeli Induktor okaże się do niczego, będziemy musieli… — Wyobrażenie śmierci i konania zawisło w jego myślach niczym

chmura.

Nie powiedział tego na głos. Allenby wtrącił się natychmiast. Nie użył słów, lecz jego myśl przecięła rozważania Cody'ego, zanim obraz zniszczenia zdążył przybrać ostateczną formę.

— Nie. Kolejne niepowodzenie. Ale spróbujemy jeszcze raz. Będziemy próbowali. Może nigdy nie zajdzie potrzeba użycia… tego. — Obracał w myślach kryształek kalkulatora wraz z wpisaną w nim zagładą większości gatunku.

— Można to nazywać niepowodzeniem albo porażką — zauważył Cody w myślach. —

Poprzeczka jest za wysoko. Nikt nie wie, co czyni człowieka telepatą. Nikomu nie uda J się wywołać telepatii za pomocą maszyny. Żaden Induktor tego nie dokona. Dobrze o tym wiesz.

— Wcale tego nie wiem — odparła cicha myśl Allenby'ego. — Uważam, że to jest osiągalne. Jeff, jesteś —przemęczony.

Cody zaśmiał się.

— Merriam wytrzymał tu trzy miesiące. Brewsterowi udało się najdłużej… osiem. Ja jestem tu dopiero od pół roku. O co ci chodzi? Boisz się, że zrezygnuję w taki sam sposób jak Brewster?

— Nie. Ale…

— Dobrze już… — przerwał mu poirytowany Cody. — Nie mówmy o tym. — Poczuł, jak myśli Allenby'ego nieśmiało próbują dotknąć krawędzi jego umysłu. Allenby jest psychologiem i dlatego Cody trochę się go obawiał. Akurat teraz nie chciał ściągać na siebie uwagi specjalisty. Tuż pod powierzchnią jego myśli kryło się coś straszliwego i pociągającego zarazem, czego nie chciał nikomu pokazywać. Wysiłkiem woli rozwinął przed Allenbym zasłonę dymną z przyjemnych obrazów. Ciepły deszcz w sosnowym lesie, ćwierć mili nad ich głowami. Spokój, przejrzyste niebo i cichy, monotonny szum łopatek helikoptera.

Twarz żony, zadowolona i uśmiechnięta.

Spostrzegł, że niepokój Allenby'ego na razie opada. Nie odwracając się, wyczuł, że psycholog zmienia pozycję.

— Pójdę już do siebie — pomyślał Allenby. — Chciałem cię po prostu zobaczyć, kiedy ci powiedziałem, że znowu jesteśmy w ślepym zaułku. Mogę odejść, Jeff?

— Oczywiście — odparł Cody. — Nie będę cię zatrzymywał.

Allenby wyszedł.

Cody nasłuchiwał odgłosu kroków oddalających się w przyległym pokoju. Usłyszał zamykanie drzwi i szczęk zamka. Został sam, chociaż całą jaskinię omywał wartki strumień telepatycznych myśli, które dotykały go lub omijały. Nawet Allenby na odchodnym dorzucił do nich swój lekki niepokój. W tej sytuacji Cody zatrzymał obraz sosnowego lasu, jasnego nieba i roześmianej kobiety. Kątem oka, nie odwracając głowy, dostrzegł na brzegu stołu, w zasięgu ręki, przedmiot, którego do tej pory nie odważył się dopuścić do swoich myśli.

Obserwowało go zbyt wiele umysłów.

Zobaczył solidny, wąski i ostro zakończony nóż, pozostawiony przez roztargnionego robotnika. Pomyślał o swoim poprzedniku i sposobie, w jaki Brewster po ośmiu miesiącach zrezygnował ze stanowiska. Posłużył się rewolwerem, ale nóż jest równie dobry. Wystarczy pchnąć ostrzem w pewne miejsce w obojczyku, tuż przy szyi, by świadomość zgasła w oka mgnieniu jak świeczka na wietrze. W sytuacji kiedy ciężar stanie się nie do zniesienia. Jak w przypadku Merriama i Brewstera. I Jeffa Cody'ego.

Zewsząd sunęły ku niemu zaniepokojone umysły telepatów niczym ślepe, niewidoczne spojrzenia. Przez jaskinię przebiegł strach. Coś gdzieś się popsuło. Lecz Cody po mistrzowsku panował nad swoimi myślami. W rzeczywistości wcale noża nie widział, aż do tej chwili nie pomyślał o tym miejscu na szyi.

Wziął głęboki oddech i wystrzelił w głąb jaskini wspaniały fajerwerk jasnej myśli. Nie powstrzymają go. Nie ma nikogo w pobliżu. Był wolny.

— Induktor nie działa — powiedział głośno. — Nie da się indukować telepatii w ludzkim mózgu. Ale jest sposób, aby z nią skończyć!

Wystarczył jeden, długi krok w stronę stołu, by nóż znalazł się w jego dłoni. Dwoma palcami wymacał kość obojczykową, nadając nożowi kierunek.

— Niech Induktor zawiedzie — myślał. — Niech wybuchnie pogrom. Niech cała rasa zginie. Niech się rozpęta „Apokalipsa". To już nie moja sprawa!

Kilka pokoleń wstecz Eksplozja dała początek temu problemowi, powołując do życia mutację podgatunku telepatów. W pewnym okresie

Łysi mieli nadzieję, iż eugenika go rozwiąże. Teraz nie mieli już złudzeń. Zostało za mało czasu.

Chociaż funkcję telepatyczną przenosił gen dominujący, Łysych było za mało. W miarę upływu czasu i wzrostu ilości mieszanych małżeństw świat zaludniliby wyłącznie telepaci, ale tego czasu było za mało. Jedynym rozwiązaniem było to, nad którym Łysi pracowali już od dawna: urządzenie, zwane Induktorem, za pomocą którego dałoby się indukować zdolność telepatii u nie–telepatów.

Teoretycznie było to możliwe. Łysi mieli wgląd do wszystkich najpotężniejszych mózgów na świecie. Przy odpowiedniej ilości danych elektroniczny kalkulator zainstalowany w jaskini mógł rozwiązać ten problem. Lecz nie był w stanie rozwikłać go ostatecznie, bowiem nie miał wszystkich danych mimo posiadania skarbu wiedzy wykradzionej setkom genialnych, nietelepatycznych umysłów.

Rozwiązanie jednak istniało. Gdyby każdy mężczyzna i każda kobieta na świecie mogli posiąść zdolność czytania myśli dzięki niewielkiemu urządzeniu, wówczas stałby się cud.

Runęłyby ostatnie bariery. Zniknąłby strach i nienawiść, jaką wobec Łysych żywili nie–telepaci... Wprawdzie nie od razu, ale stopniowo rozpłynęłyby się w morzu wzajemnie oddziałujących na siebie myśli. Przestałyby istnieć mury, ta odmienność, a wraz z nimi strach, który nieuchronnie wymuszał nadejście pogromów.

Niestety, Induktor nadal pozostawał w sferze teorii. Kalkulator jeszcze nie rozwiązał postawionego mu zadania, jeżeli to w ogóle możliwe. Zamiast tego rozwiązał problem podstawowy w sposób zaskakujący, cynicznie bezduszny i przerażająco logiczny. Zadanie jest rozwiązywalne, oświadczyła maszyna. Zniszczyć wszystkich nie–telepatów. Metoda?

Szukał w swojej przepastnej pamięci i znalazł...

Operacja „Apokalipsa”.

Istnieje pewien wirus, który, pobudzony w specjalny sposób, da mutację w postaci odmiany przenoszonej drogą powietrzną i szybko się rozmnażającej. Atakuje ona i niszczy ludzką tkankę nerwową.

Telepaci posiadają wrodzoną odporność na ten zmutowany wirus.

Żaden Łysy nie wiedział, co to za wirus, ani nie znał metody mutacji. Tajemnicę tę znał tylko kalkulator, lecz nie–ludzki mózg maszyny elektronicznej jest dla wszystkich zamkniętą księgą. Gdzieś

we wnętrzu kalkulatora znajduje się kryształek tytanianu baru, a w nim seria zamrożonych drobinek energii zakodowanej systemem dwójkowym. Tam właśnie tkwi sekret śmiercionośnego wirusa.

Gdyby Jeff Cody uczynił trzy kroki naprzód, zasiadł w miękkim fotelu operatora przed pulpitem i nacisnął pewien klawisz, urządzenie monitorujące poddałoby analizie elektroniczny obraz jego mózgu, identyfikując go z taką samą niezawodnością jak w przypadku odcisków palców. Tylko jeden człowiek znał odpowiedź na nieme pytanie monitora.

Wówczas gdzieś na pulpicie rozbłyśnie lampka, a pod nią liczba. Znając ją, Cody mógłby zmusić maszynę do ujawnienia tajemnicy. Przed nim ten przytłaczający ciężar spoczywał na barkach Brewstera. Wcześniej jeszcze był Merriam. Po Codym… komuś innemu przyjdzie dźwigać tę nadludzką odpowiedzialność za podjęcie decyzji, czy Koniec wszelkiego ciała przyszedł przed oblicze moje… przetoż je wytracę z ziemią.

Protesty przedarły się siłą przez obronną skorupę, którą Cody osłonił swój umysł, chwytając za nóż. We wszystkich zakątkach tętniącej życiem jaskini telepaci porzucili swoje zajęcia i pchnęli stanowcze, natarczywe myśli do wspólnego celu, jakim był Cody.

Rezultat był oszałamiający. Cody po raz pierwszy w życiu doznał tak silnego wstrząsu. Nie zamierzał ulec, ale potęga ich protestu dotknęła go niemal fizycznie, prawie się pod nią ugiął.

Usłyszał i poczuł napór przygniatającej myśli, która docierała nawet z powierzchni ziemi.

Ćwierć mili ponad wapiennym niebem, ponad skałą i glebą, w którą wbijały się korzenie sosen, myśliwy w poszarpanych skórach przystanął wśród drzew i wysłał w kierunku jaskini swój oburzony protest. Słowa docierały do Cody'ego zniekształcone przez warstwy skał i poprzetykane małymi, bystrymi, bezrozumnymi myślami żyjątek ryjących w ziemi nad nim.

Pilot helikoptera zawieszonego w błękicie nieba połączył się myślami z mieszkańcami jaskiń. Mimo iż impuls był odległy i słaby, reakcja telepaty w samolocie nastąpiła równie szybko jak u innego Łysego, tuż za ścianą jego zamkniętego pokoju.

Nie, nie — usłyszał w swoich myślach. — Nie wolno ci tego zrobić! Jesteś jednym z nas.

Nie wolno ci. Jeff, jesteś jednym z nas!

Wiedział, że to prawda. Wyłaniał się z głębokiej, czarnej studni, do której popychały go zawroty głowy, lecz pojmował, że jeżeli odbierze sobie życie, uśmierci także — w niewielkim stopniu — całą swoją rasę. Tylko telepata jest w stanie doświadczyć śmierci i żyć nadal. Ilekroć umiera Łysy, wszyscy jego bracia w zasięgu myśli czują, jak ciemność zamyka się nad wygaszonym umysłem, jak w odpowiedzi przygasają nieco ich własne myśli.

Cody nadal przesuwał dwoma palcami wzdłuż krawędzi obojczyka, i nim zdążył mocno chwycić nóż, runął na niego jeden, zwarty okrzyk protestu setki umysłów. Wytłumił własne myśli i już nic nie czuł. Może im jeszcze stawiać opór. Wystarczy jedna sekunda. Drzwi są zamknięte na klucz i tylko siła fizyczna może go powstrzymać.

Jednak nadal się ociągał, nawet pod presją tej wrzawy i tumultu. Nie słyszał wśród nich głosu psychologa. Dlaczego?

Zacisnął dłoń na trzonku. Rozsunął dwa palce, odsłaniając miejsce dla ciosu. Czy pół roku temu Brewster czuł to samo co on i czy dlatego postanowił zrzucić to uciążliwe brzemię decyzji? Czy trudno było pociągnąć za spust? Czy może łatwo, tak łatwo jak unieść nóż i…

Oślepiający błysk wykwitł w samym centrum mózgu. To było jak uderzenie spadającej gwiazdy, roztrzaskującej się o strukturę umysłu. W ostatniej chwili świadomości pomyślał, że już zadał samobójczy cios i że tak wygląda śmierć od środka.

Zrozumiał jednak, iż ten kosmiczny wstrząs został wywołany ogłuszającym pchnięciem myśli Allenby'ego. Czuł, jak nóż wypada mu z ręki, jak uginają się pod nim kolana. Potem, nieskończenie długo, nie czuł nic.

Kiedy odzyskał przytomność, Allenby klęczał przy nim na podłodze, a kalkulator spoglądał do góry, rzucając refleksy pod dziwnym kątem, jakby widziany z perspektywy małego dziecka. Drzwi były szeroko otwarte. Cały pokój wydał mu się obcy.

— Lepiej już, Jeff? — pytał Allenby.

Cody podniósł wzrok i poczuł, jak pod powierzchnią myśli kłębi się tłumione napięcie, by wybuchnąć furią tak straszną, iż przyjazne myśli, których obecność czuł nad sobą, odskoczyły jak oparzone.

— Przepraszam. Dotąd zrobiłem to tylko dwa razy w życiu. Musiałem tak postąpić, Jeff — tłumaczył się Allenby.

Cody odtrącił dłoń, która spoczywała na jego ramieniu. Spojrzał spode łba i chciał się podnieść. Pokój zawirował dokoła niego.

— Ktoś musiał zadziałać po męsku — powiedział Allenby. — Nie miałem innego wyjścia,

Jeff. Nie mieliście lekko: ty, Merriam, Brewster i ci inni, ale…

Cody zrobił gwałtowny gest i jednocześnie wyciszył towarzyszącą mu myśl.

— Tak… — Allenby mówił dalej. — Ale nie odbieraj sobie życia, Jeff. Zabij kogoś innego. Zabij Jaspera Horne'a.

Krótki, piekący impuls przebiegł przez myśli Cody'ego. Znieruchomiał. Jego umysł czekał, by ta nowa, nieznana dotąd idea zapłonęła w samym jego jądrze.

Zabij Jaspera Horne'a.

O tak, Allenby jest mądry. Uśmiechał się teraz do Jeffa, a wyraz napięcia na jego krągłej, rumianej twarzy ustępował miejsca zadowoleniu.

— Lepiej się czujesz? Potrzebujesz ruchu, Jeff… konkretnego działania. Przez ostatnie miesiące tkwiłeś w jednym miejscu i się zadręczałeś. Są takie zobowiązania, z których nie można się wywiązać inaczej jak tylko poprzez czyny. Wobec tego użyj noża przeciwko Horne'owi, a nie przeciwko sobie.

Iskierka zwątpienia zamigotała w umyśle Cody'ego. Allenby zareagował.

— Racja, może ci się nie powieść i Horne zabije ciebie.

— To mu się nie uda — odparł Cody zmienionym głosem.

— Istnieje taka możliwość. Musisz zaryzykować. Dopadnij go. Takie jest twoje

pragnienie, chociaż nie zdajesz sobie z tego sprawy. Musisz kogoś zabić, a Horne jest aktualnie naszym najpoważniejszym problemem. Prawdziwym wrogiem. Więc zabij Horne'a.

Nie siebie.

Cody przytaknął w milczeniu.

— Świetnie. Zlokalizujemy go dla ciebie. Załatwię ci helikopter. Czy chcesz wcześniej zobaczyć się z Lucy?

Allenby dostrzegł kolejną falę niepokoju w myślach kolegi, lecz powstrzymał się od reakcji. Niezliczone, skupione na nich myśli, dyskretnie usunęły się, i czekały.

— Tak. Najpierw zobaczę się z Lucy. — Cody skierował się ku drzwiom jaskini.

Jasper Horne oraz to, co reprezentował, było przyczyną, dla której Łysi nie mogli sobie pozwolić na poznanie metody ukrytej pod kryptonimem operacja „Apokalipsa" oraz charakteru śmiercionośnego, wybiórczego wirusa, znanego kalkulatorowi. Należało strzec tej tajemnicy przed Jasperem Hornem i jego paranoidami, bowiem ich poglądy wyrażały się pytaniem: Dlaczego nie zabić wszystkich ludzi? Dlaczego nie robimy tego teraz, zanim oni zniszczą nas? Dlaczego nie uderzamy pierwsi, żeby uratować siebie?

Odpowiedź na te pytania była trudna, a Jasper Horne bardzo zgrabnie to wykorzystywał.

Jeżeli paranoidzi mieli jakiegoś przywódcę, był nim niewątpliwie Horne. Łysi nie mieli pewności co do tego, ile informacji na temat Jaskiń posiada ten człowiek. Wiedział o ich istnieniu, ale nie znał miejsca. Wiedział co nieco o tym, co dzieje się w ich wnętrzu, chociaż wszyscy Jaskiniowi Łysi nosili kaski zakłócające częstotliwość. Gdyby wiedział o Induktorze, z największą wyobrażalną przyjemnością spuściłby na niego — gdyby mógł — bombę i obserwował rosnący grzyb dymu. Wiedział na pewno o planach operacji „Apokalipsa", ponieważ robił wszystko, aby zmusić Łysych do uwolnienia wirusa, który mógł zgładzić wszystkich nie–telepatów.

Jasper Horne był w stanie także wymusić taką decyzję. Jeżeli… gdy wybuchnie totalny pogrom, wirus zostanie uwolniony, a wraz z nim rozpocznie się „Apokalipsa". Nie będzie wówczas innego wyboru. W sytuacji, kiedy własne życie zależy od uśmiercenia wroga, nikt się nie zawaha. A jeżeli wrogiem okażą się bracia…

Na tym właśnie polegał problem. Normalni Łysi uważali rasę zwyczajnych śmiertelników za bliskich krewnych. Dla paranoidów byli owłosionymi podludźmi, którzy zasługiwali wyłącznie na zniszczenie. Jasper Horne robił co w jego mocy, aby sprowokować konflikt.

Wywołać pogrom. Zmusić Łysych do wypuszczenia wirusa i wybicia owłosionej rasy.

Działał w świecie zdecentralizowanym, po–wybuchowym, zbudowanym na strachu, który kiedyś był uzasadniony. W dzisiejszych czasach żaden kolejny ruch nie wydaje się możliwy.

Cywilizacja oscyluje między powtórnym skurczeniem się a

rozprzestrzenieniem, i każdy człowiek, każde miasto zachowuje się podejrzliwie wobec wszystkich] pozostałych. Jak można mieć do kogoś zaufanie, nie znając jego myśli?

American Gun, Sweetwater, Jensen's Crossing, Santaclare i setki innych miast na całym kontynencie. Mężczyźni i kobiety zajęci własnymi sprawami, wychowywaniem swoich dzieci, uprawianiem ogródków, prowadzeniem sklepów i fabryk. Większość z nich to zwyczajni ludzie. Ale w każdym z tychamiast mieszkają także Łysi i wychowują swoje dzieci, prowadzą swoje interesy. Najczęściej łączą ich przyjazne stosunki. Niestety nie zawsze… nie zawsze.

Panujące od kilku tygodni uciążliwe upały połączone ze znaczną wilgotnością powietrza sprzyjają stopniowemu wzrostowi agresji. Dotychczas, nie licząc kilku pojedynków na sztylety, nikt nie odważył się wymierzyć pierwszego ciosu. Inni też są uzbrojeni. Każde miasto posiada swój zapas Bomb i może odwzajemnić atak z przerażającą dokładnością.

Pogrom był tylko kwestią czasu. Dotychczas tłum jeszcze się nie uformował, a potencjalni zwolennicy linczu jeszcze nie uzgodnili celu.

Lecz Łysi stanowili mniejszość.

Brakowało jedynie pretekstu, a paranoidzi dokładali wszelkich starań, aby go dostarczyć.

Cody popatrzył na szare, kamienne niebo jaskini i sięgnął po klucz do mieszkania Lucy.

Zawahał się w momencie, kiedy już miał zamiar pchnąć drzwi. Tym razem nie powstrzymało go niezdecydowanie, lecz świadomość tego, co może go tam spotkać.

Głęboka bruzda przecinała mu czoło, a wszystkie najdrobniejsze zmarszczki na twarzy były kurczowo ściągnięte na skutek nieustającego napięcia, którego doświadczał każdy Łysy od chwili zstąpienia do jaskiń.

Kamienne niebo zatrzymywało i tłumiło niezwykle skomplikowany labirynt myśli, które odbijały się od ścian, przeplatały i zazębiały w iście biblijnym chaosie. Jaskinia Babel, pomyślał gorzko Cody i z rezygnacją przekręcił klucz w zamku. Za drzwiami czeka go kolejny chaos. Wprawdzie ściany mieszkania osłonią go nieco przed zatęchłym, ponurym nastrojem panującym na zewnątrz, lecz tu, w środku, czuł coś, co jeszcze bardziej psuło mu nastrój. Mimo to

wiedział, że nie może wyjechać bez zobaczenia się z Lucy i dzieckiem.

Pchnął drzwi. Salon sprawiał całkiem miłe wrażenie. Pod trzema ścianami ciągnęła się szeroka, miękka kanapa, półki na kasety z literaturą rzucały na nią miękki cień barwy zielonego mchu, a na podłodze leżały porozrzucane kolorowe poduszki. Przyćmione światło.

Elektryczny kominek jarzył się za gotycką kratą niczym płonąca od wewnątrz miniaturowa katedra. Przez duże okno na czwartej ścianie widoczny był snop światła padający z okien salonu sąsiadów na chodnik. Po drugiej stronie ulicy — June i Hugh Bartonowie raczyli się przed kolacją drinkiem przy kominku. Przyjemny widok.

Lecz te jasne i ciepłe kolory gasił ciężki zapach rozpaczy, która towarzyszyła żonie Jeffa Cody'ego każdego dnia... jak długo? Ich syn miał trzy miesiące.

— Lucy!

Cisza. W mieszkaniu wisiała atmosfera nieszczęścia. Po chwili usłyszał skrzypienie łóżka w sąsiednim pokoju. I westchnienie. Lucy odezwała się niewyraźnie.

— Jeff?

Znowu cisza. Właśnie zamierzał iść do kuchni, kiedy ponownie usłyszał jej głos.

— Czy możesz mi przynieść z kuchni trochę whisky?

— Proszę bardzo — odpowiedział. Whisky jej nie zaszkodzi, pomyślał. Wszystko, co pomoże jej przetrwać tych kilka nadchodzących miesięcy, jest wskazane. Kilka miesięcy..?

Koniec nastąpi znacznie wcześniej.

— Jeff? — Lucy była bliska płaczu.

Zaniósł whisky do sypialni. Leżała na plecach w poprzek łóżka, opierając stopy o ścianę.

Jej rudawe loki rozsypały się na pościeli. Widać było ślad zaschniętych łez biegnący po policzku, aż do ucha, chociaż w tej chwili rzęsy miała suche. W rogu pokoju spało dziecko, w kokonie swoich własnych, chaotycznych myśli zwierzątka. Śniło mu się powoli płynące ciepło i bezkresna, wszechogarniająca miękkość: sen bezkształtny, złożony wyłącznie z faktury i usposobienia. Foremną główkę pokrywał jasnorudy puch.

Cody spojrzał na Lucy.

— Jak się czujesz? — Zrozumiał, że to głupie pytanie.

Nie ruszając się z miejsca, przesunęła wzrok. Spod półprzymkniętych powiek rzuciła mu lodowate spojrzenie pełne cierpienia i nienawiści. Na nocnym stoliku, w zasięgu jej ręki, stała pusta szklanka. Cody podszedł bliżej, odkorkował butelkę i zaczął nalewać bursztynowy płyn.

Pół szklanki, trzy czwarte… Lucy nie zamierzała powiedzieć, ile. Zatrzymał się przy trzech czwartych i odstawił butelkę.

— Nie musisz o to pytać — odpowiedziała posępnie.

— Nie czytam twoich myśli. Lucy wzruszyła ramionami.

— No, proszę.

Patrzył na pogrążone we śnie niemowlę i milczał. Lucy usiadła na łóżku tak gwałtownie, że aż jęknęły sprężyny. Cody przestraszył się, ponieważ nie zdążył odgadnąć w jej myślach spontaniczności tego ruchu.

— On nie jest twój. Jest mój. Cały mój… taki jak ja… jak moja rasa. Nie… — myśl biegła dalej — …jego krew jest bez skazy. On nie jest odmieńcem. Nie jest Łysym. To śliczne, normalne, zdrowe dziecko… — Nie mówiła tego na głos, ale przecież nie musiała tego robić.

Podjęła przerwaną myśl i z rozmysłem pozwoliła jej rozwijać się dalej, świadoma tego, że równie dobrze mogła to powiedzieć głośno. Bezbarwnym tonem dodała na głos:

— Tego też nie przeczytałeś?

Bez słowa podał jej szklankę.

Upłynęło już pięć lat od zrzucenia bomby na Sequoię. Pięć lat, od kiedy mieszkańcy jaskiniowej kolonii, być może po raz ostatni, widzieli światło dnia. Ludzie doprowadzeni do jaskiń z Sequoi zaadaptowali się do nowych warunków z rezygnacją, niechęcią lub poczuciem wyrządzonej im krzywdy, w zależności od temperamentu. Ich zadowolenie było dziełem wytrawnych psychologów, którzy potrafili widzieć ich myśli i czytać potrzeby, zanim te zdążyły przybrać konkretną formę. Mimo to dawni mieszkańcy Sequoi pozostawali więźniami.

Małżeństwa mieszane zaczęto zawierać już w pierwszych miesiącach niewoli.

Przeprowadzono w ten sposób doświadczenie na wielką skalę, możliwe wyłącznie w jaskiniach, w sztucznych warunkach. Powodem tej decyzji była chęć zmniejszenia poczucia izolacji wśród więźniów i

zademonstrowania im przyjaznych zamiarów.

W rzeczywistości bowiem żaden telepata nie pragnie zawierać związków małżeńskich z nie–telepatą, bo chociaż wśród tych ostatnich procent odpowiednich partnerów jest taki sam jak wśród Łysych, to jednak, w opinii telepaty, zwyczajny śmiertelnik jest osobnikiem upośledzonym. Jak piękna dziewczyna wyposażona we wszelkie atrybuty ciała i umysłu, ale głucha, niema i niewidoma. Wprawdzie można porozumiewać się z nią językiem migowym, ale dzielące bariery pozostaną na zawsze.

Jest jeszcze dodatkowy czynnik: w przypadku każdej istoty ludzkiej, która wchodzi w życie wyposażona w to co najlepsze w sferze dziedziczenia i środowiska, cienie więziennej egzystencji zaczynają powoli acz nieubłaganie blednąć pod naporem wszystkich nie rozwiązanych problemów I życiowych, nawet tych nie uświadomionych. Inaczej rzecz się ma wśród Łysych. Oni zawsze mają przyjaciół skorych do pomocy w chwilach kryzysu i zwątpienia. Zachowana jest stała kontrola i równowaga, dzięki której Łysi nigdy nie cierpią na wewnętrzne dylematy, te częściowo tylko uświadomione chmury chaosu i dezorientacji, kładące się cieniem na poczucie szczęścia zwyczajnych istot ludzkich. W umyśle telepaty jest stosunkowo niewiele ciemnych zakamarków wypełnionych zwątpieniem i lękiem. Tak klarowna osobowość jest praktycznie nieosiągalna dla ludzi.

Telepata może cierpieć na psychozy, lecz tylko w warunkach długotrwałego stresu, jaki w przypadku normalnego człowieka objawiłby się niechybnym załamaniem. (Inną klasę stanowią paranoidzi, bowiem w grę wchodzi tu genetyka). . Zatem takie mieszane małżeństwo musi być, w najlepszym przypadku, związkiem istoty chłonnej, wrażliwej i w pełni świadomej z osobnikiem mrocznym i niepewnym siebie, niedoskonałym w sferze kontaktów i nieodmiennie, na pewnym poziomie, pałającym podświadomą niechęcią.

Mimo to, już prawie wszyscy nie–telepaci w odpowiednim wieku zamieszkujący jaskinie przeszli okres zalotów i założyli rodziny z telepatycznym partnerem. Jest sprawą oczywistą, że tym samym wiązali się ze szpiegiem, psychoanalitykiem pełnym dobrej woli, choć nie zawsze akceptowanym i, co najważniejsze, potencjalnym rodzicem

kolejnych telepatów.

Gen telepatyczny jest genem dominującym, a to znaczy, iż dzieci przychodzące na świat były prawie zawsze telepatami. Oprócz przypadku, gdy telepatyczny współmałżonek posiadał jeden recesywny gen nie–telepatyczny i jeden gen dominujący.

To właśnie przydarzyło się Lucy i Jeffowi Codym…

Ludzie mieli na zawsze pozostać w jaskiniach. Tylko Łysi w kaskach mogli znać ich los, ponieważ gdyby taka informacja dotarła do reszty świata, automatycznie nastąpiłby wybuch długo oczekiwanego pogromu. Ani jedno ludzkie dziecko nie mogło wydostać się na zewnątrz, chyba że w wieku niemowlęcym, aby niczego nie pamiętało. Natomiast mali telepaci od swoich pierwszych dni wkraczali w szeregi strażników. Wszystko to w nadziei, iż w ciągu jednego lub dwóch pokoleń wszyscy więźniowie zmieszają się z Łysymi i cała kolonia powróci do pierwotnego stanu społeczności całkowicie telepatycznej.

Tak wyglądały założenia początkowe, lecz rosnące napięcia sprawiły, że plan stracił aktualność.

* * *

Lucy otarła usta wierzchem opalonej dłoni i podała Cody'emu pustą szklankę. Odczekała, aż rozgrzewająca whisky spłynie powoli, powlekając ciepłem ścianki żołądka.

— Napij się — powiedziała — To pomaga.

Cody nie miał ochoty, lecz nalał sobie naparstek i posłusznie wypił. Po chwili Lucy westchnęła, usiadła po turecku na łóżku i ruchem głowy odrzuciła włosy z czoła.

— Przepraszam. To nie ma sensu.

Oparła dłoń na kapie. Cody, uśmiechając się ze smutkiem, ujął rękę żony.

— Mam spotkanie na zewnątrz — tłumaczył się. — Za parę minut muszę wyjść.

Rzuciła nie kontrolowane, rozpaczliwe spojrzenie w kierunku łóżeczka stojącego w rogu pokoju. Jej myśl, na początku niewyraźna, lecz potem rozjaśniona alkoholem, rozwinęła się niczym flaga. Cody aż skrzywił się pod jej naporem, ale jako małżonek nie–telepaty był bardziej zdyscyplinowany niż większość Łysych i niczego nie dał po

sobie poznać.

— Nie, to nie o to chodzi. Nie zabiorę go, dopóki ty nie podejmiesz tej decyzji.

Spojrzała na niego z lękiem.

— Za późno?

— Nie — pospieszył Cody. — Oczywiście, że nie. On jeszcze niczego nie pamięta.

Jej ruchy wyrażały niepewność.

— Nie chcę go trzymać tutaj. Wiesz przecież o tym. Wystarczy, że cierpię na samą myśl, iż mój syn nigdy… — Urwała myśl o blasku słońca, błękitnym niebie, otwartej przestrzeni.

— Jeszcze nie teraz — powiedziała, spuszczając nogi z łóżka. Rzuciła dziecku puste spojrzenie i boso ruszyła w stronę kuchni, od czasu do czasu opierając się o ścianę. Cody mimo woli sięgnął ku jej myślom, wycofał się i wstał, aby pójść w jej ślady. Stała przy zlewie i nabierała wody do szklanki. Piła łapczywie, tępo patrząc przed siebie.

— Muszę iść. Nie martw się, Lucy.

— Jakaś… kobieta — wymamrotała znad szklanki. — Masz… kogoś. Jestem pewna.

— Lucy…

— Taka sama jak ty — powiedziała i upuściła szklankę do zlewu. Szklanka potoczyła się srebrzystym łukiem, rozchlapując wodę.

Cody mógł posłać Lucy jedynie bezradne spojrzenie. Nie mógł jej nic powiedzieć. Nie mógł jej powiedzieć, że ma zamiar zabić Jaspera Horne'a. Nie mógł mówić o Operacji

Apokalipsa, o Induktorze, ani o odpowiedzialnym stanowisku, jakie zajmuje. Nie mógł powiedzieć: „Jeżeli zdążymy ulepszyć Induktor, Lucy, będziesz wolna… ty i nasz syn" albo „Może będę zmuszony was zabić… ciebie, nasze dziecko i wszystkich nie–telepatów na całym świecie… w trakcie Operacji Apokalipsa".

Nie, nie miał dla niej żadnych słów.

Przeciągnęła mokrą dłonią po twarzy, odsunęła włosy, popatrzyła na niego mętnym wzrokiem i boso, chwiejnym krokiem przeszła przez kuchnię. Przytuliła policzek do jego ramienia i objęła go.

— Przepraszam. Odchodzę od zmysłów. Tobie też jest ciężko, Jeff.

— Tak.

— Odeślemy go w przyszłym tygodniu — obiecywała. — I już będę

znowu normalna.

Nie… nienawidzę whisky. To dlatego, że…

— Wiem. — Odgarniał mokre włosy z jej twarzy i szukał słów, aby wyrazić napierające fale miłości, żalu, wyrzutów sumienia, strachu i bólu, które nieustannie huczały w jego umyśle, kiedy przebywał z nią lub o niej myślał. Łysym najczęściej brakuje słów, gdy zachodzi potrzeba wyrażenia odcieni uczuć. Między sobą nie muszą posługiwać się stówami.

— Bądź cierpliwa, Lucy — odezwał się w końcu. — Zanosi się na coś niedobrego. Mamy niewiele czasu i może mi się nie udać. Przyjdę… przyjdę do domu, jak tylko będę mógł.

— Wiem, kochanie, że wrócisz. Chciałabym coś zrobić…

Przytulił ją.

— Przyniosę ci coś ładnego — obiecał. — Niespodziankę. Nie wiem jeszcze, co to będzie, ale na pewno ci się spodoba. Lucy, po tym… za tydzień… jeżeli rzeczywiście tak zrobisz… możemy się przenieść. Poszukamy czegoś nowego w Jaskini Siódmej. Zamówisz nowe meble i zaczniemy… — Nie bardzo wiedział, co mówi. Iluzja i rzeczywistość stały się trudne do rozróżnienia.

— Coś wymyślimy, kochanie — mówiła Lucy. — Dobrze.

— Pójdę już. Skinęła głową.

— Będę tęskniła za tobą. Wracaj szybko.

Cody zatrzasnął za sobą kratę windy, oparł głowę o stalową ścianę i opadł ciężko na ławkę, jednocześnie formując w myślach sygnał kodu, który uruchamiał mechanizm. W odpowiedzi jakiś zatroskany umysł podsunął mu kolejny segment szyfru, ktoś inny (ktoś, kto bardzo spieszył się na kolację) dorzucił resztę brakujących symboli. Te trzy wyobrażenia musiały się nałożyć na siebie, aby uruchomić' windę. Środek ostrożności. Tylko telepaci mogli obsługiwać wyjścia awaryjne.

Pchnął pochyłe drzwi. Jego oczom ukazała się plątanina ociekających wodą liści, a w nozdrza uderzył ostry zapach mokrej sosny i deszczu. Spłoszony zając wyskoczył spod krzaka. Cody zamknął zamaskowane wejście i podniósł wzrok, mrużąc oczy przed strumieniami deszczu. Gdzieś z góry dobiegło go bezgłośne powitanie, rozległ się szum silnika i z mroku bezszelestnie wynurzyła się ciemna lina. Wsunął stopę w strzemię i natychmiast poczuł lekkie szarpnięcie kosza, który zaczął się unosić, zanim Cody się w nim usadowił. Wiszący

w miejscu helikopter pochłonął go rozwartą szczęką.

Arn Friedmann nie odrywał wzroku od przyrządów pomiarowych. Nie mógł tego zrobić.

Niski, krępy Arn, którego poważny wygląd i zachowanie nie odznaczały się niczym szczególnym, pochylił głowę w ciemnej czapeczce, żeby lepiej widzieć przez strumienie deszczu. Podzielił swoją uwagę na tyle, aby wykonując aktualne zadanie, przekazać bezgłośne powitanie.

Przez chwilę Cody siedział wygodnie, pozwalając, aby chłodna i niezmącona cisza otwartej przestrzeni oczyściła jego myśli. Przypominało to rozluźnianie długo napiętych mięśni. Tłumiona niechęć, poczucie winy, lęki i napięcia wypełniały jaskinię do tego stopnia, iż telepaci oddychali tam z trudem.

Friedmann miał do przekazania pilną wiadomość. Cody czuł, że ta informacja czeka na zewnętrznej krawędzi świadomości Arna, aż przybysz nacieszy się czystym powietrzem.

Myśl krążyła jak helikopter, cierpliwie czekając na sygnał.

Pod nimi sosnowe lasy, rozmazane w strugach deszczu, umykały w przeciwnym kierunku.

Woda ściekała po szybach. Silnik przyjemnie szumiał w rześkim powietrzu. Lucy. Od pięciu lat nie oglądała deszczu, drzew, nieba. Przed nią jeszcze całe życie bez takich widoków albo szybka śmierć, lub… Induktor.

— Potrzebujemy więcej czasu — myślał Friedmann. — Jeżeli pogrom wybuchnie teraz, to się rozprzestrzeni. Podejrzewam, że paranoidzi na to liczą. Infiltrują ważniejsze miasta… wszędzie tam, gdzie mogą się zacząć rozruchy. Na przykład w American Gun. Jasper Horne się tam zjawił.

— Kiedy?

— Trzy tygodnie temu. Nie oszczędza się. Sam wiesz, na czym to polega. Czytają czyjeś myśli i w odpowiednim momencie podrzucają jakieś słówko, żeby wzmóc napięcie. Zdaje się, że Home w każdej chwili może sprowokować zamieszki w American Gun.

— Nie zrobi tego, jeżeli umrze. — W myśli Cody'ego zabrzmiała nuta ponurej przepowiedni. Rozparł się w fotelu, patrzył, jak mgła pędzi za szybą i myślał o American

Gun. Miasteczko hazardu. Chociaż działało tam znane

laboratorium badawcze oraz mistrz rzemiosł plastycznych, domy gry stały się jego wizytówką. Do American Gun przyjeżdżało się po to, by grać.

To właśnie będę robił, pomyślał Cody. Obserwował, jak krople deszczu na oknie wysychają w promieniach słońca.

Friedmann wysadził go na przedmieściach American Gun i skierował swoją maszynę na wschód. Miał coś do załatwienia w Bleeding Kansas, odległego o pięćset mil. Cody patrzył na helikopter wzbijający się w idealnie czyste niebo.

American Gun leżało w wielkiej, półkolistej, otoczonej wzgórzami dolinie, którą przecinała i otaczała szeroka, leniwie płynąca rzeka. Na odległej plaży widać było postacie jak porozrzucane zapałki, a po rzece sunęły łodzie, przezroczyste plastikowe kajaki i połyskujące skify. Ciemniejsze kropki na zielonym tle to pływacy. Od rzeki ciągnął gorący powiew.

Cody stał na pagórku, z którego roztaczał się widok na American Gun. Teraz, mając przed sobą jasno wytyczony cel, rozpoznawał w sobie kojącą ciszę. Na luźną zabudowę miasta składało się ze sto domów, w tym kilka całkiem pokaźnych. Wszędzie dużo drzew, bujnych gdyby nie to, że wszystkie, oprócz tych nad rzeką, smętnie zwiesiły liście. Tylko dzieci poruszały się żwawo. Pod dębem zauważył niewielką grupkę ludzi, którzy urządzili sobie piknik dokoła białego prostokąta. Od bieli obrusa wyraźnie odcinała się czerwień i zieleń arbuza. Obok Cody'ego wolnym truchtem przebiegł biały piesek z wywieszonym językiem.

Omiótł człowieka znudzonym, lecz czujnym spojrzeniem. W jego myślach majaczył obraz straszliwej bestii, większej od tygrysa, z pyskiem ociekającym śliną. Cody z niejakim trudem rozpoznał w owym strachu jamnika, którego obawiał się biały piesek.

W dobrym nastroju schodził do miasteczka. Szedł niespiesznym krokiem. Wilgotne, ciepłe powietrze przyjemnie muskało skórę. Bezwiednie pozwolił, aby strumienie myśli ogarnęły go niczym szum morza. Mechanicznie, jak, w transie, szedł w stronę długiego budynku w stylu bizantyjskim i obserwował, jak z każdym krokiem gmach rośnie w oczach.

... Na ziemi jest dużo miejsca. To jasne, że oprócz ludziki zamieszkują ją także inni wrogowie. Człowiek zajmuje się wojną bez

przerwy od chwili, gdy stanął na dwóch kończynach i nigdy nie ogłosił zawieszenia broni w walce z najstarszym swoim przeciwnikiem. Tym, który płonie na rozpalonym błękicie nieba, potrafi ukryć się w ziemi rozgrzany do czerwoności, trujący i niewidoczny, tym, który w tej chwili znika w wodach rzeki, ale może wznieść się i wszystko zalać. Tym, który nęka nieświadomą i obojętną ludzkość, którego odwieczna siła bezustannie łomocze w tamę wzniesioną przez ludzki umysł.

Wróg i przyjaciel zarazem — dar bogów. Bez niego, bez sił fizycznych i chemicznych, które stworzyły powietrze, wodę, tę płaską, żyzną dolinę, życie nie byłoby możliwe.

Czarodziejski dar — ta planeta. Trzeba jej strzec, pielęgnować ją i czuwać nad nią; trzeba umieć przewidywać i kontrolować ją — a będzie nam służyć. Jeżeli w ferworze bratobójczej walki zapomnimy o niej, bezlitosne słońce, powodzie, zabójcze zimno i mikroorganizmy będą działać nadal, według swojego starego systemu, w którym nie ma miejsca dla człowieka.

Niczym Bóg!

Dotarł do niewielkiego parku przed bizantyjskim budynkiem. Na pożółkłych trawnikach więdły drzewa. Złote rybki w płytkiej prostokątnej sadzawce wystawiały otwarte pyszczki nad powierzchnię wody i z pluskiem zanurzały się z powrotem. Mijając sadzawkę, Cody zajrzał bez trudu do ich pustych móżdżków jak jasne, sztywne płomyki urodzinowych świeczek.

Nie wszedł do budynku. Nie miał takiego zamiaru. Ruszył do jednego z półtorametrowej wysokości postumentów, stojących w nieregularnych rzędach przed frontonem. Zatrzymał się przed takim, który akurat nie był w użytku. Grupka mężczyzn i kobiet pochylała głowy, zaglądając we wzierniki podobnych urządzeń. Chętnych nie było wielu. Panował upał, nawet w cieniu.

Cody pochylił się nad wziernikiem swojego postumentu, wygrzebał z kieszeni monetę i wsunął do otworu. Czerń stopniowo wypełniły jaskrawe litery: Radio–kobalt. Następnie jeden po drugim ukazywały się różne numery. Na chybił trafił wcisnął jeden z guzików. Mechanizm zaczął działać. Zorientował się, że zagląda do powiększonego wnętrza komory Wilsona, upstrzonego świetlistymi szlakami aktywności subatomowej. Licznik umieszczony tuż nad obrazem odnotowywał liczbę zderzeń. Jeżeli uda mu się z niewielkim błędem odgadnąć ich

ilość, może rozbić pulę i udowodnić…

Pudło. Pudło. Lecz gdy zaczął wybiegać myślami nieco dalej, w otaczających go umysłach wyczuł palące, niespokojne wyczekiwanie i pojął, że zwycięstwo dla większości z nich będzie niezwykle istotnym dowodem.

Bowiem w tych myślach nie było żadnej pewności siebie. Przygniatał ich strach wiszący nad światem od czasu Eksplozji, który dał każdemu miastu niezawodną broń w postaci składu bomb. Zamiast barier między narodami, wzniesiono mury dookoła każdego miasta… i każdej jednostki. Przetrwanie nadal zależało od przypadku… od ślepego losu.

To dlatego prosperowały miasta hazardu, takie jak American Gun. Tutaj, w kasynach, przy automatach, ruletce, kościach i kartach nadarzała się okazja udowodnienia sobie, iż bogini z opaską na oczach czuwa i że nadal jest bezpiecznie. Niepewność społeczna stawała się niepewnością mechaniczną ujawniającą się w układzie kości i kart lub w ruchu koła, a odpowiedzialność jednostki przeszła w ręce pani, którą Grecy nazywali Tyche, a Rzymianie Fortuną.

Cody czuł, jak mijają go goście wchodzący i wychodzący z kasyna. Odniósł wrażenie, iż w gorącym powietrzu przeskakują iskry. Prawdopodobnie z powodu stale narastającego napięcia, jakie promieniowało ze źródła, którego ludzie nie byli w stanie ani rozpoznać, ani zlekceważyć. Ale Cody je znał. Jasper Horne od kilku tygodni nie próżnował w American Gun.

Jeżeli gdzieś można sprowokować pogrom, to właśnie tutaj.

Tu, w American Gun, znajdowała się ta siła, która pchnęła Cody'ego w stronę dylematu, z całą bezwzględnością wymuszając na nim wybór, na jaki nikt by się nie zdecydował bez szukania łatwiejszego rozwiązania. To stąd płynęła siła, która kazała mu wziąć do ręki nóż i przyłożyć do własnej szyi.

Jasper Horne, pomyślał Cody, wpatrując się w linie płonące w komorze Wilsona. Jego myśli uporczywie kierowały się ku temu celowi. Allenby miał rację, tam w Jaskiniach.

Rzeczywistą intencją Cody'ego jest zabicie Horne'a, a nie siebie, ponieważ ryzykuje tylko własnym życiem. W ten sposób nie dopuści się zdrady, jaką byłoby zrzeczenie się odpowiedzialności za wszystkich telepatów. Paranoidzi zawsze byli wrogami, od samego początku.

Zawsze usiłowali podkopywać akceptację Łysych przez resztę ludzkości. To oni doprowadzili do zniszczenia Sequoi i konieczności uwięzienia ludzi w Jaskiniach. Gdyby do tego nie doszło, nie poznałby Lucy. Byłaby teraz o wiele szczęśliwsza, on również. Lecz dzisiaj, niezależnie od tego, jak bardzo mogliby tego pragnąć, nie znajdą żadnej odpowiedzi ani dla siebie, ani dla swojego dziecka: Z tej sytuacji nie ma wyjścia. Obojętne, co się wydarzy, pozostaną nie zabliźnione rany.

Ziemia jako taka jest zarówno wrogiem, jak i sprzymierzeńcem. Do wrogiego obozu należą wszyscy paranoidzi. Jasper Horne znajduje się teraz w American Gun, niedaleko od Jeffa Cody'ego, który musi go zgładzić, choćby tylko dlatego, że Horne i jemu podobni uczynili Łysych zabójcami.

Świetliste linie w komorze jonizacyjnej zgasły. We wzierniku zapanowała ciemność. Cody nie zdobył ani jednego punktu. Wrzucił kolejną monetę do otworu i ponownie obserwował zderzenia elektronów. Wybiegał umysłem naprzód, by osaczyć swoją zdobycz.

Wewnątrz budynku, w samym centrum plotki American Gun, myśli wirowały niczym koła ruletki. Od czasu do czasu Cody łowił wyobrażenia, które odpowiadały obrazowi Horne'a.

Stopniowo, jak kierunkowa antena, selekcjonował przechwytywane myśli, aż do uzyskania całkiem wyraźnego obrazu zachowań przeciwnika. Ale jednocześnie nabierały wyrazistości także inne sprawy, na przykład, przyspieszony rozwój wydarzeń w miasteczku. Tylko telepaci potrafili skojarzyć go z obecnością paranoidów.

Od dwudziestu czterech godzin w American Gun nie ogolił się żaden mężczyzna. Och, było paru ogolonych, ale niewielu. Łysi, rzecz jasna, nie musieli tego robić. Kilku odważnych nie–telepatów odważyło się zaryzykować. W pobliskich laboratoriach naukowych bojkot nie znalazł zwolenników. Mężczyźni o gładkim obliczu poruszali się w kręgu podejrzliwych spojrzeń, zostawiając za sobą szlak wrogich pomruków.

Zgładzenie Horne'a może okazać się podwójnie trudne. Przemoc sprowokowałaby pogrom, a tego przecież chciał Cody uniknąć, eliminując Horne'a. Trzeba go zabić w ustronnym miejscu, przede wszystkim z daleka od potencjalnych przywódców tłumu, którzy mogą wzniecić rozruchy. (W American Gun byli tacy ludzie: Horne już ich

odnalazł. To oni w odpowiedniej chwili pokierują motłochem.) …jest pod „Ostatnią Szansą”.

Cody podniósł głowę. Natychmiast oślepił go kontrast między głębokim granatem cienia i blaskiem słońca. Na podstawie wcześniej zdobytych danych układał w myślach plan miasta.

„Ostatnia Szansa” znajduje się zapewne w części północnej American Gun, nie opodal laboratoriów. Horne może, ale i nie musi, nadal tam przebywać. Niemniej jednak ułatwi to odnalezienie jego śladów.

Obszedł sadzawkę ze złotymi rybkami, minął drżące płomyki pływających móżdżków i wybrał ścieżkę prowadzącą przez miasto na północ. Jego myśli ciągle badały przestrzeń.

Kilkakrotnie przechwycił komunikaty innych Łysych, dzięki którym mógłby natychmiast i z wielką dokładnością zlokalizować Horne’a, lecz brak kasków sprawiał, że ich myśli były czytelne także dla paranoidy. Atak na Horne’a musi być dla niego zaskoczeniem. Cody podniósł ramię, aby dotknąć delikatnej siatki włókien pod peruką. Dopóki ma kask, Horne nie pozna jego myśli.

Tłum gęstniał. Pogłoski wymieniały się z przytłumionym trzaskiem, jak wyładowania w rozgrzanym powietrzu, znajdując po drodze potwierdzenie. Minionej nocy ktoś (umysł

Cody’ego przechwycił wyszeptaną informację) włamał się do banku w Gold Horseshoe, ale umykając z miejsca przestępstwa z dwoma wypchanymi workami, zgubił na progu perukę, obnażając łysą czaszkę. Tak, to Łysi odrzucili maskę i zgarniają forsę, jak tylko potrafią, przygotowując się do godziny zero, kiedy przejmą władzę…

Przyspieszył kroku. Słyszał zbłąkane myśli Łysych z American Gun. Sytuacja wymyka się spod kontroli. Taka informacja sunęła bezgłośnie od umysłu do umysłu, od grupy do grupy, od telepatów, którzy ze stoickim spokojem załatwiali swoje sprawy wśród ludzi, nie dając po sobie poznać, że ich myśli tłoczą się na krawędzi strachu. Matki zatrzymały dzisiaj swoje dzieci w domu, a ojcowie zatankowali paliwo do helikopterów.

Ponad głowami tłumu Cody dostrzegł jaskrawy neon „Ostatniej Szansy”. Szedł prosto przed siebie, szukając myślami obecności Horne’a. Pomimo bezgłośnych napięć, które wzbierały i przeszywały gorące powietrze, Cody czuł, że jest dziwnie szczęśliwy. Po raz pierwszy

od wielu miesięcy wszystko wydało mu się bardzo łatwe i proste. Zabij Horne'a. To wszystko, to wystarczy. Zabij Horne'a, powtarzały jego myśli, wolne od wszelkich wątpliwości i niepewności, które towarzyszyły mu od lat.

Zatrzymał się przed staroświeckimi drzwiami na fotokomórkę prowadzącymi do „Ostatniej Szansy". Ponownie owiały go pogłoski, jakby wcześniej nikt o nich nie mówił. W tych szeptach mówiono o helikopterach towarowych, które z powodu wycieku paliwa ratowały się przymusowym lądowaniem, i o mechaniku, który krzątając się wśród ładunku niechcący oderwał listewkę od skrzyni z pomarańczami. Wśród owoców znajdowały się jakieś podejrzane karabiny... Może atomowe? Trzy bomby starannie opakowane wpiankę lateksową? Uśpieni ludzie po drodze do tajnego laboratorium, gdzie Łysi przeprowadzają wiwisekcje?

Niewidzialny podmuch poruszył gorące, nieruchome powietrze.

Aura paranoidów. Tak jak u chorego na padaczkę atak poprzedzony jest trudnym do zdefiniowania przeczuciem grożącego niebezpieczeństwa, tak fizyczne zbliżanie się paranoidy zwiastuje mroczna aura emitowana przez chory umysł. Cody znał już to uczucie, lecz za każdym razem od nowa wydawało mu się, iż coś się kurczy, jakby jego kontakt z otaczającym, jasnym, upalnym i zielonym światem słabł i urywał się na ułamek sekundy.

Skręcił niespiesznie, przeszedł przez ulicę, mijając niespokojne, pomrukujące grupki zarośniętych mężczyzn i ich nieprzyjazne spojrzenia. Przed nim znajdowała się skromna jadłodajnia „Pod Śmigłem". Aura gęstniała. Zatrzymał się przed drzwiami restauracji i sięgnął yślami do środka.

Znalazł się w rzece pogłosek. Czyjś znajomy sąsiadował z Łysym, który miesiąc temu stracił trzy palce w pojedynku, a teraz miał trzy nowe palce, przeszczepione w prywatnym szpitalu dla telepatów. (Że Łysi się nie pojedynkują?... To nieważne!) Ich lekarze potrafią robić cuda, ale nie dla ludzi, prawda? Jeżeli się ich szybko nie opanuje, to nie wiadomo, co się jeszcze może wydarzyć.

Umysł Jaspera Horne'a, nabrzmiały arogancją, czujny, podejrzliwy, rozsiewał w restauracji swoje mroczne myśli: egotyczne, pełne pychy, wrażliwe i niezmienne. Wśród nich, przygasając i rozpalając się jak iskra pod warstwą szarego popiołu, niewyraźnie migotała myśl, która

sprawiła, iż Cody zatrzymał się przed drzwiami restauracji i znieruchomiał w obawie, że paranoida wyczuje jego obecność.

Horne nie przybył do American Gun w celu rozpoczęcia pogromu.

Jego prawdziwy motyw okazał się jeszcze bardziej potworny. Chodziło o...

O co?

Tego Cody na razie nie wiedział. Dostrzegł jedynie zarys myśli, ale sam jej cień wystarczył, aby w jego umyśle rozległ się nadzwyczajny sygnał ostrzegawczy. Powód, jakim kierował się Horne, był głęboko ukryty. Cody nie miał wątpliwości, iż należy do niego dotrzeć.

Oparł się o ścianę domu i rozglądał leniwie, podczas gdy jego, umysł wysuwał spod kasku delikatne i wrażliwe macki w kierunku Horne'a.

Ostrożnie... ostrożnie.

Paranoida siedział sam w loży pod najdalszą ścianą restauracji. Wytłumił myśli, koncentrując się na posiłku, ale podświadomie rozważał kwestię, która przez chwilę zatryumfowała na powierzchni. Ukryta w podświadomości, będzie dla Cody'ego nieczytelna, chyba że posłuży się sondą, którą Horne natychmiast wyczuje.

Lecz Cody znał sposób. Zastosowanie odpowiednich sygnałów wywoła spodziewaną reakcję w każdym umyśle. Hasła takie należy wprowadzić do umysłu Horne'a ze szczególną ostrożnością, tak aby wydały mu się zupełnie naturalne i jego własne. Ponad szemrzącymi grupkami mężczyzn Cody przeniósł wzrok na „Ostatnią Szansę". Horne był tam pół godziny temu. To uczciwe hasło. Delikatnie podsunął Horne'owi pojęcie „Ostatnia Szansa".

Umysł paranoidy drgnął czujnie, począł szperać, niczego nie znalazł (Cody'ego chronił kask) i wówczas przynęta zaczęła przyciągać odpowiedzi.

Hazard w ,,Ostatniej Szansie" ale to tylko ja gram naprawdę z nimi wszystkimi z ich życiem mogę ich wszystkich zabić jeżeli w porę... muzyka z wideokasety przerwała tok myśli.

Horne uniósł widelec i powrócił do jedzenia.

Cody dostroił rytm swoich myśli do muzyki i przekazał informację Horne'owi.

Zabij ich wszystkich zabij wszystkich zabij wszystkich.

Uwolnić wirusa, padła odpowiedź sprowokowana przez bodziec,

który Horne przyjął za własny. Pomerance z każdym dniem jest coraz bliżej kontrola rezonansu mutacja wirusa zabić ich zabić wszystkich ZABIĆ WSZYSTKICH ZABIĆ WSZYSTKICH.

Cody zebrał wszystkie siły, aby oprzeć się rozpalonemu do czerwoności szaleństwu, jakie biło od paranoidy.

Pomerance, myślał, Pomerance.

Pomerance w laboratorium, odpowiedział Horne i przedstawił zmysłowy obraz. Tuż obok, dwie ulice dalej, znajdowały się laboratoria, a w nich człowiek o nazwisku Pomerance, biochemik, nie–telepata. Prowadził badania, które w przypadku powodzenia umożliwią paranoidom produkcję wirusa tak samo śmiercionośnego i wyspecjalizowanego jak wirus operacji „Apokalipsa".

Oto prawdziwy powód, dla którego Horne przybył do American Gun. Pogrom to jedynie przykrywka: kamuflaż dla zmylenia Łysych, który miał umożliwić Horne'owi telepatyczne śledzenie eksperymentu Pomerance'a, aby doprowadzić do celu, jakim ma być druga operacja „Apokalipsa" wypracowana przez samych paranoidów.

To jasne, że Pomerance'owi przyświecał inny cel. Biochemik zamierzał wyprodukować nowe, bardziej skuteczne bakteriofagi, lecz metoda, którą musi zastosować, może posłużyć celom znacznie bardziej okrutnym.

Ostrożnie manipulował myślami paranoidy. Pomerance może ponieść porażkę. Horne zdawał sobie z tego sprawę. Wówczas, w każdej chwili można się spodziewać wybuchu pogromu. Lepszym wyjściem będzie wyprodukowanie i użycie wirusa, który zabija ludzi, gdyż w przeciwnym wypadku podczas zamieszek zginą także paranoidzi, bowiem sytuacja dojrzała do pogromu. Horne przyczynił się do wzrostu napięcia w American Gun. Znalazł przyszłych przywódców i w każdej chwili może dać hasło do rozruchów, co stanie się sygnałem dla wszystkich paranoidów do podjęcia takiej samej akcji w całym kraju.

Uniwersalny pogrom zmusi Łysych do rozpoczęcia operacji „Apokalipsa"... I tak zostanie osiągnięty ten sam cel. Lepiej wstrzymać się jeszcze jakiś czas, niedługo, i obserwować postępy doświadczeń Pomerance'a, który zdaje się być bardzo blisko celu.

Niebezpiecznie blisko, pomyślał Cody, pochylając się nieco w stronę drzwi restauracji.

Tylko marnuje czas. Zabij Horne'a, zabij go teraz, powtarzał w myślach. Wahał się jedriak zaintrygowany czymś, co dostrzegł w umyśle paranoidy. Na chybotliwych fundamentach tej chorej osobowości wyrastała zbyt wielka pewność sukcesu. Za tą zaskakującą nieobecnością niepokoju kryć się musi jakiś powód.

Nowe sugestie Cody'ego delikatnie otarły się o umysł Horne'a. Tak, ta przyczyna istnieje.

Bomba ukryta w pracowni Pomerance'a.

Dlaczego?

Cody ostrożnie przejął informację od Horne'a. Nie wolno dopuścić, aby żywy biochemik dostał się w ręce Łysych. Bomba eksploduje w chwili, gdy Horne przywoła do świadomości grupę symboli... myśli paranoidy pospiesznie odsunęły się od złowieszczego równania... a także wówczas, gdy jego umysł przestanie wysyłać sygnały.

Czyli wtedy, gdy Horne umrze.

Przerwa w przepływie strumienia fal nieustannie emitowanych we śnie i na jawie przez umysł Horne'a spowoduje, jak w alarmie przeciwwłamaniowym, przerwanie obwodu i włączenie urządzenia alarmowego: bomby, która zabije Pomerance'a. Myślowy obraz laboratorium dostarczył Cody'emu dokładnej informacji co do lokalizacji bomby.

Jeżeli zabije Horne'a, Pomerance także zginie. Ale dlaczego paranoida przywiązuje do tego tak wielką wagę?

Sondował dalej i nagle pojął, o co chodzi.

Badania Pomerance'a koncentrowały się na rezonansie różnicowym zastosowanym wobec nukleoproteidów, jakimi są wirusy. Niemniej jednak znane są także inne rodzaje tych związków: funkcje telepatyczne zależą właśnie od rezonansu nukleoproteidów w ludzkim mózgu. Jeżeli Pomerance osiągnie swój cel...

Wówczas możliwa stanie się indukcja zdolności telepatycznych nie–telepatom! Oto rozwiązanie problemu Induktora, jedyne rozwiązanie problemu uniwersalnej schizmy. W rękach paranoidów metoda Pomerance'a może unicestwić całą ludzkość. W rękach Łysych — przyniesie jej jedność. Dzięki niej...

Nagle Cody zorientował się, iż Horne odkrył jego obecność.

Paranoida natychmiast zaczął przywoływać na pamięć równanie, które miało detonować ładunek w laboratorium Pomerance'a. Myśli

Cody'ego skoczyły w przyszłość. Mógłby zabić Horne'a, zanim ten dokończy, lecz jeżeli tak postąpi, śmierć paranoidy włączy zapalnik z niezawodną pewnością. Biochemik zginie, a do tego nie wolno dopuścić. Pomerance nie może umrzeć, ponieważ od niego zależy życie wielu istot.

Tylko w jeden sposób można powstrzymać myśli Horne'a. Wcześniejsze czytanie umysłu przeciwnika powiedziało mu mnóstwo o tej dumnej, stanowczej i zarazem niepewnej siebie postaci. W tej chwili Cody wiedział o nim więcej niż sam paranoida. Ponadto odkrył pewną istotną kwestię. Horne nie jest typem psychotycznym: nie utracił kontaktu z rzeczywistością, lecz, jak W przypadku wielu paranoidów, można zaobserwować u niego objawy psychopatologiczne. Jednym z takich symptomów była silna skłonność do tego, co Allenby określał mianem halucynacji hipnogogicznych, czyli żywych, zmysłowych obrazów występujących tuż przed zaśnięciem. Takie halucynacje można z łatwością wywołać za pomocą hipnozy.

Wystarczy, że Cody przekona Horne'a, iż na ułamek sekundy uległ przywidzeniom. To i jeszcze trochę… jeszcze bardzo wiele.

Cody miał już pewne pojęcie, jakie formy przybierze taki obraz w przypadku paranoidy ze skłonnością do manii prześladowczej i megalomanii. Dokonał projekcji wyobrażenia, iż on jako przedstawiciel Łysych przybywa do Horne'a z propozycją rozejmu i zjednoczenia się przeciwko ludziom — dokładnie przypominającą wyraziste, życzeniowe rojenia nieobce paranoidzie. Jednocześnie przywołał obraz Jaspera Horne'a tak, aby tamten to zobaczył.

Nawet w ramach halucynacji coś takiego nie mogło wzbudzić żadnych podejrzeń.

Porozumiewając się z drugą osobą, mamy w myślach jej obraz, przedstawiony w wymiarach wykraczających poza czysto wizualne wrażenia. Odbicie jej mechanizmów emocjonalnych, wspomnień, myśli, postrzegany przez nas złożony obraz osobowości występuje jako subiektywny korelat obiektywnej istoty, z którą się komunikujemy. Paląca jasność tego demonicznego obrazu, która oddzielała spotykające się umysły, raziła ostrością, obcą mrocznym dotychczas myślom paranoidy.

Starożytni Grecy pojęli znaczenie mechanizmu tożsamości: to oni stworzyli mit Narcyza.

Jasper Horne, który potrafił identyfikować się wyłącznie z samym sobą lub bóstwem stworzonym na swoje podobieństwo, chwycił przynętę. Jego chory egotyzm znalazł swoje zwielokrotnione odbicie w tym wizerunku ego, podczas gdy Cody dyskretnie poddawał próbie i muskał jego myśli, czekając na pierwsze oznaki zanikania świadomości.

Cody osiągnął przynajmniej tyle, że Horne zatrzymał myślową konstrukcję pojęcia, które miało zniszczyć Pomerance'a. Paranoida zawahał się niezdecydowany, ponieważ poczucie rzeczywistości mówiło mu, iż Łysi nie mogą wysłać emisariusza z propozycją kapitulacji, oraz że tym samym, okłamują go zmysły, które wcześniej powiadomiły go o obecności Cody'ego. Taki zamęt nie był mu obcy. Może zatem pogodzić się, na razie, z sugestią, iż dał się oszukać swoim zmysłom.

Z największą ostrożnością, nadal utrzymując oszałamiający obraz ego Jaspera Horne'a niczym błystkę, Cody zaczął podsuwać chwiejnemu umysłowi ciche wskazówki. Początkowo były to niewątpliwie prawdziwe myśli, prawdziwe z punktu widzenia przekonań Horne'a.

Przyjemne, krzepiące myśli. Ukojony paranoida wpatrywał się w obraz, który sam często przywoływał, ale nigdy z tak niesamowitą ostrością. Narcyz przeglądał się w czystej, głębokiej toni myśli Cody'ego.

I tak oto z każdą chwilą opadała czujność Horne'a, który siedział samotnie przy restauracyjnym stoliku, Cody natomiast skierował swoje subtelne zabiegi na inny teren.

Wysyłane przez niego myśli nie były już całkowicie rzeczywiste, chociaż jeszcze na tyle prawdziwe, by nie spłoszyć paranoidy, który nadal uważał je za swoje własne. Już kiedyś miałem takie przywidzenia. Zazwyczaj przed samym zaśnięciem. Mam je znowu. Chce mi się spać. Opadają mi powieki…

Świadomość Horne'a pogrążała się w usypiających, monotonnych myślach. Stan hipnotyczny pogłębiał się. Narcyz wpatruje się w Narcyza…

Śpij, śpij, szeptały myśli Cody'ego. Przebudzisz się dopiero na moje polecenie. Nic innego nie jest w stanie cię obudzić. Śpij mocno… śpij.

Horne zasnął.

Cody rzucił się do biegu. Żaden Łysy w American Gun nie był tak blisko laboratorium jak Cody i tylko on może uratować Pomerance'a. O porażkę nietrudno. Jasper Horne siedzi pogrążony w hipnotycznym transie w restauracji i lada moment ktoś może odezwać się do niego lub przywołać do stanu świadomości. Ten trans nie jest głęboki. Może trwać, ale też w każdej chwili może zostać przerwany. Wbrew końcowej sugestii Cody'ego, każdy może z łatwością obudzić Horne'a.

Biegł przed siebie. A jeżeli w porę wyprowadzi biochemika z laboratorium? Czy zdąży wrócić do restauracji, zanim Horne się przebudzi?

Nie, pomyślał, trans nie jest głęboki. To będzie cud, jeżeli Horne pozostanie w nim jeszcze przez parę minut. Samo ocalenie Pomerance'a będzie wystarczająco cudowne.

Gdy Horne pojmie, co zaszło, nie będzie zwlekał. Rozpęta pogrom. Tu, w American Gun, wszystko jest przygotowane; podłożył dynamit i wystarczy tylko dotknąć detonatora. Dobrze.

Nie mogę mieć pewności, że wszystko, co robię, jest słuszne. Myślę jednak, że tak jest. Nie mogę mieć pewności. Jeżeli ocalę Pomerance'a, Horne prawdopodobnie rozpocznie pogrom, zanim zdążę wrócić do restauracji, by go zabić. Lecz nie mogę dopuścić do śmierci biochemika, ponieważ potrafi on rozwiązać zagadnienie Induktora.

Pospiesz się!

Zbliżał się do kompleksu długich, niskich budynków. Znał drogę: ujrzał ją w myślach Horne'a. Dobiegł do jednego z budynków, pchnął drzwi i znalazł się w laboratorium.

Przypatrywał mu się chudy, siwy mężczyzna w poplamionym fartuchu. To Pomerance: telepaci nie mylą się nigdy w kwestii tożsamości. W tej samej chwili Cody zdał sobie także sprawę z tego, iż dwie ulice dalej, w jadłodajni „Pod Śmigłem", Horne ruszył się, przebudził i przerażony sięgnął do myśli Pomerance'a.

Cody błyskawicznie przemierzył długie pomieszczenie. Za plecami naukowca znajdowały się wysokie okna wychodzące na słoneczny żar, błękitne niebo i wyschniętą, pożółkłą trawę.

Jeżeli uda im się dotrzeć do okna...

Cody'emu wydało się, że nie stracił na to ani chwili czasu. Ani chwili. Jednocześnie, od momentu gdy ujrzał, jak w oddalonym umyśle paranoidy wydłuża się śmiercionośne równanie, jakiś inny czas zdawał

się wlec bez końca. Równanie gotowe. Teraz eksplozja śmierci powstrzyma czas.

A jednak czas nie stanął. Cody wysłał nieme hasło, wezwanie, które rozdzwoniło się niczym olbrzymi dzwon bijący na alarm w umysłach wszystkich telepatów w American Gun.

W tej samej chwili dopadł Pomerance'a i, wykorzystując swój impet, porwał go w stronę okna. Podłoga wyśliznęła się im spod stóp, powietrze wydęło do góry pod naporem pierwszej, bezgłośnej fali zgęszczeniowej poprzedzającej wybuch.

Przed nimi zamajaczyło okno: jasne, duże, podzielone niewielkimi szybkami. Cody natarł ramieniem. Czuł tylko, jak rozsypuje się drewno i szkło, ponieważ straszliwy, biały i rozsadzający łoskot detonacji zagłuszył wszystkie odgłosy.

Znalazł się w samym środku oślepiającego błysku eksplozji. Za kaskadą szkła otwarła się pod nim otchłań.

Spadali w gorącym, suchym powietrzu pośród ciemności, która przesłaniała piekący blask słońca. Spadali, przewracali się w deszczu odłamków szkła, a huk wybuchu toczył się w nieskończoność...

Przed restauracją „Pod Śmigłem" szamotali się dwaj przejezdni. Stojący wśród gapiów Jasper Horne odezwał się półgłosem. Ktoś powtórzył jego słowa, już nieco głośniej. Jeden z walczących poczerwieniał. (Było to hasło–iskra, które miało wywołać jego agresję z niezawodnością owego równania użytego do zdetonowania ładunku). Natychmiast błysnął sztylet dobyty z pochwy i rozpoczął się prawdziwy pojedynek w kręgu gawiedzi. Zwyciężył mężczyzna z twarzą pokrytą zarostem, z owłosioną klatką piersiową i łysiejącą czaszką.

Posługiwał się nożem zręcznie i pewnie. Zbyt pewnie, zauważył Jasper Horne półgłosem.

Szepty obiegły zebranych. Każdy zwycięży w pojedynku, jeżeli będzie w stanie czytać myśli swojego przeciwnika. Skoro Im odrastają palce, to być może odrastają im także włosy.

Jasper Horne rzucił jakieś słowo, właściwe słowo, do potencjalnego przywódcy, który stał tuż obok.

Wybraniec spojrzał spode łba, zaklął i zrobił krok naprzód. Zręcznie podstawił nogę zwycięzcy, który odwrócony do niego plecami, chował sztylet. Nóż toczył się po chodniku.

Trzech mężczyzn rzuciło się na upadającego. Dwaj przytrzymywali

go, a trzeci szarpał przerzedzoną tonsurę. Bez rezultatu. Napadnięty zaryczał rozjuszony. Opierając się, powalił czterech czy pięciu gapiów. W zamieszaniu jeden z nich zgubił perukę…

Stan między snem i jawą. Cody znalazł się w Otchłani, unosił się w łonie niejaźni, w tym jedynym miejscu, gdzie Łysy doświadcza absolutnego wyciszenia. Pragnął pozostać tam na zawsze. Był jednak telepatą i nawet w tajemnej kryjówce swojego umysłu nie mógł udawać, że nie dostrzega prawdy, bowiem jego myśli pozostawały czytelne — przynajmniej dla posiadaczy kasków.

Niechętnie powracał na jawę. Zmuszał się do tego, aby z własnej woli podjąć czekające go stare i nowe zobowiązania. Gdyby można przeżyć życie takim, jakie zapamiętał w ostatniej minucie, pozbawione niezdecydowania i niepewności, naznaczone jedynie konkretną potrzebą fizycznego działania (czy Pomerance żyje, pytał budzący się umysł), wówczas bez trudu mógłby się dźwignąć z ciepłej, szarej ciszy, nieskończenie kojącej, chociaż pozbawionej marzeń sennych (a Pomerance?).

Jak zawsze na myśl o drugim człowieku coś w Codym zebrało siły i zaczęło się dźwigać z mozolnym uporem. Natychmiast odzyskał orientację. Nie był zdany tylko na swoje zmysły otumanione snem. We wszystkich Jaskiniach, ponad nimi, a także w helikopterach zawieszonych pod chmurami wyczuwało się niespokojne przynaglenie i poruszenie. We wszystkich umysłach, pod różnymi innymi myślami na wyższych poziomach świadomości, migotała jedna myśl.

Pogrom.

Cody zadał pytanie: Czy powinienem był zabić Home'a zamiast ratować Pomerance'a?

Nie czekał na odpowiedź, bowiem sam już zadecydował. Otworzył oczy (wiedział już, na którym szpitalnym łóżku leży i w którym sektorze Jaskiń), i skierował wzrok na krągłą, opaloną twarz Allenby'ego.

— Pomerance? — zapytał.

— Żyje — padła bezgłośna odpowiedź. — Po wybuchu dotarło do was kilku Łysych z American Gun. Musieli się bardzo spieszyć, ponieważ Horne dał sygnał do pogromu. Ale mieli do dyspozycji szybki helikopter i już w drodze udzielili wam pierwszej pomocy. Działo się to dwa dni temu.

— Dwa dni?

— Pomerance odzyskał przytomność już po kilku godzinach. Ale w twoim przypadku uważaliśmy za stosowne trochę poczekać… potrzebowałeś tego. Ale… jeżeli cię to interesuje, to myślę, że przeżyjesz.

— Jak długo będziemy żyli? — wyszeptał w myślach.

— Wstawaj i ubieraj się — polecił mu Allenby. — Trzeba brać się do roboty. Tu masz ubranie. Jak długo? Nie wiem. Od dwóch dni pogrom się rozprzestrzenia. Paranoidzi wszystko dokładnie zaplanowali. Tym razem, Jeff, zanosi się na pogrom totalny. Ale przecież mamy Pomerance'a. Zdaje się, że mamy też Induktor.

— Ale Pomerance nie jest jednym z nas.

— Mimo to jest z nami. Dzięki Bogu, nie wszyscy ludzie są wrogo nastawieni do Łysych.

Kiedy zapoznaliśmy go z sytuacją, natychmiast zaoferował swoją pomoc. Chodźmy. Jesteśmy gotowi do przeprowadzenia próby z Induktorem. Chcę, żebyś był przy tym obecny. Dasz radę?

Cody skinął głową. Pomimo stężałych mięśni, osłabienia i bólu pod licznymi bandażami elastycznymi, cieszył się, że może wstać i chodzić. Wyszedł za Allenbym na korytarz.

Otoczył go niespokojny nurt niezliczonych myśli. Przypomniała mu się Lucy. Nie wszyscy ludzie są wrogo nastawieni do Łysych. Nie wszyscy Łysi są wrogo nastawieni wobec ludzi, dodał, rozmyślając nad losem nie–telepatów, takich jak Lucy, skazanych na dożywotnie więzienie w Jaskiniach.

— Ona tam będzie… w laboratorium — poinformował go Allenby. — Zgłosiła się na ochotnika. Induktor został przygotowany zgodnie z teorią Pomerance'a… to znaczy, jego badania stały się punktem wyjścia dla wszystkich naszych naukowców. Niezły kawał roboty.

Mam nadzieję… — Obraz pogromu przesłonił na chwilę myśli Allenby'ego, lecz natychmiast został wyciszony. Znajdę czas, Kasjuszu, znajdę czas…, pomyślał Cody.

— Owszem — przytaknął mu psycholog. — Później, Jeff, później. Teraz naszym celem jest Induktor. Wyłącznie Induktor. Od chwili przebudzenia nie pomyślałeś o Jasperze, prawda?

Chyba rzeczywiście nie myślał o nim. Teraz przywódca paranoidów wydał mu się odległą i pozbawioną osobowości postacią, biorącą udział

w jakiejś złożonej akcji. Nie stanowił już naładowanego emocjami obiektu jego nienawiści.

— Chyba nie odczuwam potrzeby zniszczenia go — przyznał. — On już się nie liczy.

Najgorszą rzeczą, jaką mógł zrobić, było wzniecenie pogromu. Dopiął swego. Mógłbym go zabić, gdyby nadarzyła się okazja… lecz tym razem z innego powodu. — Spojrzał na Allenby'ego. — Czy Induktor zadziała?

— Zobaczymy. Powinien… powinien — mówił Allenby, otwierając drzwi w ścianie korytarza. Cody wszedł za psychologiem do jednej z jaskiń przekształconej w pracownię naukową.

W środku panował ożywiony ruch, lecz Cody nie uległ zewnętrznym wrażeniom. Od razu skierował się do miejsca, w którym stała Lucy z dzieckiem na rękach. Po chwili znalazł się przy niej. Już miał poznać jej myśli, kiedy postanowił tego nie robić. Być może jest tam zbyt wiele spraw, o których lepiej nie wiedzieć, ani teraz, ani nigdy.

— Nie przejmuj się tymi bandażami. Czuję się świetnie — powiedział.

— Wiem wszystko — odparła Lucy. — Po raz pierwszy byłam wdzięczna telepatii.

Wiedziałam, że mają pewność, że nic ci nie jest… chociaż byłeś nieprzytomny.

Objął ją i przyglądał się śpiącemu dziecku.

— Obserwując cię, sama niczego bym się nie dowiedziała. Wyglądałeś… jak nieżywy. Jak to dobrze, że Allenby i inni potrafili spenetrować twój umysł, aby upewnić się, że żyjesz.

Chciałam jakoś pomóc, ale do niczego się nie nadawałam. Tylko do… tego. Dowiedziałam się od Allenby'ego, że potrzebni są ochotnicy do doświadczeń z Induktorem. Tylko w ten sposób mogę pomóc… i chcę to zrobić.

A zatem Lucy wie o istnieniu Induktora. Minął już czas, kiedy konieczne było dochowanie tajemnicy. Teraz nie ma już znaczenia, jak dużo albo jak mało wiedzą ludzie uwięzieni w Jaskiniach. To nieistotne, bowiem pogrom już się rozpoczął.

— Tym razem to jest pogrom na skalę światową, prawda? — pytała. Przeżył chwilę irracjonalnego zdumienia (telepatia?), zanim pojął, iż Lucy po prostu zareagowała na bodźce wyuczone podczas długiego

obcowania z nim. Takie przebłyski pseudo–telepatii występują we wszystkich' parach małżeńskich złączonych szczerym uczuciem. Wbrew wszystkim przeciwnościom, to uczucie istniało. Jakie to dziwne, że teraz, kiedy może im zabraknąć czasu, uświadomił sobie tę więź, jest jej pewny i odczuwa radość z tego powodu. Pogrom może zniszczyć wszystko, niezależnie od Induktora.

— Lucy — zaczął. — Jeżeli się nam nie uda... postaramy się, żebyś mogła bezpiecznie opuścić Jaskinie i wrócić do domu...

Spuściła wzrok na dziecko i odwróciła się od Cody'ego. Nagle zrozumiał, że, jak wszyscy mężczyźni od początku świata, nawet z pomocą telepatii nigdy nie zgłębi tajemnicy reakcji kobiety... nawet takiej jak Lucy.

— Jesteś gotowy? — zagadnęła Allenby'ego.

— Tak — odpowiedział psycholog. — Niech ktoś weźmie od ciebie dziecko.

Zwróciła się do Cody'ego i z uśmiechem podała mu niemowlę. Razem z Allenbym podeszła do izolowanego fotela oplatanego licznymi przewodami podłączonymi do skomplikowanej tablicy rozdzielczej.

W umyśle dziecka migotał niewielki płomyk, podobny do tych, które Cody zauważył u złotych rybek w sadzawce w American Gun. Jednak ten płomyk różnił się istotnie od tamtych. Cody nie wiedział, na czym polega różnica, lecz obserwując migoczące móżdżki rybek, nie czuł ani lęku, ani współczucia. Umysł jego syna, jego i Lucy, jaśniał płomieniem absurdalnie ufnym w przypadku istoty tak kruchej i bezbronnej. Każdy najmniejszy bodziec: kołyszący ruch ojcowskich ramion, najdrobniejszy skurcz dziecięcego żołądka wprawiał ten słaby płomyk w drżenie, przyginał w różne strony, zanim światełko rozgorzało na nowo poprzednim, upartym blaskiem. Tyle spraw może zagrozić temu ognikowi, nawet na najlepszym ze światów... Nagle doznał olśniewającej myśli, że właśnie w tym płomieniu zostanie wykuta silna osobowość dziecka.

Przeniósł spojrzenie na Lucy. Siedziała już na fotelu, a do jej skroni i do podstawy czaszki przymocowano elektrody. Szczupły, siwy mężczyzna, w którym Cody rozpoznał

Pomerance'a, pochylał się nad nią, zawadzając innym naukowcom. W jego myślach Cody wyczytał lekkie podenerwowanie, które biochemik starał się opanować. Ten punkt, to połączenie... nie

rozumiem, w jaki sposób to mu pasować do teorii. Boże, dlaczego nie jestem telepatą! Jeżeli jednak ten Induktor zadziała, mogę nim zostać. Jak ten zacisk ma... po czym myśli przeskoczyły na tory abstrakcji indukcyjnej, bowiem biochemik zajął się rozwiązywaniem problemu.

W podziemnym laboratorium panował tłok. Znaleźli się tam naukowcy w kaskach Niemych oraz grupka więźniów z Jaskiń. Ochotnicy, ze wzruszeniem zauważył Cody. Mimo wszystko, chcieli pomóc, tak jak Lucy.

Początek próby. Lucy usadowiła się wygodnie w fotelu. Jej myśli nerwowo oceniały ucisk elektrod. Cody wycofał swoje myśli. On także odczuwał niepokój. Przyglądając się zebranym, napotkał wrażliwy umysł, w którym rozpoznał Allenby'ego.

— Załóżmy, że Induktor zadziała — zastanawiał się Cody bezgłośnie. — W jaki sposób położymy kres pogromowi?

— Wystąpimy z propozycją telepatii dla każdego — odparł Allenby. — Mamy już gotowy wideoschemat, który w każdej chwili można wprowadzić do wszystkich monitorów w każdym mieście. Uważam, że nawet pałający żądzą linczu tłum zatrzyma się, aby wysłuchać takiej propozycji.

— Chciałbym to zobaczyć.

— Ponadto, mamy po swojej stronie wielu ludzi, takich jak Pomerance. Mamy... — nie dokończył.

Coś działo się w umyśle Lucy. Jakaś fala, strumień czegoś tak trudnego do określenia jak muzyka abstrakcyjna wzbierała w jej myślach pod wpływem zmian zachodzących w nukleoproteidach jej mózgu. Lucy staje się telepatką, jedną z nas, pomyślał Cody.

— Wyłącznik — wtrącił się nagle Allenby. Pochylił się i zdjął elektrody. — Chwileczkę, Lucy. — Zamilkł, lecz odezwały się jego rozgorączkowane myśli.

Podnieś prawą rękę, Lucy. Podnieś prawą rękę.

Wszyscy Łysi odwrócili wzrok od jej rąk. Należy wyeliminować wszelkie sygnały podświadome.

Lucy trwała w bezruchu. W jej umyśle, otwartym dla niego, dostrzegł przerażająco wyraziste podobieństwo do otoczonego ciasnym murem umysłu Jaspera Horne'a. Mimo woli odczuł dreszcz strachu.

Podnieś prawą rękę.

Brak reakcji.

Wydaj inne polecenie, zaproponował ktoś z obecnych. Lucy, wstań. Wstań.

Lucy nie drgnęła.

Może potrzeba na to czasu, zasugerował ktoś z grona Łysych. Ona musi się nauczyć…

Być może, odpowiedział Allenby. Spróbujmy z kimś innym.

— W porządku, Lucy — odezwał się Cody. — Chodź do mnie. Spróbujemy z drugą osobą.

— Nie udało się? — dopytywała się Lucy. Podeszła do niego, patrząc mu prosto w oczy, jakby usiłowała wymusić kontakt myślowy.

— Jeszcze nie wiadomo — odparł. — Obserwujmy June.

June Barton siedziała już na fotelu, krzywiąc się nieznacznie podczas zakładania elektrod.

W myślach Cody'ego majaczyło coś, czym nie zajmował się od chwili przebudzenia.

Jeżeli Induktor nie zadziała, wówczas… wówczas powróci jego problem, dawny problem, którego nie potrafił rozwiązać: dylemat, który kazał mu zabić Jaspera Horne'a. Zadanie przerastające jednego człowieka. Operacja „Apokalipsa". Koniec wszelkiego ciała…

Pospiesznie odepchnął tę myśl. Mocniej obejmując Lucy, wysłał przerażoną myśl. (Czy będzie musiał ją zabić… ją i ich dziecko? Może to nie będzie konieczne. Nie myśl o tym!)

Szukał pojęcia, które swoją zawiłością mogło wyprzeć obsesyjny strach. Induktor, chwycił się pierwszego lepszego pytania. Jakie są jego teoretyczne założenia? Zasada działania?

Do jego wątpliwości, dołączyły z wdzięcznością myśli drugiej istoty. Był nią fizyk,

Kunashi. Spod jego kasku mknęły wyobrażenia z trudem maskujące niepokój. Kunashi także ożenił się z nie–telepatką.

— Czy pamiętasz, jak daliśmy nasz problem do rozwiązania komputerowi? — (Właśnie odłączano elektrody od czaszki June Barton). — Zebraliśmy wszelkie dostępne dane i wprowadziliśmy je do komputera. Przeczytaliśmy myśli wszystkich naukowców na świecie i zakodowaliśmy wszystkie dane, które mogły okazać się istotne. Część z nich wzięliśmy od Pomerance'a, mniej więcej rok temu. Wprawdzie wówczas jeszcze nie poczynił zbyt wielkich postępów w rozwijaniu swojej teorii, lecz już sformułował jej kluczowe założenia. Jego

hipoteza zakładała mutację nukleoproteidów przez rezonans. Komputer zintegrował to z innymi danymi i przedstawił nam najprostsze rozwiązanie: wirusa. Nie posiadał jednak danych niezbędnych do rozwinięcia teorii pod kątem Induktora, mimo iż obydwie koncepcje opierają się na tej samej zasadzie… na rezonansie.

(Kolejna osoba zajmowała miejsce w fotelu. Założono elektrody. Umysł Cody'ego odnotował smutek i niepokój w myślach wszystkich zebranych.)

Kunashi powtarzał z uporem:

— Pomerance jest biochemikiem. Pracował nad pewnym wirusem… nad japońskim wirusem zapalenia opon mózgowych typu A… drogą mutacji zamierzał uzyskać szczep wyspecjalizowanego bakteriofaga. — Zawahał się, lecz po chwili podjął wątek. —

Reprodukcja wirusa… lub genu… zależy od wysokiego rezonansu wewnętrznego: od nukleoproteidów. Teoretycznie, wszystko można zmienić w cokolwiek innego, w ostatecznym rozrachunku. Lecz fizyczne prawdopodobieństwo takiej przemiany zależy od względnego pomiaru rezonansu obu stanów, na przykład, wysokiego dla łańcucha białkowego, oraz dwóch stanów pierścienia benzenowego.

(Żona Kunashiego właśnie siadała na fotelu.)

— Ta przemiana… reprodukcja… wymaga również dużej specyficzności poszczególnych substancji chemicznych. Z tego powodu telepaci będą odporni na wirus operacji „Apokalipsa". Ta specyficzność… może się różnić nie tylko między gatunkami, ale i w obrębie tego samego gatunku. Posiadamy wrodzoną odporność. Nukleoproteid (czy to zadziała? czy to zadziała?) wirusa operacji „Apokalipsa" musi wykazywać duże powinowactwo do pewnych wysokorezonansowych cząstek centralnego układu nerwowego nie–telepatów. Cząstki tego typu posiadają wielką pojemność informacyjną. Nasz wirus zaatakuje ośrodki informacyjne w mózgach nie–telepatów.

— Powinowactwo takie zależy od rezonansu różnicowego. Doświadczenia Pomerance'a miały na celu wynalezienie sposobu zmiany owej różniczki. Metoda taka pozwoliłaby na kontrolowane mutowanie szczepów wirusowych z wielką dokładnością. Ponadto, umożliwiłaby indukcję zdolności telepatycznych, ponieważ są one zależne od dużej rezonancji nukleoproteidów w ośrodkach informacji

znajdujących się w ludzkim mózgu.

Sztucznie wywołany wzrost specyficzności pozwoliłby na indukcję funkcji telepatycznej w… w…

Myśl urwała się. Żona Kunashiego opuszczała fotel, a w myślach fizyka zapanowało zwątpienie i smutek. Cody wplótł w jego rozważania zdecydowane i krzepiące wyrazy zachęty. Nie była to intelektualna nadzieja, której sam niewiele posiadał, lecz solidny, emocjonalny pomost zrozumienia i współczucia. Kunashi poczuł się nieco lepiej. Cody także.

Obserwował, jak żona fizyka szybkim krokiem zbliża się do męża, jak bierze go pod ramię i jak stoją razem pełni oczekiwania.

— Spróbuję jeszcze raz — odezwała się niespodziewanie Lucy.

— Czujesz coś… — zaczął Cody, lecz natychmiast się zorientował, iż nie zaszła żadna zmiana. Jej umysł nadal był zablokowany.

Mimo to Allenby skinął głową przyzwalająco.

— Można spróbować — stwierdził. — Tym razem włączymy zasilanie. Efekt rezonansu powinien trwać kilkanaście minut po odłączeniu elektrod, nie będziemy jednak ryzykować. —

Cody ponownie wziął dziecko na ręce, a Lucy znowu sadowiła się na fotelu. — Ostatecznie te wszystkie urządzenia znajdą się wewnątrz niewielkiego zasilacza, który będzie pracował bez przerwy… Siedzisz już wygodnie, Lucy? Włączamy,

Jeszcze raz wszyscy po kolei usiłowali połączyć się z umysłem Lucy. Cody ponownie wyczuł blokadę, dostrzegalną także u jej poprzedników, która kojarzyła mu się z Jasperem Horne'em. Lucy nie należy do paranoidów!

Mimo to jej umysł pozostawał zamknięty. A zatem ponieśli klęskę. Nie była to porażka techniczna, ponieważ hipoteza Pomerance'a została zweryfikowana na wszystkie sposoby.

Brakowało jedynie ostatecznego dowodu doświadczalnego. Bez niego pogrom wymknie się spod kontroli i rozprzestrzeni, niosąc zniszczenie.

Ona nie jest paranoidką! myślał Cody. Poczuł, że niemowlę porusza się. Zajrzał w głąb ciepłej, bezkształtnej masy i nie wyczuł tam niczego, co mogłoby kojarzyć się z Jasperem Horne'em.

Dziecko, pomyślał Allenby. Spróbujmy z nim.

Osaczyły go pytania, na które nie odpowiedział. Nie znał

odpowiedzi. Odezwał się jedynie pod wpływem przeczucia.

Spróbujmy z dzieckiem.

Allenby wyłączył zasilanie, odczepił elektrody od czaszki Lucy. Zawinięte w kocyk niemowlę ułożono na opuszczonym przez nią fotelu i ostrożnie założono mu elektrody.

Chłopiec spał.

Zasilanie — Allenby wydał polecenie.

Jego myśli skierowały się w stronę dziecka.

Spało nadal.

...Porażka, ostatnia z wielu, stała się dla Cody'ego oczywista. Więc jednak istnieje zasadnicza różnica między telepatami i nie–telepatami. Tej blokady nie da się usunąć. Nigdy nie dojdzie do zawieszenia broni. Nic nie powstrzyma pogromu.

Trzeba przyznać rację paranoidom: telepaci nie mogą współistnieć z nie–telepatami.

Myśli Cody'ego rozdarł niespodziewany błysk i huk eksplodującej bomby, oślepiający blask, który zaraz obejmie cały świat...

Dziecko poruszyło się na fotelu, otworzyło oczy i buzię, i zaczęło krzyczeć.

W delikatnej, mglistej materii jego umysłu pojawił się bezkształtny obraz strachu: błysk i huk zapamiętane przez Cody'ego we wspomnieniu spadania w kosmosie... najbardziej pierwotny ze wszystkich lęków, jedyny, z którym przychodzimy na świat.

Po raz pierwszy w historii ludzkości doszło do indukcji funkcji telepatycznej.

* * *

Jeff Cody siedział sam przed pulpitem elektronicznego kalkulatora. Nie było już czasu do namysłu. Za chwilę zostanie nadany nadzwyczajny program telewizyjny, ostatni apel skierowany do nie–telepatów zawierający propozycję skorzystania z Induktora... z jednym zastrzeżeniem: oni sami nie będą mogli tego doświadczyć, dopiero ich dzieci.

Jeżeli wyrażą chęć przyjęcia tej propozycji oraz zaprzestania pogromu, Łysi dowiedzą się o tym natychmiast.

Bowiem najgłębiej nawet skrywane myśli nie ujdą ich uwadze.

Jeżeli natomiast odrzucą ofertę, o czym Łysi także będą wiedzieli, Cody zrobi użytek z jednego klawisza na pulpicie. Rozpocznie się operacja „Apokalipsa". Za sześć godzin wirus będzie gotowy. Za tydzień lub dwa dziewięćdziesiąt procent ludzkości umrze lub będzie w stanie agonii. Wprawdzie pogrom może zakończyć się dopiero wraz ze śmiercią ostatniego nie–telepaty, lecz Łysi potrafią dobrze się ukryć i nie będą musieli zbyt długo tam pozostawać. Decyzja należy do ludzi.

Cody poczuł obecność Allenby'ego za plecami.

— Jak uważasz, jaka będzie ich reakcja?

— Nie wiem. Zależy od poziomu ich egotyzmu… paranoi, w pewnym sensie. Może już nauczyli się być rasą społeczną, a może jeszcze nie. Niedługo się dowiemy.

— Tak, wkrótce. Jesteśmy u kresu, u kresu tego, co rozpoczęło się od Eksplozji.

— O nie — zaprotestował Allenby — to się zaczęło dużo wcześniej. Już wtedy, gdy ludzie postanowili żyć w grupach i grupy zaczęły się rozrastać. Zanim jednak doszło do jakiegokolwiek zjednoczenia, nastąpiła Eksplozja. I dlatego przeprowadziliśmy decentralizację, która okazała się złym rozwiązaniem, ponieważ osiągnęliśmy totalny brak jedności oraz rządy strachu. W ten sposób mur oddzielający człowieka od człowieka rósł coraz wyżej i wyżej. Agresja spotyka się obecnie z bardzo surową karą, a przecież w tym podejrzliwym, smutnym i rozdrobnionym świecie gromadzi się ogromny ładunek agresji, gotowy w każdej chwili do wybuchu. Tłumi ją jednak sumienie, zbrodnicze sumienie społeczności rządzonej strachem wpajanym każdemu od najmłodszych lat. I właśnie dlatego żaden dorosły nie–telepata już nie potrafi zdobyć się na przyjmowanie myśli… dlatego Lucy i pozostali ochotnicy nie odebrali żadnego komunikatu.

— Czy Lucy… nigdy się tego nie nauczy?

— Nigdy — potwierdził cicho Allenby. — Jest to przypadek funkcjonalnej głuchoty histerycznej… telepatycznej głuchoty. Nie–telepaci nie znają myśli innych ludzi, chociaż wydaje się im, że je znają. Boją się tego. Przenoszą swoją tłumioną agresję na bliźnich.

Podświadomie widzą w każdym potencjalnego wroga. Dlatego brak im odwagi, aby stać się telepatą. Mogą nawet świadomie tego pragnąć, lecz w ich podświadomości czai się zbyt wiele lęku.

— Ale dzieci…

— Bardzo małe, takie jak wasz syn, mogą zostać telepatami, ponieważ ich super–ego jeszcze się nie ukształtowało. Twoje dziecko jest w stanie tego się nauczyć, nie ograniczone żadnymi barierami, dzięki wszystkim otwartym przed nim .umysłom.

Cody przypomniał sobie linijkę z wiersza poety. Jest tam coś, co nie kocha muru. Zbyt długo wznoszono coraz wyższe mury oddzielające człowieka od sąsiadów. Dzięki

Induktorowi każde niemowlę, a nawet małe dziecko, może posiąść zdolność odbierania informacji drogą telepatii. Umysł małego dziecka jest czysty, zdrowy i nie uszkodzony, a zatem zdolny do nauki porozumiewania się w sposób telepatyczny oraz werbalny. Niemniej jednak, w miarę jak dziecko rośnie i nabywa doświadczeń, mury zaczynają się piętrzyć bardzo wcześnie, niebezpiecznie wcześnie.

Człowiek wspiął się na swój mur i siadł na nim jak Humpty Dumpty... w pewnej chwili, na którymś z etapów długiego procesu dojrzewania i uczenia się, umysł został trwale uszkodzony. Nastąpił upadek, nie tylko upadek Humpty Dumpty'ego, lecz odwieczny upadek samego człowieka. Wówczas...

Żaden dworzanin nie potrafił pozbierać Humpty Dumpty'ego.

Dla Lucy było już na pewno za późno.

— A paranoidzi? — zapytał po chwili Cody. — Już jako dzieci posiadali zdolności telepatyczne. Co się z nimi stało?

— Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć, Jeff. Może to kwestia wady dziedzicznej. Ale oni już się nie liczą... stanowią mniejszość... bardzo nieliczną mniejszość. Stanowią pewne zagrożenie wyłącznie dlatego, iż Łysi są mniejszością wśród nie–telepatów i z łatwością można uczynić z nas kozły ofiarne. Ale to się zmieni, jeżeli...

— A tajne częstotliwości?

— Możemy dostroić Induktor do każdej częstotliwości transmitowanej przez mózg ludzki.

Nie będzie już żadnych murów.

— Pod warunkiem, że nasza propozycja zostanie przyjęta. W przeciwnym razie... jeżeli pogrom nie ustanie... odpowiedzialność za operację „Apokalipsa" nadal będzie spoczywać na moich barkach.

— Uważasz, że ty jesteś za nią odpowiedzialny? — pytał Allenby. — Czy należy nas obarczać jakąkolwiek za to odpowiedzialnością? To przecież nie–telepaci sami podejmą decyzję.

— Początek transmisji — zauważył Cody. — Ciekawe, ile osób jej wysłucha.

Tłum, który pod wodzą paranoidy przewalił się przez miasteczko Easterday, płynął w kierunku okazałego budynku z szeroką werandą. Na widok mężczyzn, którzy stali rzędem na werandzie, z tłumu rozległy się wrzaski. Lecz paranoida zawahał się.

Mężczyzna obok niego postąpił inaczej. Z krzykiem rzucił się naprzód. Rozległ się suchy trzask, aż piasek prysnął u jego stóp.

— Oni mają broń! — krzyknął ktoś z tłumu.

— Na nich!

— Zlinczować ich!

Tłum ruszył z miejsca. Ponownie rozległ się strzał. Prowodyr, nie paranoida, lecz ten pozorny przywódca, zaklął i upadł na ziemię, trzymając się za stopę.

Jeden z mężczyzn na werandzie wystąpił z szeregu.

— Wynoście się stąd — warknął. — Wynoście się… natychmiast.

Prowodyr patrzył na niego zdumionymi oczami.

— Doktorze! Pan przecież nie jest Łysym! Co pan tu robi!

Doktor powoli machał karabinem.

— Wielu spośród tu zebranych nie jest telepatami — oświadczył, wiodąc wzrokiem po swoich towarzyszach. Byli wśród nich przedstawiciele kilkunastu ras, lecz tłum nie interesował się w tej chwili sprawami rasowymi. Na werandzie wypatrzyli znanych sobie Łysych: każdy z nich miał przy sobie dwóch zdecydowanych na wszystko nie–telepatów, uzbrojonych i czujnych.

Trzeba przyznać, że tych obrońców nie było wielu. Dostrzegł to prowodyr. Podnosił się z ziemi, obmacując ranę na kostce. Spojrzał przez ramię.

— Damy im radę! — krzyknął. — Mamy dziesięciokrotną przewagę! Załatwimy ich co do jednego!

Poprowadził ich.

Zginął jako pierwszy. Na werandzie niski mężczyzna z gęstym wąsikiem i w okularach zadrżał i na chwilę opuścił karabin. Nie cofnął się jednak poza linię wyznaczoną przez rząd jego zdecydowanych towarzyszy.

Tłum zatrzymał się.

Zapadła cisza.

— Doktorze, jak długo możecie dawać nam odpór? — zawołał ktoś z tłumu.

Zastrzelony mężczyzna leżał na otwartej przestrzeni dzielącej obie grupy.

Drgało rozgrzane powietrze. Słońce niezauważalnie przesuwało się ku zachodowi. Tłum zbił się w zwartą, jednolitą i złowieszczą masę przyczajoną w słonecznym blasku.

W tej samej chwili, wewnątrz budynku zajaśniał ekran. Głos Allenby'ego zwracał się do ludzkości.

Komunikat dobiegł końca.

Myśli telepatów gwałtownie szukały odpowiedzi w umysłach niezdolnych do ukrywania swoich pragnień. Taka ankieta dostarczy dokładnej odpowiedzi, która nadejdzie za kilka minut. Od niej będzie zależeć życie wszystkich nie–telepatów.

Jeff Cody siedział sam przy kalkulatorze, oczekując odpowiedzi.

Człowiek, który trzeźwo myśli, może dać tylko jedną odpowiedź, bowiem po raz pierwszy w historii ludzkości Induktor niósł jedność opartą na rzeczywistych przesłankach. Otwierał wspaniałe możliwości, podróże w głąb tajemnic nauki, sztuki i filozofii. Wzywał do ostatniej i największej wojny przeciwko trojańskiej twierdzy samej przyrody: bezkresnego, wspaniałego i tajemniczego kosmosu, z którym człowiek zmaga się, walczy i w którym ostatecznie potrafi przetrwać.

Dorośli mieli szansę dożyć zaledwie początku tej wielkiej przygody, lecz dzieci wezmą w niej udział.

Ludzie, którzy potrafią trzeźwo myśleć, dadzą jedną odpowiedź. Ci, którzy potrafią trzeźwo myśleć…

Cody wpatrywał się w klawisze.

Przez nie ziemia jest pełna nieprawości.

A jednak możliwa jest inna odpowiedź. I jeżeli ludzkość ją wybierze… położę kres wszelkiemu ciału.

Zniszczę je wraz z ziemią.

Cody wybiegł myślami naprzód. Ujrzał, jak jego własny palec naciska klawisz, jak operacja „Apokalipsa" niczym potop, zalewa całą planetę, jak rasa ludzka ginie w otchłani i tylko telepaci pozostają przy życiu, być może jako jedyni we wszechświecie. Przypomniał sobie przenikliwy i bolesny skurcz, jaki odczuwają Łysi, kiedy umiera jeden z nich.

Pojął, iż żaden telepata nie jest w stanie odciąć swojego umysłu od takiego apokaliptycznego mordu dokonanego na całej ludzkości.

Zostanie otwarta rana, która nigdy się nie zabliźni w umysłach wszystkich przedstawicieli rasy telepatów. Ich wspomnienia nie wygasną i nie osłabną w procesie transmisji z pokolenia na pokolenie. Upłynie sto milionów lat, a rana będzie równie dokuczliwa jak w dniu, kiedy ją zadano.

Operacja „Apokalipsa" zniszczy także Łysych, bowiem nie przestaną odczuwać ciężaru tej potwornej śmierci z tragiczną wrażliwością telepatów i chociaż będą żyli nadal z fizycznego punktu widzenia, to ból i poczucie winy przejdą z pokolenia na pokolenie.

Drgnął.

Jego palec dotknął klawisza. Ekran kontrolny natychmiast zaczął działać. Przez ułamek sekundy słychać było cichy szum urządzenia. Po chwili włączył się sygnał świetlny, a pod nim pojawił się numer.

'Cody nacisnął następny klawisz. Nieomylne selektory wyszukiwały drobiny kryształu, w której zamknięto kod operacji „Apokalipsa". Kryształ z zaszyfrowanymi kropkami zamrożonej energii był gotowy.

Setki myśli, wyczuwając zamiary Cody'ego dotykały go, przemawiały do niego.

Zawahał się na wieść, że ludzie jeszcze nie postanowili, co powinni uczynić.

W jego myślach panował zamęt. Lecz ostateczna decyzja nie należała ani do nich, ani do ludzi. Cała odpowiedzialność spoczywała wyłącznie na nim. Postanowił nie zwlekać ani chwili dłużej.

Zdecydowanym ruchem przesunął dłoń i poczuł, jak chłodny, gładki uchwyt dźwigni posłusznie poddaje się jego palcom.

Zakodowany wzór energii zamigotał, zblakł i zniknął z ferroelektrycznego kryształu kalkulatora.

Operacja „Apokalipsa" przestała istnieć.

Palce Cody'ego przebiegały po klawiaturze. Kolejne pamięci umierały we wnętrzu genialnego urządzenia. Banki danych oddawały swoją energię i ginęły w bezkresnym oceanie kosmosu. W mózgu kalkulatora zapanowała pustka. Nie było sposobu, aby odtworzyć „Apokalipsę". Nie było na to ani sposobu, ani czasu.

Pozostało tylko oczekiwanie.

Cody otworzył swój umysł. Otaczała go obejmująca całą planetę

misterna pajęczyna myśli Łysych, tworząca być może ostatnią, najpotężniejszą budowlę w historii człowieka.

Przyciągały go do siebie i łączyły się z nim. Wszelkie bariery zniknęły. Nie oceniały go.

Rozumiały go, wszystkie bez wyjątku. Łączył się z nimi w serdecznej, absolutnej jedności, z której wypływała siła i odwaga, aby stawić czoła każdej decyzji ludzi. Być może po raz ostatni doszło do takiego zjednoczenia. I chociaż pogrom może trwać aż do śmierci ostatniego Łysego, to żaden z nich nie będzie żył ani umierał w samotności.

Czekali zatem, pospołu, na odpowiedź, której ludzie muszą udzielić..

ROZDZIAŁ 6

Helikopter wylądował. Biegną do mnie jacyś ludzie. Nie znam ich. Nie mogę poznać ich myśli. Widzę ich niewyraźnie: wszystko jest za mgłą, wszystko rozpływa się rozedrganymi falami.

Nakładają mi coś na szyję. Czuję ucisk z tyłu głowy.

Induktor.

Jakiś mężczyzna klęka przy mnie: lekarz ze strzykawką w dłoni.

Zastrzyk potem. Przede wszystkim Induktor. Albowiem nikt nie może umierać w samotności. Nikt z nas już nigdy nie będzie żył samotnie. Albo rodzimy się telepatami, albo wyposażeni w Induktor wszyscy się nimi stajemy.

Induktor zaczyna działać.

Chciałem zapytać doktora, czy przeżyję, lecz teraz już wiem, że nie to jest ważne. Pojmuję to, w miarę jak ciepło i życie powracają do wszechświata. Już nie jestem sam. Istotne jest to, iż moje myśli, moje ja, nie są osamotnione: rozprzestrzeniają się i łączą z moimi braćmi, z życiem, a ja sam wstaję z mojego samotnego grobu, w którym spocząłem...

Tworzymy...

Tworzymy jedność. Jesteśmy człowiekiem. Odwieczna wojna dobiegła końca. Mamy odpowiedź. Sny zostały oczyszczone, a ogień jest strzeżony.

Już nie wygaśnie i będzie płonął aż do śmierci ostatniego

człowieka...